

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/501

1989



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ : **SKRÓTY**

M. FELDHUZEN :

BRAZYLIA: RZĄD, ROBOTNICY, KOŚCIÓŁ

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

K. CZABAŃSKI : **"DRUGI OBIEG" - PLUSY I MINUSY**

K. MAREK : **KONSEKWENCJE PRAWNE KATYNIA**

SPIS RZECZY

Jerzy Korczak:	<i>Lęki przed wolnością</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Skróty</i>	9
Janusz Głowacki:	<i>Pole garncarza</i>	15
Stanisław Nowicki:	<i>„Teno”. Dwie kartki</i>	20
WIERSZE		
Jacek Bierezin:	<i>Przepisane ze słownika języka polskiego</i>	35
Anna Frajlich:	<i>Choroba</i>	36
Ewa Lipska:	<i>Bez wyjścia; Oko jastrzębia; Fatum</i>	37
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Maciej Feldhuzen:	<i>Brazylia: rząd, robotnicy, Kościół</i>	40
Jerzy Urban:	<i>List do Stanisława Kani</i>	50
K R A J		
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	61
Tomasz Jerz:	<i>Na przykład „Gdańsk”</i>	72
Waldemar Kuczyński:	<i>Place, inflacja, plan Marshalla</i>	77
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Ostatni żart Wittkiewicza</i>	81
WYWIADY „KULTURY”		
Krzysztof Czabański:	<i>„Drugi obieg” — plusy i minusy. Rozmowa z Dawidem Warszawskim</i> ..	84
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	97
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	103
KRONIKA KULTURALNA		
Jarosław Szymkiewicz:	<i>Świadectwo obecności</i>	107
Marek Abramowicz:	<i>O błyskach promieniowania gamma. Rozmowa z Piotrem Lasotą</i>	111
—	<i>Konkurs im. Toli Korian na pieśń lub piosenkę</i>	116
K A T Y Ń		
Krystyna Marek:	<i>O konsekwencjach prawnych Katynia</i>	117
Franciszek Grela:	<i>Wrzesień 1939, Starobielsk</i>	125
K S I A Ź K I		
Andrzej Dobosz:	<i>O słownikach biograficznych</i>	131
Benedykt Heydenkorn:	<i>Dwie monografie Ukrainy</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
POLEMIKI		
Jan Nowak:	<i>Czy warto grać z sulerem?</i>	147
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kronika austriacka</i>	150
◆		
J. Kurdybelski, A. Pospieszalski:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
Anna Kowal:	<i>Oświadczenie</i>	158
Czesław Miłosz:	<i>Sprostowanie</i>	159
Jacek Trznadel:	<i>A p e l</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1989

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

A.T. (USA), po raz 10-ty — \$ 145,00	F. 957,00
Jan Bogdański, San Jose, CA (USA) — Krs 100,00	F. 95,00
Dar w imieniu przyjaciół nadesłali pp. S. S. Stuchly z Ottawy, ON (Kanada) — \$ US 200,00	F.1.320,00
Dla uczczenia pamięci Męża, Wincentego Niziuka, zmarłego 12 kwietnia 1989 roku w Los Angeles, CA (USA) — Maria Niziuk z Los Angeles — \$ 100,00	F. 660,00
B. M. Felsz, Richmond, BC (Kanada) — \$ c. 22,00	F. 112,00
Kamila i Jan Halpernowie — w ósmą rocznicę śmierci Przyjaciela, Stefana Strelcyna, po raz 10-ty	F. 800,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 13-ty	F. 291,70
J. W. S. z Los Angeles, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób drogiego przyjaciela, Wincentego Niziuka — \$ 59,00	F. 390,00
Dr Stanisław Naęcz-Korzeniowski, River Forest, IL (USA), po raz 31-szy — \$ 21,00	F. 139,00
Kaz. J. Logay, Sarasota, FL (USA), po raz 14-ty — \$ 32,00	F. 211,00
Rev. Donald M. Malinowski, Royston, BC (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. Eugeniusza Chruścickiego artysty malarza w Toronto — \$ c. 55,00	F. 275,00
Zbigniew Okołowicz, Millbrook, NY (USA), po raz 3-ci — \$ 23,00	F. 152,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Barbary Kobyłańskiej, zmarłej w kwietniu 1989 roku w Belmont, CA — \$ 25,00	F. 165,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 40-ty — \$ US 100,00	F. 660,00
François Prause, Chianmai (Tajlandia), po raz 31-szy	F. 200,00
Redakcja <i>Związkowca</i> , Toronto, ON (Kanada) z okazji 500-go numeru <i>Kultury</i> — \$ c. 300,00	F.1.560,00
E. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 11-ty — \$ 20,00	F. 132,00
Franciszek Socha, Milwaukee, WI (USA) — \$ 200,00	F.1.320,00
W 14-tą rocznicę śmierci Anny Duracz — Jerzy Duracz ze Szwecji — Krs 200,00	F. 190,00
W drugą rocznicę śmierci Konstantego A. Jeleńskiego — zamiast kwiatów — Janina Kościalkowska, Laloubère (Francja) ..	F. 100,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA FUNDUSZ WYBORCZY NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Marek Bielecki, Angers (Francja) — sumę zebraną 23 kwietnia 1989 roku na spotkaniu po mszy polskiej przy kościele św. Józefa w Angers	F. 50,00
T. Marek Brodowski, Etobicoke, ON (Kanada) — \$ c. 30,00 ..	F. 156,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Lęki przed wolnością

1

Nikt, kto próbuje dziś uszczęśliwić bliźnich przemyśleniami o lękach, niepokojach i nadziejach związanych z tym, co dzieje się nad Wisłą i Wartą, nie może zapomnieć o wpisaniu dokładnej daty artykułu. Wydarzenia będą bowiem w tempie zawrotnym, nigdy chyba prognozowanie nie było tak trudne, nigdy historyczny scenariusz nie podlegał tak szybkim, gwałtownym i nieoczekiwanym przemianom. W dodatku — o paradoksie — każda ze stron w swoich skomplikowanych politycznych wyliczeniach sądzi, że czas pracuje na jej korzyść. Że okres przejściowy — owe wynegocjowane cztery lata do następnych „prawdziwie wolnych” wyborów — rozłoży ostatecznie przeciwnika na obie łopatki. A tymczasem, póki co, naród modli się o jedno: aby przetrwać.

Mamy 3 maja 1989, dzień szczególnie mocno zakodowany w sercach Polaków. Tyle, że zamiast śpiewów witających z nadzieją „majową jutrzenkę” na ulicach słychać głośne okrzyki manifestującego tłumu. Tym razem obiektem buntu jest już nie tylko nienawistna władza, lecz także ci, którzy z tą władzą poszli na ugodę. „Nie głosować!” — przetacza się hasło powtarzane przez coraz liczniejszych. — „Wszyscy do urn wyborczych!” — nawołują z rozpaczą i determinacją ci, dla których Wałęsa jest uznawanym przywódcą, a Komitet Obywatelski niekwestionowanym autorytetem. Już nie zwykli zjadacze chleba, ale nawet wytrenowani obserwatorzy krajowej sceny politycznej nie są w stanie połapać się w mnogości grup, grupiek, komitetów, stronnictw i obozów. A także w programach utworzonych już partii, które zdołały nawet rozłamać się na zwalczające się wzajemnie frakcje.

Niby to prawidłowe. Lata uniformizacji w myśleniu i działaniu zrobiły swoje. Społeczeństwo musi się odreagować. Tylko czy aby nie odrobinę za wcześnie? Czy wprawdzie nie należałoby zdobyć tego wywalzonego w pocie i znoju minimum w Sejmie i Senacie? Boć przecież zacięte boje toczą pomiędzy sobą dawni, zasłużeni weterani opozycji, zahartowani w ciężkich walkach, nekani po więzieniach, nierzadko we wspólnych celach. A wszystko ku ucieście pana premiera i pana generała, którzy przewidywali taki właśnie rozwój wypadków.

Milicja także nie zasypia gruszek w popiele. Jest na swoim miejscu, jak zawsze czujna i przygotowana. Bije w Poznaniu i Lublinie, najeżdża na tłum we Wrocławiu. Są ranni, poturbowani, afera jakby całkiem nie na czasie. Wszak to przecież podkomendni generała Kiszczaka, który — najlepiej poinformowany o społecznych nastrojach — najgłośniej nawoływał do konieczności rozmów z opozycją.

Komu więc było to na rękę? Kto tym dyrygował? Za jakim parawanem ukryci są jacyś Piotrowscy nowej generacji?

Nie znoszę anegdot opowiadanych w niewłaściwym momencie, zwłaszcza, gdy człowiekowi całkiem nie do śmiechu. Ale trudno mi się powstrzymać od przytoczenia opowiadki, jak ułał pasującej do tego co się dzieje.

W zakładzie dla umysłowo chorych dyrektor indaguje intendenta: — Czy ten basen jest już gotowy? — Tak jest — odpowiada intendent. — A jak pacjenci? — Świetnie. Skaczą, kręcą śruby, cieszą się, a co dopiero będzie, jak napuścimy wody...

2

Jeszcze jeden zimny prysznic na łatwowieczne głowy: dostęp do prasy, radia i telewizji. Negocjatorzy rządowi solennie przyrzekli, że strona opozycyjno-solidarnościowa dostanie wszędzie swój antenowy czas i swoje miejsce na łamach. Wytargowano nawet szczegółowe warunki. Ale wszystko to odbywało się na szczeblu centralnym, jakby zapominając — nie po raz pierwszy zresztą — że Polska, to nie tylko Warszawa. Że w poszczególnych ośrodkach miejscowe kacyki od propagandy trzymają się mocno. Mają za sobą wieloletni trening i dobrze zdają sobie sprawę z tego, że broń którą mają w ręku, to w aktualnej rozgrywce siła najważniejsza.

Nie bez powodu Maciej Szumowski alarmował opinię społeczną, że władze w Krakowie traktują telewizję jak czołgi; wszelkimi sposobami barykadują dostęp do szklanego ekranu. Nie lepiej jest w Poznaniu, Łodzi i w innych miastach. A przecież nie

wolno zapominać, że zmartwychwstanie „Solidarności” nie odbywało się przy akompaniamencie fanfar i radosnych werbli. Kiedy w kwietniowe popołudnie ogłoszono wreszcie długo oczekiwaną nowinę, że relegalizacja związku stała się faktem, nic nie zakłóciło ulicznego spokoju. Każdy wygrany mecz własnej drużyny wzbudza w miastach i miasteczkach więcej radosnej wrzawy niż to historyczne, tak ciężko wywalczone zwycięstwo. Ludzie w znacznej większości zdawali się być jakby znieczuleni; ogonki przed sklepami ani drgnęły, nic też nie zmieniło codziennego smutku zwykłego polskiego krajobrazu.

A przecież „środki przekazu” powinny wszędzie w tych tak ważnych dniach nie tylko informować, kim są i co reprezentują wybrani przez solidarnościowe gremia kandydaci, lecz także wzbudzać w ludziach choć odrobinę zapału i wiary w sens ustalonych przez „Solidarność” taktycznych działań.

Czy to się powiedzie? Czas pokaże. Lech Wałęsa zapewnił, że da na trzy msze, jeśli uda się do Sejmu przeforsować dwadzieścia procent niezależnych kandydatów. Krótki okres dzielący nas od „okrągłego stołu” najwyraźniej uskromił aspiracje. Najpierw miało być czterdzieści procent, z tego chyłkiem-milczkiem odjęto pięć, a teraz sam przewodniczący — zapewne realnie obliczając szanse — obniżył poprzeczkę do dwudziestu procent. Tyłko, że nie wolno zapominać, że w przewidzianej dla bezpartyjnych normie zmieścić się muszą także „dobrzy bezpartyjni towarzysze”, a więc gruntownie wytresowani w poddaństwie wobec PZPR wszelkiej maści pronowcy, zbowiedowcy, panie z Ligi Kobiet, a także niezorganizowani kandydaci do obu Wysokich Izb, którzy łącznie wpadają w patriotyczną ekstazę, gdy w kalendarzu pojawi się na czerwono zabarwiona data 11 listopada lub gdy z głośnika płynie przy byle okazji melodia Mazurka Dąbrowskiego, wsparta przez szwadron wyprężonych na baczność dziarskich żołnierzyków. Takich obywateli nie brakuje. To właśnie ulubieńcy władzy.

Trzeba — jak sądzę — stanąć na głowie, aby wśród towarzyszących dotąd wiernie partii stronnictwo zdobyć jak największą sojuszników. Grunt jest na pewno podatny. Dawne Stronnictwo Drżące, czyli SD, złapało wiatr w żagle. Część jego członków ma z całą pewnością dość roli wiecznych satelitów i stałych przytakiewiczów i zapewne będzie miała ochotę wyłamać się spod nadrzędnych dyrektyw. Ostatni burzliwy kongres zaświadczył o tym dobitnie.

Podobne tendencje istnieją i w Stronnictwie Ludowym, które nagle po tylu latach przypomniało sobie, że jest także nosicielem programu dawnego PSL. Zwiastunem odnowicielskich tendencji może być choćby wniosek o rehabilitację Mikołajczyka. W zasadzie to tylko gest, ale nie wolno go przeoczyć.

Od politycznej zręczności przysłych niezależnych posłów zależy więc, aby układ w Sejmie ułożył się korzystniej. Szansa jest realna. Czy uda się ją wykorzystać?

I jeszcze jedno. W ogólnym ferworze wymknęła się uwadze pewna znamienna nominacja. Warto więc przypomnieć, że od paru tygodni na czele Komitetu do Spraw Radia i Telewizji stanął Jerzy Urban. Tylko najbardziej naiwni uznać to mogą za akt bez szczególnego znaczenia. Nie „zdejmuje się” przecież — mówiąc językiem partyjnej nowomowy — arcygwiazdy propagandy z tak eksponowanego stanowiska, jakim jest rzecznik rządu, ot tak bez powodu. Urban — jeden z głównych architektów rządowej taktyki — przesunięty został na najważniejszy teraz odcinek frontu. W nowej roli wynajdzie na pewno cały arsenał chytrych i przemyślnych sposobów, aby ludzi z „Solidarności” do szklanego okienka nie dopuszczać, a jeśli już zostanie przyciśnięty do muru, zrobi wszystko, aby miało to miejsce najrzadziej i w okolicznościach dla nich najmniej korzystnych.

3

Czesław Miłosz, choć od Kraju oddzielony oceanem, w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* niezwykle trafnie wyczuł realne zagrożenie, związane z niewątpliwym wzrostem tendencji nacjonalistycznych. Wywiad udzielony był w styczniu 1988 roku; teraz pewne objawy stały się jeszcze bardziej widoczne. Tendencje te ujawniają się na różnych polach, ale, jak zawsze w przeszłości, najbardziej wymownym papierkiem lakmusowym istniejących nastrojów jest antysemityzm. Ten koszmar wydobyty na nowo z lamusa przed dwudziestu ponad laty w sławetnym marcu 1968 był z góry sterowaną prowokacją polityczną, której szkody Kraj z najwyższym trudem i ze zmiennym skutkiem odrabia po dziś dzień. Równie jednak złowrogie mogą się te objawy okazać, gdy — na pozór przez nikogo nie sterowane — wychodzą od dołu. Antysemityzm to choroba groźna i zakaźna, bez względu na to, kto jest roznosicielem zarazy. Niemal też zawsze idzie w parze z objawami nienawiści nie tylko rasowych; towarzyszą mu oskarżenia o wpływy masonów, trockistów, zachodnich agentur, a w razie potrzeby także przysłowiowych cyklistów.

Nie chcę tego problemu demonizować — w skali masowej z pewnością nie istnieje. Ale też nie wolno go na pewno w ogóle nie zauważać. Słynny kościół na Solcu nie stoi przecież na księżycu. W innym kościele, także w samym sercu stolicy, gdy ukazało się na murze zawiadomienie o mszy świętej za dusze zamordowanych w Katyniu przez NKWD oficerów, czyjaś nie-

znana ręka przekreśliła NKWD i w to miejsce wpisała: Żydów. I tak skorygowany tekst straszył przez dni kilkanaście.

Byłem też świadkiem innego wydarzenia. Po spotkaniu autorskim ze znaną poetką, wywiezioną w latach wojny w głąb Rosji, pewien słuchacz o senatorskiej twarzy oznajmił w trakcie dyskusji z najgłębszym przekonaniem: — No tak, prawda, tylko, że Stalin nie był Gruzinem. — Jak to nie był Gruzinem? — spytała ze zdziwieniem poetka. — On był gruzińskim Żydem — padła odpowiedź.

Podobne przykłady można by mnożyć, ale przyjmijmy z okrucieństwem optymizmu, że od maniaków roi się na świecie. Na pewno jednak do maniaków nie można zaliczyć niektórych działaczy „Solidarności”. Oto na zebraniu w jednym z łódzkich kościołów Jerzy Kropiwnicki stwierdził wszem i wobec, że „Solidarność”, kierująca się w swoim działaniu chrześcijańskimi naukami, nie może mieć w swoich szeregach takich ludzi jak Edelman, Michnik czy Kuroń.

Czyżby więc „grupa robocza”, do której przynależą Kropiwnicki, miała w zanadru — obok argumentów ściśle politycznych — także i tego rodzaju rozłamową amunicję? Aż strach uwierzyć, choć przecież podobne akcenty pobrzmiwały kiedyś w ustach innego działacza, Jerzego Jurczyka ze Szczecina, też związanego z opozycją przeciwko Wałęsie. Ale spójrzmy realnie prawdzie w oczy: nie takie cuda dzieją się w twardej grze o władze.

4

Przy „okrągłym stole” nie było czasu, aby na serio zająć się sprawami kultury. Dopiero w programie wyborczym strony opozycyjno-solidarnościowej znalazło się miejsce na zasygnalizowanie alarmującego stanu polskiej książki. To dobrze. Tylko jak się do tego zabrać? Minie na pewno sporo czasu, zanim odnajdzie się właściwą receptę na wyjście i z tej katastrofy. Zanikające w mniejszych ośrodkach publiczne biblioteki, zmniejszające się systematycznie poziomy czytelnictwa, potworna cena książek, które w najbliższym czasie zdrożeć mają jeszcze kilkakrotnie. Do tego baza poligraficzna jak za króla Cwiczka, brak papieru, brak kleju i kartonu, brak wszystkiego, co potrzebne jest do produkcji książki.

Znaczna część społeczeństwa ma na głowie inne zmartwienia: przeżyć do pierwszego to dla szarego obywatela sztuka dostateczna, aby zapomnieć o istnieniu słowa drukowanego, teatru czy kina. Mecenas państwowy dawno już zarzucił szczytne hasła o powszechnym dostępie do kultury. Dziś każdy wydawca, dy-

żyją. Może — mówiłem sobie — zaczynam na nowo, zwrócony ku temu, co jest naokoło mnie i tylko zdziwiony, że takie odwrócenie się od przeszłości jest możliwe? Leżąc jeszcze w półśnie uświadomiłem sobie, że myślę o bieżących sprawach wyspy. Czy, jeżeli król archipelagu zagwarantował wyspiarzom wolny dostęp do morza, wzdłuż drogi Makena, mogli takie prawo zagarnąć właściciele wkrótce potem założonej plantacji, a jeżeli nie mogli, to jak mogli ich spadkobiercy odstąpić je teraz japońskiemu konsorcjum na budowę hoteli? Czy, skoro wprowadzono do szkół lekcje tutejszego języka, ma on szanse powrotu, do czego z reguły potrzebne jest pojawienie się wiernej temu językowi inteligencji? Czy łagodność i bierność tubylców nie odsuwa ich skutecznie i od wyższego wykształcenia i od występowania w obronie własnych praw? A ta łagodność i bierność czy nie są z kolei następstwem życia w ciągu wielu wieków pod surowym nadzorem ich arystokracji i kapłanów? Zresztą tylko sześć wieków, bo podobno cały hierarchiczny porządek, wspierany ofiarami z ludzi, przed tym nie istniał i został przywieziony z innego archipelagu.

Więc dawny port wielorybiczny jest bardziej dla mnie obecny niż kraje, które zostawiłem za sobą, dlatego tylko, że jest blisko? Czasem po kilkadziesiąt okrętów stało tutaj na redzie. A załogi, po miesiącach spędzonych na morzu, szumiały w ulicy portowej, wydając zarobek na picie i kobiety, aż misjonarze wymogli, żeby co dzień o 10-tej wieczorem strzał armatni ogłaszał powrót na pokład, kładąc kres rozpuście.

Naprawdę to w tle mojego myślenia o wyspie był jakby niepokój i niejasne poczucie udawania, przebrania. Chwytałem się faktów i te fakty przemieniały się w obrazy, układały się w opowieść, niestety jej porządek był zbyt dowolny, brakło oporu, jaki stawia to tylko, co doznane bezpośrednio. Słuchając jak deszcz bije o wielkie liście i słuchając bulgotania, gdzieś nisko, potoku, wiedziałem, że pomimo wszystko ciemnoskóry nagi człowiek składany w ofierze bogom i przebijany kamiennym nożem, albo żeglarz z wielorybicznego okrętu padający pod stół, bo ugodzony w łeb butelką, istnieją w mojej wyobraźni, natomiast tamci, z moich okolic dalekiego kontynentu, powinni ciągle jeszcze być we mnie mocniej i inaczej. I tutaj natrafiałem na przyczynę mojej wewnętrznej niewygody: komik Waca, z którym siedzieliśmy w jednej ławce i z którym później mieszkałem, kiedy byliśmy na pierwszym roku prawa, zamęczony w Workucie, już tracił swój kształt niepowtarzalny i zmieniał się w część dowolnie układanej opowieści, tak zresztą jak pani Irena, z wakacji sześćdziesiąt lat temu, która swoje czarne oczy uważała za wielce wymowne, nie wiedząc, że nasuwają po prostu podejrzenie choroby Basedowa.

ŻAKI

My prawie wszyscy na naszym starym uniwersytecie pochodziliśmy z tych samych parafii i powiatów kraju, który może wydałby się dziwny cudzoziemcom, nie wydał się nam. To znaczy urodziliśmy się w zapadłych zakątkach odległych nie tylko od wielkich miast, ale też od linii kolei, w dworakach, wioszczynach, zaściankach, siedzących nad rzeczką z jej olchami, przycupniętych pod górką, przy jeziorunku, zawsze między ścianami lasu. Od dziecka znaliśmy zapachy rojstu, moknącego w jesieni lnu, trocin żywicznego drewna, mokrej sierści naszych psów, kiedy wracają z buszowania w gąszczu. Wiedzieliśmy gdzie i kiedy narastują szczupaki, jak przygotować oścień do połowu z łuczywem, jak czytać ślady lisa na ponowie, jaka jedlina najpewniej będzie miała gniazdo sójek.

Posiadaliśmy więc pewną wiedzę niezależnie od tej innej, nabywanej w klasie szkolnej i w salach wykładowych uniwersytetu. Pracowicie wkuwaliśmy łacinę i zdarzało się nam wplatać łacińskie słowa tudzież zdania w głupawe dowcipy i przekomarzenia się niedorostków, a ci z nas, którzy studiowali prawo, uczyli się formuł prawa rzymskiego i prawa kanonicznego na pamięć, tak że nawet obudzeni w środku nocy mogli gładko recytować o zawilosciach *ususfructus* albo o przywilejach, którymi cieszy się *nasciturus*.

W naszych zabawach i sporach częściej jednak, niż łacina, pojawiała się ludowa białoruszczyzna, na którą przechodziliśmy bez trudu. W niej to opowiadaliśmy sobie śmieszne i nieprzyzwoite historyjki, których bohaterami były zwykle mówiące zwierzęta, niedźwiedzie, lisy, ale najczęściej zające i bobry. Temu też należy przypisać pewien nasz wkład do terminologii humanistycznych nauk, skazany, wskutek nadmiaru wydarzeń w tamtej części Europy, na zapomnienie, tak że logicy (bo o tę dyscyplinę tutaj chodzi) nigdy nie dowiedzą się, jak gorliwych mieli na naszym skromnym uniwersytecie adeptów. I jeżeli teraz o tym wspominam, to z pełną świadomością, że jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który to jeszcze pamięta, a przy tym nie wstydzi się mówić o drobnych zdarzeniach naszej trochę tylko górnej młodości.

Szkolono nas tedy w logice i chórem powtarzaliśmy nazwy odmian sylogizmu: *bar-ba-ra*, *ce-la-rent*. Jak też wpajano nam wiedzę o błędach logicznych, użyteczną, bo służyła w naszych filozoficznych i politycznych dysputach do pogrążania przeciwnika, który musiał wycofać się pokornie, jeżeli w jego rozumowaniu został ujawniony błąd, na przykład zdradzieckie *petitio*

principii, czyli wywód kolisty, wymagający powrotu do początku. Zdarzyło się, że kiedy w ten właśnie sposób zakończyła się jedna z dysput, ktoś dopatrzył się w owym błędzie podobieństwa do białoruskiej gadki o bocianie, który połknął żmiję. Patrzy bocian, a ta mu tyłem wychodzi. Polyka ją jeszcze raz, znów to samo. Zirytował się, zamknął otwór dziobem i powiada: „*A ciapier cirkuliruj!*”. I tak oto, z naszej łaciny, z polszczyzny i z białoruskiego folkloru ulepiliśmy nazwę, bardziej malowniczą niż *petitio principii: circumdupio in bociano*. Byłaby wiekopomna, gdyby nie to, że instytucje i ludzie przemijają, a młode pokolenia nie będą już prawdopodobnie wiedziały, jak wyglądał bocian albo żmija.

GRZECH PIERWORODNY

Żaden z namalowanych na świecie obrazów nie ma tej mocy co ten: rajskie jabłoń, wąż oplatający gałąź, Adam i Ewa. Przez długi czas ulegałem wywodom teologów, którzy grzechowi pierworodnemu nadawali znaczenie czysto duchowe, nie łącząc go ze złamaniem seksualnego tabu. Być może mieli rację, ale istnieje też racja inna, bardziej, by tak rzec, plebejska.

Kiedy zastanawiam się, co w moim myśleniu było od młodości najprostsze i dlatego najtrudniejsze do nazwania, natrafiam na sekret podobieństwa wszystkich ludzi, żyjących tu, teraz i dawniej. Mają po dwoje rąk, dwoje nóg i w dolnej części tułowia, między nogami, genitalia, które dzielą ich na mężczyzn i kobiety. Ponieważ są tak do siebie podobni, nigdy nie trzeba było im tłumaczyć, czym jest grzech pierworodny, bo doskonale to wiedzieli, skoro rozkosz przychodzi z dołu, z organów smrodliwych i ukrywanych przy pomocy ubrania. Zamiast „grzech pierworodny” mogliby mówić „wstyd pierworodny”, a o tym, że jest dziedziczny, przypomina im każdy pierwszy krzyk dziecka rozlegający się właśnie w strefie dolnej, krwi, uryny i fekaliiów. Grzech pierworodny znaczy tedy być poczętym i urodzonym tak jak są poczęte i urodzone zwierzęta, czyli być częścią przyrody. Wynika z tego, że w rajskim ogrodzie pierwsi nasi rodzice nie podlegali prawom przyrody, a jeżeli nie pożywali owocu z drzewa wiadomości, to właśnie dlatego. Wąż, obznajmiony zawczasu z ogromną literaturą o Ewie, w której przedstawiona będzie jako łakoma, lekkomyślna i przede wszystkim ciekawa, skusił ją do przekonania się, jak to odbywa się w przyrodzie nie-rajskiej, poza ogrodem Edenu, i dotrzymał obietnicy: świadomość dobra i zła pojawiła się wtedy, kiedy zawstydzili się i sporządzili sobie przepaski z gałązek i liści figowych. Owocem z drzewa wiadomości jest bowiem wiedza umy-

śłu o własnym górowaniu nad kruchym i śmiertelnym ciałem, tudzież o niepojętym ich spleceniu.

Innymi słowy, podwójność jako wynik upadku ale i jako warunek myśli. Wolne od tego mogą być, jeżeli wierzyć świadectwom podróżników, niektóre dzikie plemiona, no i dzieci.

„Będziecie jako bogowie...”. Czyżby podwójność była też atrybutem bogów, wbrew niewiedzy zwierząt i wbrew niekompletnej wiedzy Adama i Ewy, dopóki żyli sobie szczęśliwie w rajskim ogrodzie?

KAZIA

Parokorny wóz był kryty płótnem rozpiętym na leszczynowych łąkach i tak podróżowaliśmy kilka dni, a mnie oczy wylaziły z ciekawości. Szczególnie, kiedy wyjechaliśmy z płaskich polno-leśnych okolic w krainę pagórków i wielu jezior, o której miałem dowiedzieć się później, że tak ją kiedyś ukształtował aż tutaj sięgający lodowiec. Mnie ten kraj objawił coś, co zupełnie nie miało nazwy, a co dzisiaj nazwałbym może spokojnym gospodarzeniem człowieka na ziemi: dymy wiosek, bydło wracające z pastwisk, kosiarze siekący owsy i otawy, tu i ówdzie łódka u brzegu kołysana lekką falą. Nie żęby nie było tego samego i gdzie indziej, ale tutaj zgęszczało się to czemuś w zamknięty, nieduży obszar codziennych obrzędów i prac.

Na noc przyjęli nas gościnnie we dworze nad jeziorem. Moja pamięć zatrzymuje się na samej granicy powrotu, ale nie może jej przekroczyć i nie pojawia się ani nazwa miejsca, ani nazwisko gospodarzy, nic oprócz imienia Kazia, tej dziewczynki, na którą patrzyłem, o której coś myślałem, choć jak wyglądała już nie wiem, prócz tego, że nosiła granatowy marynarski kołnierz.

I tak to jest, wbrew spodziewaniu, że Kazia albo inna, jak ona zupełnie nieznaną, towarzyszy nam latami i ciągle zapytujemy, co się z nią stało. Bo ostatecznie można, koncentrując na niej uwagę, podnieść ją niejako do potęgi i nadawać jej tym większe znaczenie, że nic sentymentalnego nie zabarwia wyobrażeń. Jest to refleksja o rówieśnicze, która nie wybierała miejsca ani czasu żeby się urodzić w takiej nie innej rodzinie. Nie ma rady, wpłatuję ją w to wszystko, co zdarzyło się od tamtej chwili, a więc w historię stulecia, kraju, tamtych okolic. Dajmy na to wyszła za mąż, miała dziecko, wywieziona do Azji, głodna, zawszona, próbowała tam siebie i dziecko ratować, ciężko pracując, odkrywając ten wymiar istnienia, o którym lepiej milczeć, bo nie mają z nim nic wspólnego nasze pojęcia o przyzwoitości i moralności. Dajmy na to, że dowiedziała się o śmierci jej męża w gułagu, że znalazła się w Iranie, że miała jeszcze dwóch mężów,

że mieszkała kolejno w Afryce, w Anglii, w Ameryce. I ten dom dzieciństwa nad jeziorem wszędzie towarzyszył jej w snach. Oczywiście w moich fantazjach przedstawiam sobie dzień i miejsce naszego spotkania jako dwojga dorosłych, które nigdy nie nastąpiło, być może nasz romans, jej nagość, jej włosy prawie na pewno ciemne, nasze zasadnicze podobieństwo dwojga tej samej krwi, języka, obyczajów. Za dużośmy sobie nawyobrażali o tym, co ludzie zwykło dzielić, naprawdę moglibyśmy my, tych dwoje, być zaślubieni i też byłoby dobrze i nasze życiorysy tak zatarłyby się w ludzkiej pamięci, jak zacierają się teraz, kiedy niczego co naprawdę czuła i myślała nie znam i nie potrafię opisać.

Czesław MIŁOŻ

Krajowa edycja "Kultury"

Od lipca 1987 roku niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Cena numeru 900 zł.

Do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Krajowa edycja Zeszytów Historycznych

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1988 (nry 83, 84, 85, 86) i 1987 (nry 79, 80, 81, 82). W dalszej kolejności będą ukazywać się roczniki wstecz, licząc od 1986. Cena rocznika w estetycznej sztywnej pochwycie wynosi 6.000 zł.

Numerzy *ZESZYTÓW* z roku 1989 będą wydawane w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Jest już do nabycia nr 87 (luty 1989).

ZESZYTY HISTORYCZNE można nabywać za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Pole garncarza

Dyrektor jak każdy mądry człowiek wywinął na wierzchu kieszenie palta, żeby nie kusić tych wszystkich, co się dorabiają okradając śpiących i dopiero wtedy wyciągnął wygodnie na ławce ogromne ciało. Tymczasem w nocy chwycił mróz i w Tompkins Square Park alejki się zaiskrzyły. Z samego rana, kiedy baptyści przywieźli kawę i kanapki z tuńczykiem, Pchełka, który spał po sąsiedzku, miał padaczkę alkoholową i miękkie serce, potrząsnął Dyrektorem raz i drugi, ale ten się nie poruszył.

Pchełka przysiadł koło niego, napił się kawy i przeżegnał. Zamknął mu wybałuszone niebieskie oczy i zamyślił się.

Akurat nadleciał wiatr znad oceanu. Przegonił zimną mgłę ze środkowego klombu. Skreślił w polską aleję, pobawił się chwilę siwymi kudłami na głowie Dyrektora i zniechęcony powłókł się w górę miasta.

Zaraz potem z wieżowca przy Avenue B wysypała się i zanurzyła w szachownicy parku grupka młodych urzędników z Wall Street. Trzaskając teczkami i myśląc o rzeczach niedostępnych dla innych szli w stronę metra na St Marks Place. Za nimi zataczając się z niewyspania i kołyszając umalowanymi biustami przeszły przez park trzy siostry prostytutki, pracujące w burdelu na jedenastej ulicy. Przy wejściu do parku bogacz Pijawka zapuszczał krzywe oczka w okna swoich czterech wychodzących na park kamienic. Miał nadzieję, że zobaczy coś nieprawidłowego, za co można wyrzucić albo chociaż podnieść czynsz.

Tymczasem na ławkach, postękując i dygocąc, wychodziło ostrożnie ze snu coraz więcej ludzi.

Dwie ławki za Dyrektorem Grzesio, drapiąc się i ziewając, ustawił na dnie blaszanego kubła na śmiecie kawałki drewnianej skrzyni. Wcisnął pod spód gazetę i podpalił. Niebieskie płomyki

objęły papier, liźnęły drzewo i buchnęły ku górze. Grzesio z ulgą wyprostował opuchnięte ciało, osadzone nierówno na krótkich nogach. Zerknął na wystające za ławkę nogi Dyrektora. Ależ to był kawał chłopca — powiedział z uznaniem.

— On był dużo większy — mruknął Pchełka. — Tylko kiedyś polazł w nocy do tej części parku, gdzie śpią Ukraińcy. Tam mu połamali żebra i się skrócił chyba o głowę.

Pchełka wygrzewał nad ogniem chudziutkie, pokrzywione ciało. W Polsce skończył Technikum Ogrodnicze. Jak każdy marzył o przyjeździe do Ameryki i swego dokonał.

Połykliwy Boeing American Airlines przeleciał nisko nad parkiem. Zadarli głowy i popatrzyli w niebo. W tej części Manhattanu obdrapane, mizerne, z odłączającymi pasemkami wypłowiałych chmur. Samolot zatoczył łuk i poleciał w stronę lotniska Kennedy'ego.

— To jak będzie? — zapytał cicho Pchełka.

Grzesio spojrzął na niego, wzruszył ramionami i roześmiał się skrzekliwie.

— On nie ma papierów. — Pchełka smutno popatrzył w ogień.

— Jak go policja znajdzie, to go wywiozą na Hart Island i zakopią na Pottery Field. To jest teren więzienia. Nikt go nigdy nie odwiedzi. Groby są nieoznakowane. Nikt go nie odnajdzie.

— A kto go będzie szukał? — Grzesio dorzucił do kubła wilgotną szmatę i zniknął na chwilę w kłębach gorzkiego, dobrego dymu.

— Tam grzebią bez mszy, w niepoświęconej ziemi — marudził Pchełka.

Grzesio splunął do ognia i przymknął oczy.

Alejką przeszedł dwuszeręg trzymających się za ręce dzieci. Miały nasunięte na oczy czapki. Znad szalików sterczały białe nosy i płonące policzki. Za nimi kroczyła z godnością młodziutka nauczycielka. Dzieci skręciły do wydzielonego ogródka i płosząc gołębie, z krzykiem rozbiegły się między huśtawkami.

— Zakopimy go na bocznym klombie przy ogrodzeniu. Tam w nocy nikt nie chodzi. Wiosną można posadzić frezje. Fioletowe, białe i żółte. Tyle że frezje ciężko rosną z ziarna. Byśmy musieli skombinować sadzonki.

— Żadne byśmy — skrzywił się Grzesio. — Ja nie mam z tobą żadnej spółki. Ty masz szczęście, że wszystkiego się wygrzebiez, a mnie deportują.

Pchełka z namysłem poskrobał zapadnięte policzki. To prawda, nie mógł narzekać. Był tak lekki, że jak padaczka tłukła nim o ziemię, nigdy nie zrobiła mu większej krzywdy. Miał dopiero trzydzieści lat, ale był tak zniszczony, że wyglądał na pięćdziesiąt. Dzięki temu w zeszłym roku wzięli go bez sprawdzania

dokumentów do najlepszego schroniska dla bezdomnych na Manhattanie, gdzie prawie nie gwałcą, nie wpuszczają z bronią i przyjmują po czterdziestce. Tam przechował się całą zeszłą zimą, aż dopiero ktoś zawistny na niego doniósł.

Spojrzał na rozwalone na ławce ciało i pokręcił głową. — On sobie nie zasłużył, żeby go zakopywać we wspólnym grobie na Pottery Field. To był człowiek z kulturą. Mył ręce, a potem jeszcze opalał je nad ogniem.

— Mógł być pedałem. — Grzesio zapalił skręta, zaciągnął się i rozkaszał. — Pedały często pakują się w straszne kłopoty przez to, że się brzydzą brudu.

— Jakim pedałem — Pchełka wyciągnął z kieszeni resztki kanapki i porządnie rozłożył je na ławce. — On w Polsce domy budował. Jak tu przyjechał, miał wszystko. Żonę, współnika, Cadillaca... Jadł tak na co dzień jak żaden Amerykanin nie je od święta.

Zamachnął się i zaczął szeroko siać okruszynami. Wiewiórki zbliżały się w milczącej tyralierze.

— A to ciekawe, czego szukał w parku? — uśmiechnął się Grzesio. Cisnął petem w dorodnego szczura, który przepychał się między wiewiórkami.

— Wspólnik go zdradził, oszukał, odebrał mu wszystko po kolei.

Pchełka urwał, przełknął raz i drugi ślinę i zadygotał. Zapuścił rękę do kieszeni i wyłowił zmiętego dolara. — Dołoż się — spojrzął na Grzesia — zrobimy piwo, dużego Millera.

— Nie mam centa — skłamał Grzesio i odwrócił oczy.

Grzesio miał żonę, syna, który nie mógł chodzić i parszywy charakter. Jak hiena krążył z plastikowym kubkiem, niuchając czy ktoś w parku nie robi przyjęcia i nachalnie się podłączał.

Remontował na czarno mieszkania po 16 godzin na dobę i porządnie zarabiał. Ale jadł po kościołach, flaszki nie postawił i od sześciu lat nie przespał się pod dachem, tylko wszystko co zarobił słał rodzinie za ocean. Spuchł z tej chytrności, zrobił się czerwony na gębie, a pod oczami kołysały mu się sine worki. Kiedyś w Polsce siedział za politykę i w więzieniu mu się charakter wykrzywił.

Prawa ręka Dyrektora stuknęła o ziemię.

Pchełka podniósł się i podeszedł do ławki. Dobłą chwilę mowcał się z ciałem, ale Dyrektor nie dał się przekręcić twarzą do oparcia. Pchełka zdjął wypłowiałą narciarską czapkę, naciągnął mu na oczy i ruszył do sklepu, gdzie krzywa Hiszpanka sprzedawała najtańsze piwo.

Grzesio zerknął na ręce Dyrektora. Potem na swoje. Poruszył lewą, wyciągnął z kieszeni prawą. Przez chwilę zginał i starannie rozprostowywał palce.

Tymczasem przez szpary w chmurach przecisnęło się słońce. Trzy zaślinione kundle zaczęły gonić przesuujące się po trawie ciepłe plamy. Handlarze *crack'a* siedzący równym rzędem na oparciach ławek zadarli do góry ciemne twarze, a w Ukraińskiej Alei mężczyźni wyjmowali spod płaszczy szachownice.

Pchełka wrócił z litrową butelką. Rozlał do plastikowych kubków. Wypili szybko raz i drugi. Potem już wolniej, smakując, pociągali po łyku.

Naprzeciwko Dyrektora usiadła na ławce malutka Chinka. Miarowo kołysała wózek, w którym zanosiło się płaczem paromiesięczne dziecko. Kobieta przyglądała mu się z namysłem. W jej płaskiej twarzy paliły się dobre czarne oczy.

— No i co to takiego leżeć na Pottery Field — zauważył Grzesio. — Ja tam byłem popatrzeć, jest całkiem dobrze.

— Akurat tam byłeś — mruknął Pchełka. — Tam jest więzienie, nikogo nie wpuszczają.

Wypili jeszcze parę łyków, twarze im pojaśniały, ręce przestały dygotać.

— Nie byłem na samej wyspie. Ale dojechałem do promu. Tam się jedzie z Manhattanu autobusem przez Bronx, wysiadasz na Long Island City, idziesz kawałek, mijasz restaurację rybną, pole golfowe i skręcasz w lewo. Za przystanią jachtów jest to molo, trzech klawiszów i pies, rudy... kundel. Tam zwożą trumny z całego Nowego Jorku i układają je równiutko. Każda ma swój numer. Jak się zbierze więcej, przyplływają więźniowie, zabierają trumny na wyspę i zakopują je porządnie na tym polu. Jest spokojnie, dookoła woda i dużo ptaków.

— A ty wiesz, za czyje pieniądze kupione jest to pole? — zapytał Pchełka.

— A co to mnie obchodzi, za czyje?

— Za Judaszowe pieniądze — pochylił się do niego Pchełka.

— Za krwawe pieniądze, za srebrniki.

— A co ma do tego Judasz? — Grzesio podsunął pustą szklankę.

Pchełka nalał, zakręcił butelką i wlał sobie w gardło resztę. Wrzucił fiaskę do wystygłego kubła.

— Katolik jesteś i nie wiesz? To ma Judasz, że jak wydał Chrystusa, to go jak każdego ruszyło sumienie i pożałował. Wrócił do kościoła, żeby oddać arcykapłanom trzydzieści srebrników, ale oni już ich nie chcieli z powrotem, bo na nich była krew Jezusa. Nie wiedzieli co zrobić, aż dopiero któryś wpadł na pomysł, żeby za te pieniądze kupić pole i grzebać na nim cudzoziemców. Jeden garncarz zgodził się sprzedać. Pottery Field to jest Pole Garncarza, znasz angielski, nie?

— Iii — skrzywił się Grzesio. — Jeżeli nawet, to tamto pole jest w Izraelu. A tu jest Nowy Jork.

— A dlaczego się nazywa Pole Garncarza? — Zrozum człowieku, to jest zawsze jedno i to samo pole. Dla kryminalistów, nędzarzy bez nazwiska, odrzutków...

— Dla cudzoziemców — poprawił Grzesio. — Sam powiedziałeś, że dla cudzoziemców.

— To wychodzi na to samo — Pchełka pogrzebał obcasem w ziemi. — Ziemia nie jest bardzo zmarznięta. Dalibyśmy radę, rozrzuciliby się ogień...

— Wszystko jedno, gdzie się leży — zastanowił się Grzesio.

— Wszystko jedno? Na Pottery Field jest przeludnienie. Grzebią w pięciu warstwach. To jest miasto najwyższych domów i najgłębszych grobów. Będiesz leżał na samym dole, a nad tobą będzie gnić czterech kryminalistów.

— Odczep się — warknął Grzesio. — Ja wrócę do Polski. Popracuję jeszcze pół roku, najwyżej rok. Odłożę jeszcze trochę pieniędzy i wrócę. Rodzina na mnie czeka.

Pchełka machnął ręką, splunął i nie odpowiedział. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Psy go wywają — powiedział w końcu Grzesio. — Jakbyśmy nawet spróbowali, tak czy inaczej go odgrzebią.

— Przez plastik nie wyczują. Trzeba go tylko przyzwoicie owinąć w worki.

Stado gołębi poderwało się z łopotem, zatoczyło koło i opadło na ziemię.

Grzesio spojrział na Dyrektora i pokazał w uśmiechu wyszczerbiony płot złotych zębów: — Swoją drogą, jeżeli Judasz rzeczywiście oddał te pieniądze, to miękki był człowiek. Dzisiaj by na Manhattanie daleko nie zaszedł.

Chinka wyłowiła spod płaszcza pełną mleka pierś. Wyciągnęła z wózka krzyczącego chłopczyka w niebieskich rajtuzach i czapce z różowym pomponem. Włożyła mu sutkę w usta. Mały przestał płakać, radośnie zabulgotał i zaczął ssać.

— No to jak będzie? — zapytał Pchełka.

Janusz GŁOWACKI

„Teno”. Dwie kartki

„TENÓ” to rodzaj popularnego w Polsce kalendarza-notesu. Jego pojemność pozwala na zapisywanie w nim nie tylko numerów telefonów, nazwisk, terminów spotkań i godnych zapamiętania drobniaków, lecz również rozmaitych spostrzeżeń, szczególnie istotnych rozmów, przemyśleń, wierszy, opowiadań, a nawet powieści. Z czasem trudno się z nim rozstać, gdyż staje się czymś pośrednim pomiędzy informatorem, dziennikiem i podręczną encyklopedią, bez której trudno się obejść. Przychodzi jednak czas, gdy trzeba się z nim rozstać, gdyż prowadzone latami zapiski zachodzą na siebie, wypełniają na marginesy, giną w płataninie linii. Nakładane na siebie warstwami jak geologiczne złoża, rzucając bez planu i logiki, nagle zdradzają dziwne korespondencje i utajone dotąd związki. Nieistotne pozornie zdarzenia okazują się niespodziewanie elementami jakiejś szerszej konfiguracji, przypadkowe rozmowy z opóźnieniem ujawniają swój rzeczywisty sens, normalne ludzkie spotkania obrastają jakąś niepokojącą metafizyką. Wówczas rodzi się żal, że nie da się tego nikomu już opowiedzieć, że czas na te słowa już dawno odplynął, że ci ludzie i zdarzenia są już za szybko, gdzie nie dobiega ani głos, ani krzyk. I wtedy chce się ocalić choćby dwie, trzy kartki; jakąś sytuację, do której zbyt późno odnalazło się wejście; jakiegoś człowieka, któremu nie umiało się tego, co można było, powiedzieć.

KARTKA 38

Konwicki kołusze się nerwowo w fotelu na biegunach. Jego palce przywarły mocno do oparcia. Poprzez szkła okularów spoglądają zimne, zblakłe od złości, trochę nieobliczalne oczy. Odro-

binę niesamowity, chrapliwy głos raz za razem wznosi się do krzyku, napięcie rośnie, tężeje w powietrzu. Sprężyna nerwów rozkręca się, coś niedobrego krąży dookoła, zagląda przez ramię, mąci zdania, przeszkadza. Pośrodku, pomiędzy nami, akurat o szybkie wyciągnięcie ręki, leży spora popielnica. Wyraźnie hipnotyzuje nas obu. Wystarczy tylko jeden ruch... Cały czas czuje się, że może przeżwać nawet jedno nieodpowiednie słowo. Jedna, jedyna kropla niepohamowania. A wtedy co? Ostry, przezroczysty błysk popielnicy czy wypchnięcie za drzwi? Czy to jeszcze gra, czy już rzeczywista wściekłość? Próba zakrzyczenia obudzonego nagle niepokoju? Dramaturgiczny efekt? Ostry ból zardawnionej rany?

Papierosy leżą nie rozpieczętowane. Herbata już dawno wystygła. Magnetofon obraca się ślamazarnie, jakby chciał przecze-kać ten kolejny paroksyzm rozmowy. Tylko kot Iwan zdaje się nie dostrzegać niczego nadzwyczajnego — uważnie studiuje każdy ruch ptaków na balkonie. Minuty i kwadrans nieporuszonego czuwania pod przeszkłonymi drzwiami. Od czasu do czasu nerwowe drgnięcie głowy, błyskawiczne podniesienie łapy ku szybie.

Były jeszcze inne sytuacje. Zabawne i miłe, niepokojące i ni-jakie. Ale kiedy zaglądam w lustro przeszłości, właśnie ta, jako pierwsza, wypływa nieregularnym okręgiem z ciemności. Dlaczego ta, a nie inna? Z jakiego powodu przytłumiła, zatarła tyle innych — ciekawszych, efektowniejszych, ważniejszych?

Pytano mnie nieraz — z nieczystymi zresztą na ogół intencjami — dlaczego powstało „Pół wieku czyśćca”? Jakże złe i dobre prądy wiodły ku tym wielogodzinnym rozmowom, podchodom i zwierzeniom? Jednym opowiadałem, że z ciekawości; drugim, że z podejrzliwości; trzecim wreszcie, że z ciśnienia chwili i gatunku.

Bez wątpienia najstarszym ludzkim impulsem jest rozmowa. Niezwykła wręcz kariera „rozmów z pisarzami” w ostatnich latach nie jest czymś przypadkowym. One musiały się pojawić. Zwiastowało je już wyczerpanie form literackich w prozie polskiej od połowy lat sześćdziesiątych, wyrażające się zalewem stylizacji, dzienników, pastiszy, apokryfów, tworców autotematycznych i heterogenicznych. Kiedy w literaturze tworzy się *horror vacui*, nagła próżnia musi być czymś zapełniona. Tym razem wlały się w nią rozmowy, zaspokajając jakże naturalne łaknienie autentyku, paradokumentu, spowiedzi, plotki, intymności.

Wzorów nie było zbyt dużo. Cóż mogłem znać wtedy, na początku orwellowskiego roku 1984: „Rozmowy z Goethem” Eckermanna, „Rozmowy z Lévi-Straussem” Chardoniera, „Rozmowy z Gombrowiczem” de Roux, rozmowy Miłosza z Watem w „Moim wieku”, zapewne „Rozmowy z Miłoszem” Fiuta. Nie wiele, ale wystarczająco, zwłaszcza jeśli zważyć, że najbliższe lata miały przynieść prawdziwą lawinę „książek-rozmów”. A więc zostałem wessany przez kollaps literatury, ciśnięty w „czarną dziurę” potrzeb swojej epoki?

Zapewne, ale to tylko jedna z niewidzialnych rąk, wlokących mnie za włosy w stronę paskudnego Pałacu Kultury, ku tej nieprzyjemnej, pełnej napięcia chwili przy ul. Górskiego 1 w Warszawie. Była bowiem jeszcze inna ręka: długa, giętka, trochę niepokojąca i tajemnicza; ręka przypadku, losowej ruletki, luźnego związku wydarzeń, których na pozór nie łączy nic. Jakież bowiem związku mają nos spędzona na kradzieży w kołchozie „Nowy Mir”, pewna na wyrost rzucona pod Ostrą Bramą opinia, pensjonarski list, nadmierna przenikliwość cenzora i zmiana tematu habilitacji przez mojego przyjaciela? Na pozór żaden, lecz właśnie te wydarzenia zawiązały się w supeł, którego rozwiązaniem okazało się „Pół wieku czyścica”.



Mieszkańcy małej wioski Nowy Mir nie mogą powiedzieć, aby los ich rozpieszczał. Każdego poranka o godzinie 6.00 z głośników typu „kukuźnik”, które niczym pajęcza sieć opasują wszystkie domy osiedla, rozlega się energiczny głos: „Grażdanin Makarow pracuje dzisiaj w sektorze 4-tym, grażdanka Zubowa w sektorze 3-cim, a grażdanka Ostrowskaja nie pojedzie dzisiaj na handel do Moskwy, lecz pójdzie do sektora 9-tego”. Po powrocie z pola zaczyna się dramatyczna walka o życie. Z 35-ciu rubli miesięcznie nie wyżywi się nikt, więc każdy coś kombinuje. Jeden ma krowę, którą wypasa na kołchozowym polu, drugi dostęp do silników, więc handluje ropą i benzyną, trzeci robi buty z kradzionej skóry, jeszcze inny produkuje domowy spirt. Właściwie nad każdym wisi widmo więzienia lub zesłania. Miejscowe władze naturalnie wszystko wiedzą dokładnie, lecz jakoś nikomu nie dzieje się krzywda. Każdy tutaj jest częścią gordyjskiego węzła zależności, relacji, układów, pokrewieństw, szantaży. Obowiązują więc zasada domina. Trącenie jednego elementu może spowodować reakcję lawinową. Mała społeczność trwa w stanie chwiejnej równowagi, w stanie paradoksalnego klinca, którego stabilność opiera się na tym, że każdy na każdego ma „haka”. Nie oznacza to jednak, że wszystko wolno. Mieszkańcy wioski wytworzyli swoje tajemne reguły, których granice nie są co praw-

da oznaczone, lecz przecież dla każdego dobrze wyczuwalne. Zrozumiałem to podczas pewnej ciężkiej nocy.

Ledwo zasnąłem zwalony nadmiarem samogonu, a już usłyszałem dzikie walenie do drzwi. Gospodyni zrywa się z łóżka, zgarbia odwiecznym chłopskim gestem koszulę na piersi i szepce z przerażeniem: — „Odkrywaj Stanisław, to musi KGB”! Zdrętwiałem, przez głowę przelatuje szarańcza myśli, a pośród nich ta najważniejsza, że zapomniałem zgłosić się do rajkomu. Po uchyleniu drzwi widzę jednak jakiegoś łapciucha z wiadrem w ręku. — „Brac co tam macie i pod kołchoz”! Zniknął jakby go wywiało. W pośpiechu zbieramy więc jakieś wiadra, węglarki i pędzimy pod bramę wjazdową. Scena iście surrealistyczna. W ostrym świetle księżycy widać traktor z dwiema przyczepami wypełnionymi kopiasto ziemniakami, a na nich uwijających się gorączkowo ludzi. Organizacja pracy wręcz pokazowa. Mężczyźni na przyczepach żwawo zgarniają kartofle do podawanych pojemników, reszta zaś stoi w karnej kolejce. Ci, którzy mają już pełne wiadra, pędem ruszają do domów i wracają, by znów stanąć na końcu. Brama kołchozu zamknięta, pijany w sztok traktorzysta leży pod siatką ogrodzenia. Wszystko odbywa się w grobowej ciszy, przerywanej niekiedy nerwowymi szeptami. Jakże to urokliwa i malarska scena. Trudna do opowiedzenia, pełna napięcia, solidarnej determinacji.

W miarę jak pustoszeją przyczepy, emocje wzrastają. Podobnie jak inni co pewien czas nerwowo rzucam okiem na pobliski budynek, przypominający mi to cekhauz, ni to oborę. W tym niskim, długim, białym gmaszysku mieszka przewodniczący kołchozu oraz jego przyjaciel, pełniący funkcję wartownika. Nazywają go tu Himmlerem. Podobno obaj również pijani, więc nie ma powodów do niepokoju, lecz któż może być pewny, że się nagle nie obudzą? Za tymi jasnymi, wykonturowanymi przez księżyc ścianami czai się niebezpieczeństwo. Po pijanej głowie kołaczę się myśl, że skądś znam ten budynek, że nazywa się Puzkarnia. Dlaczego Puzkarnia? Dopiero po chwili lokalizuję nazwę: to z prozy Konwickiego. Stały element podwileńskiego pejzażu, który nieustannie przewija się w jego książkach, podobnie jak Młyn Francuski, Wilejka i Klasztor. Miejsce zagadkowe, promieniujące aurą niezwykłości i niemożliwej do zgłębienia tajemnicy. Najwyraźniej w trakcie tych długich jak dzień bez jedzenia kwadransów, napiętych i nerwowych, odbywało się swoiste nakładanie dwóch irrealnych rzeczywistości: doświadczanej i książkowej. Przystępując z nogi na nogę, oganiając się od alkoholowych oparów czułem się pewnie jak Polek Krywko z „Dziury w niebie” lub Wicia z „Kroniki wypadków miłosnych”. Zanurzony w gorączkę, dreszcze, zagubiony pomiędzy imaginacją a jawą, stałem w tym dyszącym tłumie zahipnotyzowany tym białym

budynkiem i wmyślałem się w zagadkę jego wnętrza. Ciężko, chorobliwie, natrętnie aż do zmęczenia. Obudzone w podświadcności widmo, majak, potworniejące w wyobraźni widziadło.

Przed brzaskiem na przyczepach nie było już ani jednego ziemniaka. Ludzie rozchodzili się sprawnie, w milczeniu, niczym członkowie tajnego spisku. Przed powtórny położeniem się do łóżka spytałem zaniepokojony: „Czy nie będzie z tego jakiejś afery? Przecież u was ktoś musi donosić”? Grażdanka Ostrowska macha ręką z leniwym lekceważeniem. — *Niczewo nie budiet*. Długo jeszcze leżałem bezsennie, przewracając się pod parzącą pierzyną. Wlokące się kwadransy. Chrapanie śpiących. Pół-sen, pół-jawa. Męcząca, pełna lęku, ale zarazem dziwnej pokusy. Spomiędzy przelewających się na ekranie powiek obrazów znów wyłoniła się Puzkarnia. Już sama jej nazwa zdawała się czymś groźnym, dwuznacznym. Pograżone w mroku wejście, zaduch zgniłych ziemniaków, łomotanie serca. A potem ciemne i wąskie korytarze, kolejne piętra podziemnej wieży Babel, gigantyczny labirynt, z którego nie będzie już wyjścia.

Zbudziłem się z tych koszmarów mokry jak mysz. Równocześnie jednak pośród tych nocnych zmagani urodziło się przekonanie, że muszę zobaczyć prawdziwą Puzkarnię. Czy ona rzeczywiście istnieje? A jak wygląda Wilno? Przecież przynajmniej raz w życiu należy zobaczyć Rosę, Wzgórze Giedymina, Baksztę, Górę Trzykrzyską, Ostrą Bramę, bazylikę św. Piotra i Pawła na Antokolu, kościół św. Barbary. W podjętym postanowieniu nie było wysokich pobudek. Zrodziła je duszna atmosfera kołchozu, znużenie nadmiarem wódki, nocne majaki i zbudzone w pamięci obrazy z książek Konwickiego.

W dwa lata później staliśmy z B. przed klasztorem Bazyliańców w Wilnie. Waląca się rudera, wokoło jakieś belki, śmiecie. Zaczęliśmy szukać celi Konrada. W zdewastowanych korytarzach warstwy kurzu i sadzy, jakieś butwiejące deski, przerdzewiała kuchenka, sznury z pożółkłą bielizną. Czytałem, że w końcu lat dwudziestych wmurowano tu tablicę z napisem: „*Hic obiit Gustavus, natus est Conradus*”. Nie ma nawet śladu. Nic z ducha „Dziadów”. Wróciliśmy pod Ostrą Bramę. Przez kościół schodkami weszliśmy do środka. Nie było nikogo. Pomodliliśmy się. Znowu wyszliśmy na zewnątrz. Rozleniwione zmęczenie, ospałość, apatia. I właśnie wtedy usłyszeliśmy gwizd lokomotywy. Nicco bezmyślnie, jakby bez samokontroli, tak aby wypełnić czymś nieznośną ciszę powiedziałem: — „Wiesz, w tym samym miejscu Wicia z „Kroniki wypadków miłosnych” też usłyszał lokomotywę. Książki Konwickiego są napisane tak, że mogły-

by służyć jako przewodniki po mieście i okolicach”. Zdanie bez znaczenia, z cząstkową zaledwie asercją, rzucone bez dbałości o prawdziwość. Zapomniałem jakoś, że B. nie należy do osób, przy których można rzucać słowa na wiatr. Cierpi na swoisty trismus poznawczy, gdyż raz uchwyciwszy informację musi ją przeżuwać do końca. — „Jeśli tak, mam dla ciebie propozycję. Przerzuć wieczorem tych parę książek Konwickiego, które mam w domu i zaproponuj trasę. Jakies stare plany też się znajdują. Sprawdzimy”. Wiem się, kręciłem, ale nie było wyjścia. Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Gdy zacząłem kartkować, uruchomił się mechanizm gry, pragnienie pozytywnej weryfikacji, obudziło się widmo Puzkarni, Młyna Francuskiego, Kolonii Wileńskiej.

Nad ranem obudziło mnie kilka ożywionych głosów. Okazało się, że przyszło kilka młodych osób rozpalonych duchem hazardu. Każdy z nich coś czytał. Jeden „Wniebowstąpienie”, drugi „Dziurę w niebie”, trzeci „Zwierzoczekoupiora”. Oczywiście „Kompleksu polskiego” i wydanej właśnie „Małej apokalipsy” nie znał nikt. Dziś trudno już odtworzyć trasę wędrówki, lecz pamiętam, że wyznaczały ją przede wszystkim „Kronika wypadków miłosnych” i „Dziura w niebie”. Już przechadzka ulicami Wilna przyniosła pierwsze potwierdzenia. Ta sama kolejność ulic, usytuowanie kościołów, budynków. Dotarliśmy do ciastkarni, gdzie Alina i Witold kupili lody. Nie zgadzało się. Ale młodzi ludzie byli dociekliwi. Porozmawiali ze sprzedawczynią w sklepie. Ta odesłała ich do jakiegoś dziadka mieszkającego za rogami. — „Tak, była tu lodziarnia, ale jeszcze przed wojną”. Po chwili nowe odkrycia detektywistyczne. Wzrasta żądza nowych potwierdzeń. Ruszamy więc za miasto w kierunku Nowej Wilejki i Kolonii Wileńskiej. Pavilnius? Czy to jest to samo? Wyciągamy przedwojenną mapę i docieramy na miejsce. Stare chałupiny, walące się płoty, porozrzucane drągi, żelastwo, koryta, klepki od beczek. Bez trudu odnajdujemy Puzkarnię. Nieefektowny, niski budynek o mocnej konstrukcji z małymi oknami, pociągnięty pożółkłym wapnem. W środku chlewnia i skład jakichś maszyn rolniczych. To chyba to, nic więcej w okolicy nie odpowiada opisowi Puzkarni. Zaczynamy szukać Młyna Francuskiego. Idziemy wzdłuż Wilejki. Wszystko jakieś sparane, rozsypujące się, sowieckie. Szczekają na nas psy za parkanami, kobiety stają na progach i przysyłają oczy rękami, pod nogami płaczą się bosa dzieciaki w rozciągniętych do kolan spodenkach. Jakos odchodzi nam ochota do rozpytywania. Docieramy do stromej, pnącej się wśród krzewów skarpy. Słyszac odgłos przejeżdżającego pociągu rozumiemy, że właśnie tutaj Konwicki usytuował miłosną scenę swoich bohaterów z „Kroniki”. Wspinamy się w górę, aż na zrąb doliny Wilejki. Widać dwupoziomowy układ wioski.

To prawdopodobnie powieściowe Młyny Górne i Dolne z „Dziury w niebie”. Tutaj rozgrywały się boje pomiędzy „dolinarzami” i „góralami”. Gdzie jest jednak Młyn Francuski? Poza rodzajem małego jazu, betonowego spiętrzenia wody, nie widać w krętej perspektywie żadnego młyna. Dopiero po chwili rozumiemy, że właśnie to, co mamy przed oczami musi stanowić resztki Młyna Francuskiego. Zapewne rozleciał się ze starości lub zburzono go, a na jego miejscu zrobiono ten próg wodny. Rozterka pomiędzy zadekretowaniem odkrycia a koniecznością powrotu. Zresztą tylko jeden Konwicki może rozstrzygnąć nasze wątpliwości. Zmęczenie podszeptuje, że ostatnie potwierdzenie zostało dokonane, nikomu nie chce się iść dalej. Ciągniemy się ślamazarnie. Jeszcze Góra Puzkina i zdjęcia na Wzgórzu Giedymina z widokiem na katedrę. Choć połowiczne, ale jednak uczucie drobnego tryumfu, zadowolenie dzieci, że bajka przynajmniej w części okazała się prawdziwa.

Kilka tygodni później napisałem pensjonarski list. Poczuję jakąś bliskość do człowieka, którego tropami podążałem najpierw bezwiednie, a później coraz bardziej świadomie. Coś z błysku zrozumienia dla tej obsesji doliny, płytkiej rzeczki ryjącej sobie krętą drogę w jej gardle, spadzistych brzegów porośniętych krzewami i kępkami drzew, jakichś zapomnianych młynów, puszkarni, nie istniejących już ścieżek, domów, dróg i rojstów. Wierność pamięci dla tego, czego już nie ma i nigdy nie będzie. Pomyślałem, że jest w tym jednak coś ładnego. Ta zaciekle tęsknota, ten nieukojony spazm żalu za stratowaną ojczyznę dzieciństwa, ten gwałtowny głód powrotu, który nie ogląda się na żadne koszty literackie, nawet pod groźbą autoepigonizmu. Siedzi w swojej ciasnej niszy pośrodku Warszawy, tuż koło znieawidzonego Pałacu Kultury, zapomniany od świata, z milczącym telefonem, coraz częściej omijany przez przyjaciół. Pisarz opozycyjny, wyklęty publicznie przez Gomułkę, skreślony z listy żywych przez Gierka. Może również kontestowany przez opozycję, która obraziła się za „Małą apokalipsę”? Ileż goryczy jest w tej książce! Moralny szantaż wobec pisarza, od którego wymaga się samospalenia pod budynkiem symbolizującym zniewolenie. „Jesteście kością tego systemu” — mówi Konwicki do środowisk niezależnych. Straszne słowa, desperacka książka. Okropna samotność na gruzowisku złudzeń i rozczarowań. I może dlatego postanowiłem napisać, że nie jest tak całkiem samotny, że są jeszcze jacyś wariaci, nawet tam w Wilnie, którzy snują się jego śladami, szukając czegoś, co byłoby trwalsze niż ulotna fikcja powieściowa. Naiwny, prosty list, zrodzony z poczucia żalu, że ktoś się męczy w samotności,

przekonany, że słowa zostały wyrzucone w powietrze, że nosi je tylko wiatr.

Odpowiedź przysłała nieprędko. Kilkanaście zdań pisanych ostrymi zygzakami. „Nie mogłem wcześniej odpisać. Dopiero dziś otrzymałem list w szpitalu. Mam raka gardła. Być może umieram. Za kilka dni będę miał operację. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zdążymy wymienić jakieś listy. Dziękuję za Pańskie dobre i proste słowa. Cieszę się, że nie uległ Pan filologicznej nadświadomości i jednak napisał. Czasem taki list waży bardzo wiele. Przywraca wiarę, łagodzi ból. Myślę, że w naszej korespondencji mignęło coś magicznego. Ściskam dłoń. Konwicki”.

Minęło sporo czasu. Wiedziałem od znajomych, że operacja się udała. Nie pisałem już więcej, bo cóż można było powiedzieć. Pozostał jednak wiersz napisany pod wrażeniem tego poruszającego listu. Traktowałem go jak pożegnanie z kimś nieznanym, bezpowrotnie straconym. Wysyłając go do redakcji myślałem, że ukaże się po jego śmierci, że przełamie wreszcie znowu milczenia. Rozmowa z cieniem, głos przeciwko nicości. Nosił tytuł „Nie widzieliśmy się nigdy”. Nie padło w nim żadne nazwisko, nie było dedykacji. Jak często w tamtych latach kontury były mgliste, celowo zatarte.

*Nie widzieliśmy się nigdy
Pochodzimy z różnych krain
On z Litwy a ja z Korony
Urodziliśmy się w różnych epokach
A przecież straciliśmy wiarę w tych samych bogów
Czytałem wszystkie jego książki i scenariusze
Oglądałem filmy i kartkowałem wywiady
Znam pełną bibliografię opracowań
Wiem dlaczego wybito mu zęb
I skąd brat widelki na procę
Wiem jak smakuje woda w rzece jego dzieciństwa
Znam miejsce gdzie posiadał pierwszą kobietę
I wiem nawet gdzie zabił pierwszego człowieka*

*Weszę wytrwale po jego śladach
Coraz częściej dochodzę do miejsca
Gdzie rozpoczął swą wspinaczkę do nieba
Po przezroczystych wstążeczkach deszczu
Napisałem mu że istnieje
Odpisał że umiera na raka
I że dziękuje*

*Nie wiem dlaczego jest mi tak bliski
Ten szmat nieboskotonu między Trokami a Górą Trzykrzyską
Zryty jakby ogromnymi pazurami w konwulsjach
I ten człowiek z nożem wrastającym mu w gardło
Uwieszony za szelki pod chmurą*

Nie ukazał się. Cenzor okazał się należycie wykształcony i odgadł zniechęcone nazwisko. Choć przecież nie wiem do dziś, czy cenzorem nie okazał się po prostu redaktor działu poezji, znany zresztą i szanowany za poglądy poeta. Nie chciało mi się bawić w dochodzenia, nie miałem ochoty na żenujące dyskusje. Mogłem jeszcze wysłać wiersz do niezależnego obiegu, lecz kiedy minęło tyle miesięcy i znów wrócił do swego autora uznałem, że jego czas minął, że umarł wraz z sytuacją, która go zrodziła. Szczęśliwie nie musiałem żegnać jego bohatera. Głos zażegnane go wzruszenia, strzęp nazbyt osobistego wyznania. Ugrzązł na długie lata pośród innych, poźółkłych od starości zapisków.

Jedną z moich najcichszych radości była decyzja mojego przyjaciela, który postanowił napisać habilitację poświęconą prozie Konwickiego. Poczuję gwałtowną ulgę. Dziwne zaniepokojenie i poczucie wstydu, którego doznawałem spoglądając na książki pisarza, którego „nie widziałem nigdy” rozwiało się jak poranna mgła. Ktoś jednak ruszy w wędrowkę pośród tych literackich lasów, gęstwiny, bagnisk i steczek. Domyślałem się ujęcia, czułem, że świetnie uzupełni nie wydrukowaną książkę Walca, nad którą zawisło dziwne przekleństwo losu. Dyskretnie dopytywałem się, jak posuwa się praca i martwiłem się w milczeniu każdym upływającym miesiącem. W końcu zrozumiałem, że książka nie powstanie. Niepotrzebne były słowa. Praca habilitacyjna może być przyjęta tylko pod warunkiem włączenia jej do planu wydawniczego w wydawnictwie państwowym. Któż o zdrowej głowie puści się na ryzyko pisania książki, którą może przyjąć tylko podziemny lub emigracyjny wydawca? Nie miałem żalu, lecz zrozumiałem, że być może jeszcze długo nie dowiem się, kto ukrywa się pod ciężkimi zwałami zdań tej prozy; kim jest człowiek, który nie potrafi opuścić małego osiedla o kilka wiorst od Wilna; jaki diabeł litewski dławi go po nocach i z maniackim uporem ciągnie w puszczę i rojsty; jakie pokrętności opanowały tę duszę, która kijem z drukowanego papieru pragnie zawrócić rzekę historii? Pozostawało tylko jedno: zapytać. I tak powstało „Pół wieku czyścića”.

Jest morze opowieści do przebrnięcia, by choćby w części zrelacjonować to, czego nie zapisała magnetofonowa taśma, czego nie udźwignęły słowa i skrzyżowane ze sobą myśli. Piętra sprasowanych zdań, labirynty wyprostowanych zwierzeń, zasięki ominiętych podstępów, zwoje wyciętych akapitów, zdradliwych jak stary kapuś powtórzeń, tony chwytanym tylko okiem emocji i wybuchów, zwaliska zdławionych w pół słowa tajemnic, piramidy domniemań, których prawdziwości — tak prawie dotykanej — nie dowiedzie żaden sąd ludzki. Morze przykryte piaskiem autoryzowanych liter. Odmęt bez asercji i bez myślenia. Tajemniczy i fascynujący, bodaj bardziej niż sama książka. Ale tej historii nie opowie nikt. Strzeże jej niepisana umowa, rozumiana sama przez się lojalność.

A przecież była tylko bezsenna noc pod kołchozem „Nowy Mir”, rzucona przypadkowo opinia, zrodzony z egzaltacji list, zapobiegliwość cenzora i nie napisana habilitacja mojego przyjaciela. I doprawdy nic więcej. Garstka nieistotnych, indywidualnych przypadków, które zrodziły kolejne „rozmowy Polaków”. One zaś z kolei przyniosły coś zupełnie nieoczekiwane dla obu rozmówców: ambiwalentne rozrzewnienie i sentyment, a równocześnie rozterkę, przykrość, może nawet ból. Coś poza językiem, rozproszone w powietrzu. Nieuchwytnie, choć odczuwalne, niemożliwe do odpędzenia. Nawiązała się jakaś bliskość, lecz równocześnie pękła dawna, bezinteresowna, czysto duchowa nić. Gdy ludzie zagląдают sobie w zakamarki duszy, nie potrafią o tym zapomnieć, „jeż się” wewnątrz, odchodząc ten tyleż dobrowolny, co i wymuszony ekshibicjonizm. Im wrażliwsza istota, tym silniejszy bunt podświadomości, tym większe cierpienie. Osobnicy gruboskórni nie wiedzą o tym nic. Może dlatego tak trudno czasem wytłumaczyć, że ceną takiego przedsięwzięcia jest nader dwuznaczna, jakby obolała i sponiewierana bliskość. Nie przypadkiem w „Rozmowach” zacierała się granica pomiędzy udawaniem a pasją, akceptacją i wrogością, rodzącą się i świadomie odsuwającą na bok więzią umysłów. Kiedy zaczynała się gra przed obracającym się magnetofonem, nie było zbyt wiele miejsca na lekkość i sentyment. Musiały padać zdania ciężkie i nieprzyjemne, musiały być zagrania zza bramki, zatrzymania gry i wznowienia. Bez pewności, czy nie zostanie przerwana ta cienka nić utkana z delikatnej przędzy ciekawości i magii skrzyżowanych przypadkowo dróg. Coś się otworzyło, ale zarazem pękło. Iluzję wyparł konkret, domniemanie przytłumiła — jakże zwodnicza — pewność, słowa zmiażdżyły gałązkę międzyludzkiej metafizyki.

Pomiędzy intencją a czynem, pomiędzy aktem a spełnieniem — jak powiadał Eliot — położył się cień. Cień uwolnienia i dwuznacznej ulgi, ale zarazem rozterki i łagodnego zawstydzienia.

Chłopcy z mojego podwórka nie mówili zbyt dużo. W grze kopano się ostro i boleśnie, w bójkach trzaskało płótno i wylaływały zęby. Nie inaczej było w Kolonii Wileńskiej. Mali mężczyźni nie mówili potem „przepraszam”. Wystarczało przełamane na pół jabłko, podsunięty ukradkiem scyzoryk, pozostawione na murku szajby. Gdy ujrzałem pierwszy egzemplarz „Pół wieku czyścica”, sięgnąłem do pudełka ze starymi papierami i wyciągnąłem zapomniany już wiersz, którym ongiś żegnałem Tadeusza Konwickiego. Pomyślałem, że też muszę zapłacić za te „Rozmowy” jakimś wstydem, słabością, jakąś ujawnioną intymnością. Włożyłem go do koperty i wysłałem. Po tygodniu przysłała odpowiedź: „Głęboko poruszający tekst. Szkoda, że nie mógł się ukazać. Rozumiem po co go Pan przysłał”. Nic więcej. Chłopcy nie mówią zbyt dużo. Przynajmniej ci ze starych podwórek i z zakurzonych steczek kresowych.

KARTKA 47

Kiedy anioły trafiają do więzień, to znaczy, że ziemia jest zła. Wczorajszy wieczór przeleciał jak pokaz na kinematografie. Przegadaliśmy kilka godzin z Bogusiem Kiercem. Jak zawsze w przelocie pomiędzy jednym miastem a drugim, pomiędzy niebem a ziemią. Najbardziej anielska istota, jaką kiedykolwiek widziałem. Poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser. Ucałowany szczerobliwie przez samego Boga, zdolny do dźwigania najtrudniejszych ról, predestynowany do tworzenia najpiękniejszych wierszy, a jednocześnie niedostrzegany, jakby z lekka lekceważony. Zjawisko z innego wymiaru, poza klasyfikacją, przesunięte poza akceptowaną normę. Chyba dla wielu z nas, wydeptywaczy ziemskich ścieżek, niepokojący, może nawet irytujący. Wciąż jeszcze pamiętam jego młodziutką twarz z „Popiołów” Wajdy, gdzie grał Krzysia Cedrę. Później starannie omijał film. Jakoś nigdy nie pomyślałem, by zapytać dlaczego. Wsiąkł w teatr, ugrzązł we Wrocławiu, zresztą chyba z pełnym przekonaniem wewnętrznym. Zapewne jeden z najzdolniejszych aktorów teatralnych swojego pokolenia. Bez aspiracji gwiazdorskich, pełen najgłębszego oddania swojemu zawodowi. Ezoteryczny krytyk literacki, którego książki są w najwyższym stopniu nasączone prywatną metafizyką i poetycką epifanią. Niespecjalnie kochany przez zawodowych historyków literatury, choć jego chimeryczne egzegezy niejednokrotnie pobłyskują drogocennymi okruchami rzeczywistych odkryć i rewelacji.

Przyjaźnił się blisko z Rafałem Wojaczkim, którego „Utwory zebrane” opublikował kilka lat temu w Ossolineum. Zawsze dziwiłem się temu związkowi dusz tak skrajnie odmiennych, lecz musiało w nim być coś naprawdę głębokiego, skoro właśnie Kiercowi autor „Innej bajki” powierzył całość swego literackiego spadku. Wielki, drapieżny, krańcowy Rafał i chłopięcy, liryczny, uduchowiony Bogusław. Doprawdy, dziwne połączenie, ale jest w nim jakaś logika. Gdy gwałtowna gwiazda zapada się w samobójczym kollapsie, musi się znaleźć ktoś, kto pozbiera rozsypaną radiację, scali ją, odda ludziom. Ktoś cichego serca, wyrozumiałego oddania.

Własne wiersze Kierc pisze pomiędzy kolejnymi wejściami na scenę, pomiędzy tramwajowymi przystankami, między chwilami krótkich olśnień urodą świata i nadrealności. Barokowe, polisemiczne, nierówne, w najwyższym stopniu nasycone intensywnością anielskiego doznania. Pisane z nieludzkim nateżeniem wewnętrznym, napełnione tyleż pięknem „tamtej strony”, co i jej najgłębszym cierpieniem. Każdy przysięgłby, że zrodziła je lekkość, beztroška, asocjacyjny automatyzm. A przecież przy tym wszystkim są ogromnie bolesne, introspekcyjne do granic perwersji, rozdubane do ostatniego morfemu. Już dawno straciłem rachubę jego tomików. Nie zauważa ich nikt. Od dwudziestu lat przechodzą cicho, bezszelestnie, skrajem rozkrzyczanej giedy. Obrócone ku własnemu wnętrzu, skupione, rezygnujące z wydeptanych dróg literackich, mają przed sobą tylko ciemną jasność, bezimienną chwałę, jak każda wartość, która dla siebie nie upomina się o nic.

Wczoraj znów wyszedł z więzienia. Nie wiem, ile go trzymali, czego od niego chcieli, co przeszedł. Ostatni spośród tych, którzy lubią o tym opowiadać. Przyglądałem się jego wciąż jeszcze młodej, jasnej twarzy i zastanawiałem się nad naiwnością ubeków, którzy myślą, że można go przestraszyć lub uzyskać jakieś ziemskie dane. Przecież on nie jest stąd. Powinni go zapytać, jak smakuje strużka tęczy lub ile szczebli miała drabina, która sniła się biblijnemu Jakubowi. On to wszystko wie doskonale i zna filozoficzną wykładnię. Tylko o tym mógłby im opowiedzieć.

Od kilku lat jest praktycznie bez stałej pracy. Po wyrzuceniu Brauna i rozgromieniu teatru „Współczesnego” wiedzie żywot teatralnego najmity. Raz tu, raz tam, bez przydziału, bez najmniejszej pewności, co przyniesie najbliższy miesiąc. Publikuje wiersze w niezależnym obiegu, reżyseruje bajki dla dzieci, gra po kościołach. I oczywiście pisze. W pociągach, hotelach, na dworcach. Naprawdę nie ma złego miejsca na tropienie śladów Pana na ziemi. Może to już ostatni z tych, którzy naprawdę wierzą, że rękę poety prowadzi transcendencja. Powiedział mi, że pracuje nad książką o aniołach. Zachwycałem się oczywistością

tego zamiaru, tak pełną i wyrazistą zgodnością psychicznej sylwetki autora z podjętym przez niego dziełem. Przez chwilę próbowałem go prowokować i drażnić, pytając, czy wie już, ilu serafimów mieści się na główce od szpilki. Już kilka zdań pozwala się zorientować, że sprawa wcale nie jest do żartu, choć angelologia w ojczyźnie Gałczyńskiego zawsze prowokuje do niepowagi. Ma być to praca poświęcona różnym formom epifanii w liryce współczesnej. Z rozpedu wyrzuciłem kilka nazwisk: Baczyński, Gajcy, Herbert, Harasymowicz, Grochowiak, Białośzewski... Jednak nie, okazuje się, że klucz jest bardziej wyszukany. Gdy padło nazwisko Przybosia, zaprotestowałem: jakież anioły u tego zimnego murarza poetyckiego sklepienia? Mistyczne objawienia u pisarza, którego do szczętu przeżarł racjonalizm? A jednak trudno wątpić, bo jeśli ktoś wie coś naprawdę o Przybosiu, to właśnie Kierc. Przyjaźnili się, korespondowali całymi latami. Właśnie autor „Równania serca” był tym, który najsilniej zaciążył na osobowości twórczej mojego rozmówcy. A więc nieznanne oblicze Mistrza? Już wcześniej zorientowałem się, że ten najwierniejszy spośród uczniów zachwiał się w wierze w swego Nauczyciela, lecz dopiero wczoraj zrozumiałem, iż nigdy nie zwątpił w obecność Dajmoniona w jego poezji. Słuchałem tej opowieści jak bajki. Okazuje się, że Przybos wielokrotnie w swoim życiu doznawał rzeczywistych, najprawdziwszych z prawdziwych objawień religijnych. Nie dopuszczał ich do świadomości, odrzucał je, racjonalizował, prasował w chińskich bucikach swej konstruktorskiej wyobraźni. Jego sceptyczne i apostatyczne „ja” z całą mocą broniło się przeciwko mistycznym uroszczeniom żywiołowo atakujących go sił. A jednak bezskutecznie, bo przecież w liryce odnaleźć można, czarno na białym, nieścieralne ślady ich stałej obecności. Te wciąż tratowane, wyrzucane jak niepotrzebny balast za burtę świadomości iluminacje powracały jak bumerang w ramach aktu twórczego. Jak niekontrolowany automatyzm, jak metafizyczny tik. Kierc czyta w tej sytuacji znamię znaku, powołania, przed którego nadprzyrodzoną naturą bronił się zaciekle ten tyleż wielki, co i mały artysta. Kiedy zasiadał samotnie nad kartką, o duszę jego poezji rozpoczynała się walka — pomiędzy diabłem materii i aniołem boskich żywiołów. Mógł być tylko wielki, a jednak upadł zmiażdżony ciężarem twórczej pychy, wystawiony na śmiech pokoleń przez uległość zwodniczym, ziemskim potęgom.

Zgaduję, dlaczego akurat ten fenomen tak głęboko trawi autora „Przybosia i”. Jakże znamienity to tytuł: Przybos i... niedopowiedziane z pokory „ja”. Planowana książka to nie tylko efekt gorzkiego rozczarowania wobec prawd Mistrza. To również figura własnej odysei od pychy samosprawstwa do odnalezienia się w zgodzie z porządkiem natury, stworzenia, wszechświata. Zapewne ekshibicjonizmem wydawała mu się wiwisekcja na sa-

mym sobie. Zbyt wiele ma nieufności wobec automatyzacji rozumu, zbyt małym postrzega siebie wobec ogromu zagadki świata. Dlatego zapewne (między innymi) postanowił przenicować zakamarki duszy pisarza, zapisane w jego wyrywających się ku boskości poematach. Josif Brodski miał rację przed sowieckim trybunałem: poetę powołuje Bóg i nikt więcej. Jeżeli więc usta zywane są do prawdy i świadectwa, dezercja artysty przed tym niszczącym powołaniem jest grzechem śmiertelnym.

Nie wątpię, że tylko tej miary pytania mogły przywrócić tego siwiejącego już z lekka, choć wiecznie młodzieńczego aktora i krytyka do kolejnego, paradoksalnego aktu wierności wobec Mistrza. Wiem, że kiedy stawia już przed sobą problem, draży go do końca. Ważne tylko, by zstąpił pomiędzy żywych. Niedawno dowiedziałem się (oczywiście nie od niego) jak istotne dla jego życia było jedno proste, rzucone przeze mnie niefrasobliwie przed wieloma laty pytanie. — „Dlaczego właściwie należysz do partii”? Domyśliłem się, że zapisał się, bo tak uczynił niegdyś jego Poeta, bo tak czyniło wielu z jego pokolenia, wierząc, że w ten sposób można coś wyprostować, ocalić. Nie rozumiałem jednak, co robi ta nieziemska istota na zebraniach egzekutywy, w dusznej atmosferze partyjnej jacejki, gdzie linieją skrzydła i głos chryplnie od sloganów. Zdumiony zaszamotał się w środku i powiedział z namysłem: „Wiesz, zastanowię się nad tym. Nie wiem”. Wkrótce potem złożył legitymację. Bez słowa, bez hałasu wyleciał kominem. Nie opowiadał nikomu, nie rozdzierał szat, nie oczekiwał pochwały. Po prostu zadał sobie pytanie i widocznie nie znalazł satysfakcjonującej go odpowiedzi. A zatem wystąpił. Wcześniej jakoś nie postawił go sobie nigdy, zajęty kolejnym wierszem, kolejną rolą, codziennym spacerem pomiędzy kanciastymi od światła gwiazdami.

Na koniec opowiedział mi z tym swoim gwałtownym, chłopcym zdziwieniem, że doszedł do wniosku, że chyba jako społeczność nikczemniejemy. — „Spójrz, od tylu lat jestem na scenie. Aktor wychwytuje fale z widowni jak nietoperz. Wielokrotnie grałem dla publiczności dziecięcej. Dotąd absolutną normą była lojalność dzieci wobec swego bohatera. Widząc go w niebezpieczeństwie, osaczonego przez wiedźmy, złe duchy i okropne zwierzęta, ostrzegały go, krzyczały ze strachu, emocji, oburzenia. Dziś to wszystko się zmieniło. Kiedy ukrywam się w dziupli drzewa przed chcącym mnie pożreć potworem, jestem raz za razem zdradzany, denuncjowany. «On jest tam, schował się w drzewie!» — krzyczy dziatwa z widowni. Okropnie! To odzwierciedla stan duchowy i moralny naszego narodu. Pęknięcie solidarności, zanik poczucia wierności, gotowość do zdrady. Nawet w bajce, nawet w krainie fikcji”.

Pojmuję, jak wielkie jest jego cierpienie. Anioł zbyt często gości ostatnio na ziemi. Nie może zrozumieć tej dziwnej zacieklności, która próbuje przetrącić mu skrzydła, stracić tam, gdzie kłębiemy się z wczepionymi w siebie pazurami. Bo rzeczywiście coraz mniej tutaj miejsca dla aniołów.

Stanisław NOWICKI

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

oferuje:

Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Stodieck's Buchhandlung,
Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Wiersze

Jacek BIEREZIN

PRZEPISANE ZE SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO

Dla...

w odpowiedzi na list o chaosie

Chaos, stan
całkowitego bezładu,
zamieszania, rozprzeżenia,
zamęt.

Chaos w głowie,
chaos barw,
głosów, uczuć,
pojęć, poglądów.

Chaos panuje gdzieś,
powstaje w kimś,
ogarnia kogoś lub coś.

Chaos może być
kompletny.

Woda gasząca wodę.
Ogień podpalający ogień.
Ziemia przysypana ziemią.
Miłość? Śmierć?

Śmierć, która minęła.

Miłość, która nie przyszła.
Nienawiść, której nie ma.

(Gdzieś na marginesie
przelatują jaskółki
i odrzutowce
tworząc chaos linii
na niebie.)

Chaos.
Woda,
która parzy lodem.
Ogień,
który pragnie
łyku wody.
Ziemia w gorące
spragniona powietrza.
Ani więcej.
Ani mniej.

Paryż, luty 1989

Jacek BIEREZIN

Anna FRAJLICH

CHOROBA

Chore jest to drzewo za oknem
i kto wie czy z tego wylezie
czy obronną wyjdzie gałęzią
czy się liścia oddechem wylize
a tu kwiecień słodki jak zdrada
na kikutach rozwiesza chusty
na drewnianym zgolonym łonie
rozświeciły się nagie dziuple.
Czym zapisze się ta wiosna?
— stojem oplecionym wokół rdzenia obręczą
Chore drzewo soki ciągnie chore
korzeniami z DNA niepamięci.

Anna FRAJLICH

Ewa LIPSKA

BEZ WYJŚCIA

To ten hotel. Ten pokój.
Łóżko w którym spali.
Różowe magnolie wiszą jeszcze w szafie.
Miłością zarazili prawie całe miasteczko.
Ludzie padali sobie w ramiona.
Dziewczynki wisiły na szyjach mężczyzn
jak sztuczna biżuteria.
W kantorach wymiany walut
zamieniano pocałunki.
Przestano umierać.
Karawan rozwoził teraz nowożeńców.
Urzednicy czytali wiersze Ronsarda.
Cenzorzy skreślali horyzont.
Korygowali widok z okna.
Na środku rynku rozwieszono
Święto miłości Watteau
Z głośników nadawano *Dichterliebe*
pieśni Schumanna.
Zwierzętom przyprawiano skrzydła
w kształcie serc.
Terror miłości opanował miasteczko.
Opornych strącano w przepaść.
Czy to możliwe aby nie chcieli kochać?
Ktoś próbował przemówić ale niedorzecznie.
Ktoś inny na końcu języka miał zbrodnie.
Szczury gromadnie opuszczały miasteczko
nie oglądając się na sztuczne ognie.
Tańczono właśnie na obowiązkowym balu.
I tylko oni już wiedzieli o tym
że jeden krok do przodu to po prostu śmierć
a jeden krok do tyłu to tylko zabójstwo.

OKO JASTRZĘBIA

Przeżyłem 75 lat
a zapamiętałem tylko jedną godzinę

w miasteczku Vejer de la Frontera
 podczas której nie działo się nic oprócz życia.
 Przeczytałem tysiące książek
 a zapamiętałem tylko jedno zdanie:
 „Tu pytam czy to nie szaleństwo
 z trwogi przed śmiercią umierać?”
 Podziwiałem wielkich malarzy
 a przed oczami długi kondukt dymu
 na wyblakłej tapecie nieba.
 Ucichły wielkie orkiestry.
 Z nieszczelnego zegarka
 ulatnia się czas.
 Coraz częściej zamyślam się nad niczym.
 W pustej restauracji
 kelner podaje mi
 oko jastrzębia.

FATUM

Czy to dziecko
 które umarło ze starości
 w siódmym roku życia
 to wnuk Jowisza Tages
 czy czwarty syn państwa S.?
 Podobno spieszyła się natura.
 Zdyszana biegła do portu lotniczego
 powitać przeznaczenie.
 Nadlatywali poszukiwacze prawdy.
 Cudotwórcy. Dewoci nauki.
 Ustalono
 że burza spłoszyła dowody,
 Umilkły gry telewizyjne.
 Każdy coś widział
 ale nic nie zapamiętał.
 Chimery? Centaurowie?
 Może tylko pociąg braci Lumière
 wjeżdżający na dworzec.
 W kółko ta sama scena w archiwalnym kinie.
 Nawet brak prądu nie mógł go zatrzymać.
 Wreszcie się rozbił na pustej widowni.
 Zaczęto wróżyć z anten satelitarnych.

Rozmawiamy o tym
 siedząc w nadmorskiej kawiarni.

Na lodach owocowych pasą się pszczoły.
 Niepojęta zuchwałość świata — mówisz.
 Obok ćwiczą na kortach dzieci Wimbledonu.

**

Cha, cha, kochałem cię staruszeko
 która wiesz na drzewie
 i udajesz liść klonu.
 Na miejscu naszej miłości
 stoi czterdziestopiętrowy biurowiec
 zakładu ubezpieczeń.

Ewa LIPSKA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
 Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
 DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
 PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
 FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
 ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
 GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić
 najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
 Wyspie Świętego Ludwika.

Archiwum polityczne

Brazylia: rząd, robotnicy, Kościół

Brazylia weszła w czarną noc niepopularności i to ze strony najmniej spodziewanej. Pierwszym powodem jej niepopularności w wielu krajach jest zbrodnicze zaniedbywanie zasadniczych wymogów ekologii w dżungli amazońskiej. Masowe palenie lasów dla otwierania wciąż nowych przestrzeni dla hodowli bydła bogatych ziemian; bezkarność zbrojnych napadów na bezrolnych chłopów, którzy dla zdobycia żywności próbują zasiać na skrawkach opuszczonych terenów należących do ziemian trochę fasoli czy kukurydzy; zbrodniczy wyrąb najcenniejszych gatunków drzew, jak mahonie, cedry i palisandry. We Francji, Anglii, Niemczech i Ameryce mnożą się protesty przeciw karygodnym praktykom w Amazonii, która niewątpliwie jest największym zbiornikiem tlenu naszego globu. Z wielu krajów nadchodzą oferty pomocy naukowej, technicznej i finansowej, ale prezydent Sarney w wybuchu chorobliwej ksenofobii określił międzynarodowe zainteresowanie dżunglą jako inwazję i niedopuszczalną interwencję w sprawy należące wyłącznie do Brazylii: Amazonia jest nasza! Z takim hasłem prezydent z uporem odrzuca wszelkie propozycje pomocy.

Drugim powodem niepopularności Brazylii jest polityka jej rządu w stosunku do Indian, którzy jeszcze przed 200 laty liczyli sześć milionów, a dziś pozostało ich tylko 220 tysięcy. Brazylia nie uznaje ich za pełnoprawnych obywateli, dając im jedynie status gwarantujący rezerwaty ziemi, gdzie osiedliły się 24 narody czy plemiona indiańskie. Ale i te rezerwaty są nieustannie gwałcone przez białych osadników i przez rządowe projekty budowy wielkich zapór wodnych właśnie na terenach indiańskich. Indianie z odwagą walczą z przeciwnościami losu i wytrwale szukają pomocy za granicą. Niedawno jeden z kacyków został przyjęty przez Jana Pawła II, którego błagał o pomoc. Kacyk przypom-

niał papieżowi, że w roku 1980, w ostatnim dniu Jego pielgrzymki brazylijskiej, Indianie prosili, by „biały papież modlił się do białego Boga, aby biali ludzie nie mordowali swych czerwonych braci”. Wówczas papież płakał. Dziś przyjął kacyka i obiecał mu, że uczyni wszystko, aby pomóc nękanym Indianom.

Spółeczeństwo odrzuca prezydenta Sarneya

Niepopularność w świecie wiąże się z niepopularnością obecnego rządu w jego ostatnich siedmiu miesiącach mandatu. Jeden z najbardziej cenionych komentatorów politycznych w prasie i w telewizji, Villas-Boas Correia, widzi najbliższą przyszłość kraju w najczarniejszych barwach. W długiej rozmowie ze mną jako dziekanem korespondentów prasy zagranicznej, akredytowanych przy rządzie Brazylii, dał mi pełny obraz sytuacji i wytłumaczył, że prezydent Sarney jest głównym winowajcą, odpowiedzialnym za katastrofę kraju. Po tragicznej śmierci prezydenta Tancreda Nevesa w roku 1985 ówczesny wiceprezydent Sarney objął rządy, ciesząc się entuzjastycznym poparciem całego społeczeństwa. Szybko je utracił i w ciągu następnych czterech lat wykazał absolutny brak przygotowania, chwiejność i wielką próżność. Jego trzech kolejnych ministrów Skarbu wprowadzało trzy kolejne plany dla wyprowadzenia kraju z bezustannie rosnącej inflacji. Obecny czwarty plan, tak zwany „plan letni”, już dogorywa w nadchodzącej tu jesieni. Wszystkie cztery były oparte na logicznej zasadzie, obowiązującej zarówno rządu jak i ludzi prywatnych, że mianowicie nie wolno wydawać więcej pieniędzy niż się zarabia. Przemysł i handel zgłosiły swą współpracę, zgadzając się na zamrożenie wszystkich cen. Syndykaty robotnicze zgodziły się na zamrożenie zarobków. Ale zawiódł trzeci czynnik planu: Sarney. Uroczyście zobowiązał się do wydatnej redukcji budżetu państwowego... i oszukał wszystkich. Jest rzeczą wiadomą, że w rządzie federalnym, w rządach stanowych i w setkach instytucji państwowych istnieje nadwyżka co najmniej 90 tysięcy urzędników. Sarney oświadczył, że na razie zredukuje 60 tysięcy, ludzi przyjętych do urzędów na podstawie nepotyzmu, protekcji, bez kwalifikacji, bez konkursu i bez konkretnych obowiązków. Są to żony, synowie, szwagrowie, krewni i przyjaciele urzędników państwowych, przyjęci na nieistniejące stanowiska. Nikogo nie zwolnił i w dalszym ciągu przyjmował innych zaufanych mu ludzi. Senat składa się z 72 senatorów i posiada 7.500 urzędników, po stu na każdego senatora. Drukarnia rządowa, która wydaje tylko *Dziennik Ustaw*, liczy 1.600 urzędników o najdziwniejszych zawodach. Są tam lekarze, adwokaci, dentyści, psychologowie i przyjaciółki przyjaciół. Na liście kancelarii cywilnej i wojskowej prezydenta

widnieje 2.000 nazwisk. Są bardzo dobrze płatni i nie posiadają żadnej funkcji. Raz na miesiąc zgłaszają się po swoje czeki.

W ciągu czterech lat rządów Sarney podpisał zgodę na 10.850 podróży służbowych za granicę, tak jakby Brazylia nie posiadała ambasad w świecie i wyjątkowo hojnie uposażonych ambasadorów. Można sobie wyobrazić rozgrywki dyplomatów, aby otrzymać nominację do Warszawy, do Pragi, do Budapesztu czy nawet do Sofii. 10.000 dolarów miesięcznie to nie w kij dmuchał! Podróż służbowa oznacza przelot pierwszą klasą, 5-gwiazdkowy hotel i paręset dolarów dziennie na drobne wydatki.

W Brazylii, gdzie 40 % ludności walczy z losem, a 25 % żyje w absolutnej nędzy, złość, oburzenie, nienawiść i zaciekłość doszły do szczytu. Sarney jest wygwizdywany, gdziekolwiek się pokazuje. Kompensaty szuka za granicą. Lubuje się w podróżach zagranicznych. Zaproszony przez Gorbaczowa do Rosji, zabrał ze sobą 205 osób w dwóch rządowych Boeingach. Na zjazd południowoamerykańskich prezydentów w Urugwaju Alfonsin z Argentyny przybył w towarzystwie sześciu doradców, Peréz z Wenezueli przywiózł trzech urzędników, a Sarney zawiózł do Montevideo 103 osoby, które zresztą natychmiast odjechały do uzdrowiska Punta del Este, aby pograć trochę w miejscowym kasynie.

Inflację powiększa fakt, że Sarney nie zlikwidował setek przedsiębiorstw państwowych, które od lat przynoszą ogromne straty oraz nadal podpisuje projekty budowy faraonowych wspaniałości w tonącym gospodarczo kraju. Dlatego — powiedział mi Villas-Boas Correia — wybór następcy Sarneya w tym roku nie jest niespodzianką. Te wybory wygrają dwaj kandydaci posiadający program i ideologię: Brizola, b. gubernator Rio de Janeiro, gdzie pozostawił za sobą chaos i zamęt, oraz Luis Inacio Lula da Silva, były monter w stalowni w Sao Paulo, potem prezes syndykatu robotników przemysłu metalurgicznego, twórca i prezes Partii Pracy i deputowany, wybrany 7 milionami głosów.

Leonel Brizola, szwagier ostatniego prezydenta Goularta, obalonego przez wojskowy zamach stanu w roku 1964, jest wspaniałym demagogiem i niezwykłym mistrzem przekonywania tłumów. Jeszcze nie przemawia wzorem Fidela Castro ciurkiem przez siedem godzin, ale w ciągu godziny czy dwóch potrafi skupić uwagę słuchaczy. Jego PDT czyli Demokratyczna Partia Robotnicza nie jest ani demokratyczna, ani robotnicza. Jest partią Brizoli, zlepkiem przekonywujących pomysłów, logicznych argumentów i wspaniałych obietnic. Brizola jest politykiem niebezpiecznym. Drugim kandydatem jest Luis Inacio Lula da Silva, znany jako Lula. Mimo braku wykształcenia posiada wielki talent polityczny i olbrzymią charyzmę. Jego partia pracy (PT) ma skraj-

nie lewicowy program polityczny i społeczny. Sam Lula nie jest komunistą, ale jest otoczony gronem młodych błyskotliwych intelektualistów, w większości marksistów należących do ugrupowania Convergência Socialista, czyli socjalistyczna wspólnota. Program PT jest skrajny: upaństwowienie banków i najważniejszych gałęzi przemysłu, zerwanie z wierzycielami zagranicznymi (ani groza więcej dla tych złodziei!). Lula ma w obecnej sytuacji nadzwyczajne atuty dla zwycięstwa. Ma za sobą miliony głosów 16-18-letnich chłopców i dziewcząt, którzy po raz pierwszy będą brali udział w wyborach. Ma głosy pań domu, zrozpaczonych cenami produktów, dosłownie rosnącymi z dnia na dzień. Ma głosy ludzi pełnych nienawiści, które zwalniają go z przemówień o przyszłym szczęściu narodu — jego jedynym sloganem jest walka ze wszystkim i ze wszystkimi, którzy reprezentują Sarneya. Przede wszystkim będzie miał oparcie w powszechnym buncie przeciw inflacji i przeciw zarobkom, które nie nadążają za cenami.

A wojsko? W obliczu zwycięstwa Brizoli czy Luli nie ruszy? „Wojsko nie zareaguje z trzech powodów — nauczał mnie Villas-Boas Correia. — Po pierwsze, przez dwadzieścia dwa lata dyktatury wojsko nie wydało ani jednego przywódcy, natomiast doprowadziło do utraty dwóch pokoleń młodych i wykształconych ludzi. Ponad 200 tysięcy zdecydowało się na wyemigrowanie do Kanady, Stanów, Australii i Portugalii. Po drugie, generałowie nie są tacy głupi, aby przejmować na swoje barki szaleństwo sytuacji bez wyjścia. Po trzecie, kiedyś „Alto Comando” autorytatywnie rządziło krajem przy pełnej solidarności całego korpusu oficerskiego. Dziś jest inaczej. Dziś generałowie mogą polegać jedynie na pułkownikach, a od majora w dół wszyscy będą głosować na opozycję. Dlaczego? Dlatego, że ich żony są tak samo jak żony całego społeczeństwa zrozpaczone inflacją, cenami i niskimi zarobkami.

Strajki i bomby

Brazylia stoi nad przepaścią. W ciągu czterech ubiegłych lat rządów Sarneya wybuchło 8.790 strajków, w ubiegłym roku było ich 1.288, a w obecnej chwili — od kwietnia do połowy maja — strajkuje 200 syndykatów. Strajkują urzędnicy bankowi, pracownicy wszystkich portów, robotnicy przemysłu metalurgicznego, kolejarzy, metro, nauczyciele, profesorowie uniwersytetów, personel szpitalny... i policja. W ostatnim tygodniu kwietnia na ulicach Rio de Janeiro i jego przedmieść zginęło w napadach bandyckich 518 niewinnych osób.

Brazylijczycy pasjonują się wyborami, może jeszcze bardziej niż meczami piłki nożnej. Ale bomby, strajki i rosnące bez żadnych

hamulców ceny produktów psują zainteresowanie kampanią przedwyborczą. W ubiegłym roku inflacja doszła do 1.200, a w tym roku, choć manipulowana przez statystyki rządowe, doszła już w pierwszych czterech miesiącach do 125 %. Nie jest to jeszcze inflacja galopująca, jak w Grecji, kiedy w listopadzie 1944 roku osiągnęła 8.500.000 %. Ale jest to inflacja rujnująca, pożera oszczędności, wzmaga emisję pieniądza i nie ma szans na jej zatrzymanie bez odpowiednich ale niepopularnych postanowień, przed którymi zawsze wzbraniał się Sarney. Najniższa stawka robotników wynosi równowartość 63 dolarów miesięcznie. Do parlamentu wpłynął wniosek o podwojenie tej stawki dla służby domowej, ale wniosek upadł. Małżonki senatorów i deputowanych wytłumaczyły mężom, że zatrudniają normalnie po dwie służące i że podwyżka zrujnuje ich domowe budżety. Na drugi dzień członkowie parlamentu prawie jednogłośnie uchwalili podwyżkę poborów dla siebie samych: z dotychczasowej równowartości 6.500 dolarów miesięcznie do 7.800 dolarów. Trzeba podkreślić, że wartość dolara w stosunku do cruzado była ustanowiona dekretem prezydenta republiki: jeden dolar równy jednemu cruzado. Rzeczywistość nie chciała się jednak dostosować do dekretu i dziś dolar jest już wart 2,60 cruzados, z dalszą tendencją zwykłą. Tak więc robotnik zarabiający 63 cruzados miesięcznie, co nie wystarcza nawet na wyżywienie rodziny, dysponuje siłą nabywczą równą 26 dolarom miesięcznie. Oczywiście w takiej samej sytuacji znaleźli się senatorzy i deputowani. Ich realne pobory nie wynoszą 7.800 dolarów, a tylko 3.000 dolarów miesięcznie, co wystarcza na skromny tryb życia (nawet przy zatrudnieniu dwóch służących), zwłaszcza że członkowie parlamentu posiadają inne jeszcze przywileje, jak bezpłatna poczta, bezpłatne telefony, samochód z szoferem i z pełnym rezerwuarem benzyny, mieszkania w stołecznej Brasillii za które płacą symboliczny czynsz, oraz kilka darmowych przelotów miesięcznie. Takie krzyczące różnice socjalne i rosnąca fala niepokojów spowodowanych strajkami doprowadzają ludność do rozpaczy. Strajki organizowane w imieniu klas pracujących mocno uderzają w tę ludność: zarobki za kwiecień nie są dotąd zapłacone, gdyż banki są nieczynne, brak pociągów i metra komplikują życie. W tej atmosferze szaleją plotki. Na drugi dzień po zdemolowaniu pomnika zabitych robotników anonimowe telefony w Volta Redonda zagroziły podłożeniem innej bomby, tym razem na szkołę, w której uczą się dzieci robotników. Była to na szczęście tylko plotka, ale zrozpaczone matki pozabierały ze szkoły swoje dzieci. Nic więc dziwnego, że autorytet Luli jako przywódcy Partii Pracy i skoligaconej z nią konfederacji syndykatów zaczyna blednąć. Czyżby autorytet Villas-Boas Correi został zachwiany? Czy jego przekonanie, że Lula ma największe szanse na objęcie przyszłej

prezydentury kraju, ulega zmianie? Przy całkowitym rozprzężeniu partii politycznych wyrasta nagle młody, 38-letni gubernator najmniejszego stanu Alogoas, Fernando Collor de Melo, który po prostu przestał płacić pobory urzędnikom, którzy poprzez pseudolegalne kombinacje zaczęli sobie sami podwyższać zarobki o 300 % i więcej. Natychmiast uzyskał popularność i ogłosił swoją kandydaturę na następcę Sarneya. Po upływie zaledwie kilku tygodni instytuty badania opinii publicznej zaczęły wykazywać, że Collor przeskoczył i Lulę i Brizolę i ulokował się na pierwszym miejscu. Rzecz jasna, nie posiada on wielkich szans zwycięstwa, bo przeciw swej osobie ma potężną skorumpowaną mafię, działającą w rządzie, w parlamencie i w stronnictwach politycznych. Trzeba zawsze pamiętać o tym, że w Brazylii (i we wszystkich innych krajach Ameryki Łacińskiej) stanowisko prezydenta lub ministra jest bardzo intratne. Z drugiej strony partie centrum i prawicy, które dotychczas upatrywały jedyną możliwość obalenia Luli w głosowaniu na... Brizolę jako na mniej skrajnego, ujrzały zbawienie w osobie młodego Collora, który z lewicą nie ma nic wspólnego. W takiej to sytuacji prowadzi z uporem swą działalność episkopat.

Konferencja Narodowa Biskupów Brazylijskich (CNBB)

Ostatni kongres CNBB, z udziałem 280 biskupów, arcybiskupów oraz socjologów, teologów i ekonomistów, w pierwszym rzędzie zajął się tymi tragicznymi zagadnieniami. Istniejący podział biskupów na skrzydło postępowe i konserwatywne tym razem zbladł wobec dramatycznej sytuacji politycznej i ekonomicznej Brazylii. Dzieląca biskupów „Teologia Wyzwolenia”, która nadal jest niezwykle żywa, była w pewnym sensie odłożona na dalszy plan, aż do następnego synodu biskupów łacińsko-amerykańskich, który odbędzie się w roku 1992 w San Domingo. Don Romeu Brighetti, biskup sufragany w archidiecezji Rio de Janeiro, lojalnie przyznał, że większość biskupów postępowych, wynosząca obecnie 80 %, skurczy się w roku synodu. Powodem jest zbieg okoliczności, gdyż biskupi postępowi są na ogół ludźmi starszymi i w roku 1992 wielu z nich przekroczy 75 lat i przejdzie na emeryturę, podczas gdy biskupi konserwatywni są ludźmi młodszymi. Don Romeu nie umie wytłumaczyć tego zjawiska. Wydawałoby się, że dostojnicy młodszy powinni należeć do linii postępowej.

Zapytałem księdza Fernanda Avilę, socjologa, który brał udział w ostatnim kongresie, czy w dzisiejszym stanie ogólnego napięcia politycznego prezes CNBB, postępowy arcybiskup Don Luciano Mendes de Almeida, jest rzeczywiście uznawany przez rząd za naj-

większego wroga reżymu, bardziej niebezpiecznego od Luli, ultra-radikalnego kandydata na prezydenta republiki? Ksiądz Avila przytaknął. Kościół brazylijski jest dziś organizacją autonomiczną — w odróżnieniu od dawnych czasów, kiedy wiernie popierał każdy rząd. Dzisiejszy Kościół uparcie stoi przy swym naczelnym celu, którym jest opieka nad biednymi, a są to cele wskazane przez Jana Pawła II. Arcybiskup Don Luciano Mendes de Almeida, teolog o wspaniałym umyśle i wielkiej wiedzy, pozostaje w groźnym konflikcie z rządem, oskarżając go o brak współpracy, o wyraźny opór przeciw reformie rolnej — nawet reformie ziem leżących odłogiem — i o całkowitą obojętność wobec losu milionów potrzebujących. Rząd oskarża go więc o wywrotowość, a nawet o sympatię dla marksizmu.

Don Luciano Mendes de Almeida przyznał w wywiadzie, udzielonym prasie, że CNBB z przychylnością obserwował zwycięstwo Partii Pracy w zeszłorocznych wyborach municypalnych, a na zarzut rządu, że to zwycięstwo nie było wyrazem politycznej dojrzałości, a jedynie protestu, odpowiedział, że protest jest ważnym instrumentem politycznym. Partia Pracy bierze najczynniejszy udział w pracach komórek kościelnych i wydatnie dopomaga w solidarnej pomocy dla nędzarzy. Za to ich cenimy — powiedział Don Luciano — ale to wcale nie oznacza, że Kościół zawarł „związek małżeński” z Partią Pracy. Dzieli nas z nią jej pakt przedwyborczy z komunistami oraz sprawa przerywania ciąży. W tych najistotniejszych zagadnieniach panuje absolutna zgodność wśród członków CNBB. Natomiast w dalszym ciągu trwa walka podjazdowa między obu skrzydłami. Ksiądz Amaro, sekretarz regionalnego biura CNBB w Rio de Janeiro, opowiedział mi, że w północnych okręgach stanu Rio de Janeiro pracuje 27 młodych proboszczów, stosując konserwatywną liturgię według wzorów biskupa Lefebvre. Celebrują nadal msze po łacinie, udzielają ślubów według dawnych ceremoniałów i żądają, aby narzeczona nosiła długą suknię z długimi rękawami. Jest to ostatnia releta księży nie uznających postanowień Watykanu II. Ale nowy biskup tej diecezji, ksiądz Carlos Alberto Navaro, ogłosił, że wszystkie śluby udzielone przez 27 proboszczów (około 40) nie mają wartości prawnej i są unieważnione. Katolicki Kościół apostołski i rzymski nie uznaje ich za małżonków, lecz za konkubinów. Decyzja biskupa Navaro została oficjalnie ogłoszona we wszystkich kościołach diecezji.

Inną komplikację stworzył Don Lucas Moreira Neves, były sekretarz Kongregacji d/s Biskupów, podniesiony do tytułu kardynała i mianowany arcybiskupem Salvadoru, stolica stanu Bahia, co oznacza tytuł prymasa Brazylii. Taka decyzja Ojca Świętego wywołała rozgoryczenie wśród kleru brazylijskiego, który liczył, że prymasem zostanie jeden z tutejszych kardynałów. Don

Lucas wygłosił ostatnio kazanie, które wznieciło konflikt między katolikami i zwolennikami Candoblé czyli religijnego spirytyzmu opartego na wierze w duchy. Trzeba tu dodać, że ludzie praktykujący Candoblé uważają się za wiernych katolików. W swym kazaniu ksiądz prymas obiecał uczynić wszystko, aby odseparować wiernych od profanów. Konflikt przejawiał się podczas uroczystego nabożeństwa, kiedy zgodnie z tradycją młode kobiety w białych powłóczystych szatach, tak zwane „córy świętego”, zaczęły zmywać wodą dziedziniec przykościelny. W proteście przeciw prymasowi te młode niewiasty z dzbanami wody szły na czele procesji, a za nimi w pochodzie szedł gubernator stanu Bahia, urzędnicy stanowi i miejscy i rozśpiewany tłum ludzi. Intelktualiści są zwolennikami Candoblé. Rozpoczęły akcję protestacyjną przeciw prymasowi, żądając jego powrotu do Kurii. Doroczne święto Candoblé przyciąga co najmniej pół miliona mieszkańców Bahii i tłumy turystów. Niepotrzebny konflikt z mądrym brazylijskim Kościołem, który wprowadził zasadę religijnego synkretyzmu, co oznacza „przymrużanie oka” na praktyki spirytystyczne w imię dobra katolickiej wspólnoty.

Kościół w Brazylii cierpi na deficyt księży. Jest ich 35.000 w tym największym na świecie kraju katolickim, liczącym 140 milionów ludności. Wśród tych 35.000 księży jest ponad osiem tysięcy księży żonaty. Zgodnie z liturgią pozostają oni kapłanami, gdyż wyświęcenie ich jest nieodwracalne. Nie mają jedynie prawa do celebrowania mszy świętych i przyjmowania spowiedzi. Zgodnie z tradycjami Watykanu papież opóźnia co najmniej na parę lat swe zezwolenie na zawarcie związków małżeńskich. Wśród żonatyh księży którzy takie zezwolenie już otrzymali jest dr Stefan Kucharski, Polak, profesor uniwersytetu w Rio de Janeiro i obecny prezes Towarzystwa Dobroczynno-Kulturalnego Polonia. Przewodniczącym związku żonatyh księży jest zamieszkały w stolicy dr Almeida, który naucza, że od życiowej drogi przez seminarium duchowne, prowadzącej do kościelnej pracy pasterskiej, ważniejsza jest opieka nad biednymi. Tego rodzaju opcję dr Almeida uzasadnia tragiczną sytuacją, kiedy biedni są coraz biedniejsi, a bogaci coraz bogatsi. Przewiduje, że nieuchronnie musi dojść do jakiegoś rozwiązania i jakiegokolwiek ono będzie, zawsze będzie dramatyczne.

Obecnie NCBB pracuje pod kierunkiem postępowych biskupów, którzy stworzyli zasady pracy pasterskiej zróżnicowanej zależnie od warunków społecznych. Opieka nad rodziną idzie w trzech kierunkach: społecznym, kościelnym i rodzinnym. W sferze społecznej NCBB zajmuje się rozrządzaniem opieki nad cierpiącymi, zapewnieniem im dachu nad głowami, zdrowia i wykształcenia. W sferze kościelnej przyciąga ludzi do współpracy z proboszczami, którzy uznają ich nie za przedmioty w pracy pas-

terskiej, ale za podmioty biorące czynny udział w ewangelizacji, prowadzonej przez Kościół. Rodzinom dopomaga w wychowywaniu dzieci. Młodzież jest ważnym przedmiotem zainteresowania. Roztacza się nad nią szeroko rozwiniętą opiekę, dostarczając możliwie największej ilości argumentów liturgicznych, ale natrafia to na duże trudności z powodu niedostatecznej liczby księży, zakonników i cywilnych działaczy katolickich.

W dziedzinie komunikacji społecznej i informacji NCBB jest dobrze przygotowana. Kościół posiada 110 kanałów radia, 60 dzienników i innych czasopism katolickich. Wiadomo, że radio dociera w Brazylii do 90 % ludności, telewizja do 70 %, a czasopisma tylko do 10 %. Dlatego koszty utrzymania programów radiowych i telewizyjnych pochłaniają 70 % budżetu propagandy.

Polak Węgier dwa bratanki

Po wyczerpaniu wszystkich moich kontaktów kościelnych starsza wytworna dama, pani Jeanette, sekretarka biskupa sufragana, szepnęła mi poufnie, abym zeszedł piętro niżej i odszukał kogoś, kto nie jest księdzem ani teologiem, ale wie o wiele więcej od wszystkich dygnitarzy kościelnych. Jest to sekretarz regionalnego biura NCBB od 30-tu lat i zna wszystkie tajemnice spraw niedopowiedzianych, a często wstydliwie ukrywanych. Następnego ranka zeszedłem piętro niżej, gdzie mnie oczekiwał, uprzedzony przez panią Jeanette, Tibor Sulik. Jest synem oficera węgierskiego, uciekli z Budapesztu po wypadkach 1956 roku. Zapytałem go, dlaczego ma imię węgierskie, a nazwisko polskie. Wy tłumaczyłem, że jego nazwisko istnieje w Polsce i że generał Sulik był jednym ze zwycięskich dowódców wojsk polskich w kampanii włoskiej w latach 1944/1945. Generał już nie żyje, ale jego córka jest małżonką obecnego prezydenta R.P. na Uchodźstwie, Kazimierza Sabbata. Pan Tibor był zaskoczony tymi informacjami i postanowił zbadać pochodzenie swego nazwiska i możliwość pokrewieństwa między węgierskimi i polskimi Sulikami. Otworzyło mi to klimat do swobodnych rozmów. Spędziłem z nim kilka godzin, w podnieceniu słuchając jego często zaskakujących interpretacji.

Zacząłem od tematu najbardziej drażliwego, jakim jest legalizacja przerywania ciąży. Zapytałem, czy nie zarzuca się Kościołowi odpowiedzialności za miliony opuszczonych dzieci. Zakaz używania środków zapobiegawczych jest chyba bezpośrednią przyczyną nędzy rodzin posiadających 6-8-10 dzieci, bez możliwości ich żywienia. Tibor przyznał mi rację, ale poufnie powiedział, że w Watykanie obraduje już specjalna komisja naukowa, złożona

z teologów, socjologów i lekarzy, zajmująca się badaniem możliwości rozwiązania tego zagadnienia. Istnieje już nawet argument naukowy, który dowodzi, że o ile uznaje się za legalny proces przywracania płodności kobietom, które są niezdolne do zajścia w ciążę w sposób naturalny, to dlaczego nie miałby być legalny odwrotny proces przerywania ciąży w wypadkach choroby, tragedii rodzinnej czy nawet zagrożenia śmiercią? Nie należy się jednak spodziewać wyników natychmiastowych, w każdym razie nie w czasie pontyfikatu Jana Pawła II.

Zarzucona została reguła, według której papież mianował biskupów zgodnie z potrójną listą kandydatów, nadsyłaną przez konferencję biskupów danego kraju, oczywiście z ewentualnym prawem weta papieża. W Sao Paulo stało się inaczej. Kardynał Paulo Everisto Arns, arcybiskup tej największej archidiecezji na świecie, liczącej 14,5 milionów ludzi, został ukarany przez Kurie za swą wybitną rolę w tworzeniu „Teologii Wyzwolenia” oraz podstawowych komórek kościelnych, zajmujących się obroną biednych, opieką nad dziećmi i polepszaniem warunków mieszkaniowych w podmiejskich slumsach Sao Paulo. Archidiecezja kardynała Arnsa została podzielona na pięć diecezji. Jemu pozostawiono centrum bogatego miasta, bez żadnych problemów społecznych, bez bezrobocia i bez nędzy. Stworzono cztery diecezje zamieszkałe przez biedotę na przedmieściach metropolii. A kiedy kardynał Arns poprosił, aby do tych nowych diecezji mógł skierować swych czterech biskupów pomocniczych, jego największy wróg, kardynał Ratzinger, odmówił. Takie podziały są przewidywane w Rio de Janeiro i w paru wielkich miastach Stanów Zjednoczonych.

Również zagadnienie żonatych księży czeka na właściwsze rozwiązanie. Tibor Sulik nie przewiduje, aby rozwiązanie mogło nastąpić w czasie pontyfikatu Jana Pawła II. Teza Kościoła oparta jest na przeświadczeniu, że żonaty ksiądz nie posiada dostatecznych warunków na poświęcenie się misji pasterskiej. Teologowie liberalni twierdzą, że jest przeciwnie, że ksiądz posiadający rodzinę, dzieci i dom może z o wiele większą energią i spokojem poświęcić się kapłaństwu. Najlepszym tego dowodem jest, że wszystkie wyznania chrześcijańskie poza Kościołem rzymskokatolickim posiadają kapłanów żonatych: anglikanie, protestanci, prawosławni, katolicy obrządku wschodniego. Również religie nie-chrześcijańskie, ale wyznające monoteizm, jak Żydzi, mahometanie i buddyści, posiadają żonatych kapłanów.

Tibor Sulik jest wielbicielem Jana Pawła II; uważa Go nie tylko za głowę Kościoła, ale także za przywódcę wszystkich ludzi dobrej woli, wierzących i niewierzących. Za pierwszego papieża, który zna życie, który spędził lata w komunizmie, był żołnierzem,

robotnikiem, aktorem, poetą, opiekował się prześladowanymi, ratował Żydów, z odwagą występował przeciw wszystkim formom niesprawiedliwości. Równocześnie krytykuje Go za to, że przy całej swej szlachetności, mądrości i doskonałemu wykształceniu okazuje się twardym i nieustępliwym teologiem i przeciwnikiem jakiegokolwiek modernizacji w dzisiejszym świecie szybko następujących zmian. „Właśnie dlatego, że nie zdołał się uwolnić od wpływów ultra-konserwatywnych kardynałów Kurii”. Taka była odpowiedź Tibora Sulika na moje ostatnie pytanie.

Maciej FELDHUZEN

Pisane w Rio de Janeiro, w maju 1989 roku

List Jerzego Urbana do Stanisława Kani*

Warszawa, dnia 3 stycznia 1981.

Do
I Sekretarza KC PZPR
Towarzysza Stanisława Kani

Jestem dziennikarzem z *Polityki*. Licząc na protekcję tow. Reguckiego, mogącego sprawić, by ewentualnie ten list znalazł się u Was, pozwalam sobie na tę nieskromność, jaką jest pchanie się z radami na najwyższy szczebel władzy. Ośmiela mnie jednak to, że w chwili, kiedy wszystko zdaje się zmierzać do bardzo złego końca, konwenanse tracą znaczenie.

Nie wierzę w to, że obecny częściowy kompromis jest początkiem serii kompromisów i zapoczątkowuje uspokojenie. Nie wierzę w zahamowanie procesu przejmowania przez „Solidarność” władzy. Chwilowa cisza — podobna do tej w końcu grudnia —

* Przedruk z periodyku drugiego obiegu *Most* nr 18, Warszawa 1988.

Zamieszczając list Jerzego Urbana do Stanisława Kani, zażywamy, że doradcy p. Wałęsy nie mają czasu na czytanie prasy niezależnej. Zaoszczędziłoby to im wielu nieprzemyślanych decyzji i posunięć. Jerzego Urbana całkowicie zlekceważono, traktując go głównie jako cel dowcipów. Generał Jaruzelski natomiast umiał go znakomicie wykorzystywać, o czym się liderzy Solidarności przekonali na własnej skórze. (Red.).

może tylko uśpić kierownictwo partii, tworząc złudzenie, że już idzie ku lepszemu.

Niekorzystna ewolucja zdarzeń wiąże się, moim zdaniem, z przemianami w zbiorowej świadomości przeważającej części społeczeństwa. Latem i jesienią ubiegłego roku zrewoltowanym masom chodziło o radykalne skorygowanie istniejącego systemu rządów. Potem przybywało śmiałości pod wpływem poczucia siły i odnoszonych sukcesów i pod wpływem tego, że władza okazywała się coraz słabsza i bardziej bezradna. Myślę tu głównie o śmiałości części społeczeństwa w uświadamianiu sobie własnych dążeń, wyrosłych z oceny doznanych krzywd i poniżeń. Otóż odnosi się wrażenie, że większość społeczeństwa wyraża teraz chyba to, iż ma dosyć rządów komunistów w ogóle, niezależnie od tego, czy i jak te rządy i ci komuniści się naprawią. Nie jest to w ten sposób określane w otwartych deklaracjach tylko dlatego, że przywódcy i Kościół taką szczerość powściągają, bojąc się interwencji. Ten strach przed interwencją, niestety, trawi jednak tylko świadomych polityków z kręgu „Solidarności” i kler. Reszta uważa, że groźba interwencji jest tylko instrumentem kierownictwa partii, zawsze używanym do tłumienia każdej odnowy. Zresztą i psychozy straceńcze zakorzeniają się w tych kręgach „Solidarności”, które działają w ekstazie. Obejmują one młodzież, którą pociąga romantyka *à la* powstanie warszawskie, bo nie zna z literatury i filmu tragiczności i jałowości czasów po powstaniach narodowych. W każdym razie pewną przychylność społeczną uzyskiwać mogą bodaj tylko te posunięcia władz i ci ludzie z władz, którzy ustępują, godzą się oddawać krok po kroku władzę. Nie odnowiciele systemu rządów i systemu stosunków są najlepiej widziani, nie ci, którzy potrafiliby i chcieliby wzmocnić panujący ustrój przez udoskonalenie go, ale ci, którzy się wycofują, ustępują, na wszystko godzą. To są autentyczni sojusznicy obecnych dążeń społecznych. I dlatego sytuacja stała się fatalna, gdyż, moim zdaniem, już minął jak gdyby moment, kiedy PZPR mogła dokonać odnowy, przemodelować system rządów, wysunąć program, uzyskać akceptację i poklask ogółu, jednym słowem — stanąć na czele ruchu społecznego i nadać mu kierunek. Zginęły te nadzieje na „odgórną” odnowę kierowaną, które zrazu istniały, bo ludzie zobaczyli władzę słabą, mało pomysłową, ustępującą co prawda i pojednawczą, ale głównie myślącą o ratowaniu tego, co się da, więc zachowawczą w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Gdyby Polska leżała w innym miejscu świata, już dokonałoby się po prostu przejęcie władzy przez jakąś chadecję o ludowym zabarwieniu: krwawo albo poprzez krótkie zamieszki, albo też zupełnie pokojowo. I potem większość aparatu państwa przeleciałaby na drugą stronę, a ideowi partyjniacy oraz ci bezideowi nawet członkowie dotychczasowych władz, którzy nie mieliby

szans na przemalowanie się, skłócenia między sobą, utworzyliby drobne stronnictwa opozycyjne lewicy. Jednak przy istniejących ograniczeniach geopolitycznych wszystko zmierza do wyssania z partii i aparatu państwowego prawie całej władzy bez jej formalnego przejęcia. Jeśliby nawet Związek Radziecki na taki finalny układ stosunków nie reagował (co chyba nie jest prawdopodobne), zadowolając się zachowaniem ustrojowych pozorów, gwarancjami dotyczącymi spraw strategicznych, układów wojskowych i nie-naruszenia dotychczasowej polityki zagranicznej — nowoczesne państwo nie może istnieć w takim systemie rządzenia. To znaczy w takim, gdzie wszelkie ważne decyzje zapadają na przykład w związkach zawodowych, Kościele, stowarzyszeniach. Te związki, Kościół, stowarzyszenia, żeby przetrwać chaos, albo musiałyby przejąć aparat państwa, albo stworzyć drugi, równoległy, rzeczywisty. Tak czy tak, oznacza to całkowite oddanie władzy. Ta sytuacja, że dobrzy komuniści to nie ci, co lepiej rządzą, ale ci, co oddają władzę — nie daje wielkich szans oddolnym siłom odnowicielskim partii. Mogą one tylko albo uczestniczyć w demontażu obecnego ustroju, zaznaczając swój odmienny od Kościoła czy „Solidarności” punkt widzenia, albo zaangażować się dopiero w ostatniej chwili w ratowanie resztek, co już nie będzie skuteczne. Siły te, inaczej mówiąc, albo odwrócą się od kierownictwa partii, albo przy nim staną jako słaby sojusznik, a najpewniej podzielią się, zróżnicują, spełnią i tę, i tamtą rolę.

Nowy ruch w partii może mieć, już ma, wielkie znaczenie dla odrodzenia dawnej PZPR, nadania jej vitalności, świeżości myślowej, ale nie jest w stanie zmienić poglądów i dążeń społeczeństwa. Pozostanie w skali społecznej ruchem mniejszościowym, działającym w obrębie organizacji w całości nieakceptowanej. Pod tym względem sytuacja jest inna niż w roku 1956, kiedy młodsza część społeczeństwa, jako całość, utożsamiała się chętnie z „rewizjonistami”.

W toku tego trwania przez partię bazy i władzy toczą się wszędzie w aparacie władzy (w którym już zapanował nastrój zupełnej beznadziejności) dyskusje: co robić. Są one, moim zdaniem, zamknięte w obrębie fałszywej alternatywy: ustępować — nie ustępować, miękko — twardo. Nieustępowanie, twardość, mówienie „stop” tę ma oczywistą wadę, że nie stoi za tym żadna realna siła wewnątrz krajowa. Druga strona tylko szuka pretekstów do próby sił. Zakazać strajków, no to nie posłuchają i kierownictwo partii zaraz będzie musiało decydować czy posłać wojsko, czy pójść na ustępstwa. Najpewniej pójdzie na ustępstwa, bo strach grać ostatnią, niepewną kartą. Zresztą jeden choćby strzał mógłby przerwać istniejący *modus vivendi* i spowodować zdarzenia pociągające za sobą natychmiastową interwencję i to interwencję mającą niezłe usprawiedliwienie dla świata: że w

Polisce na komunikacyjnym szlaku strategicznym już leje się krew. Czyli, że polityka nieustępowania prowadzi do tym większych ustępstw. A gdyby nawet się udało — to jak rządzić siłą niechętnym społeczeństwem i to skoro ma się bardzo małą siłę?

Do oddania całej prawie władzy, tyle że wolniejszego, prowadzi także polityka stopniowego ustępowania. Wiadomo, że ustępstwa powodują nowe żądania, wzmacniają dobre samopoczucie i aspiracje przeciwnej strony. Ludziom z „Solidarności”, ale umiarkowanym, lęklivym lub zatroskanym chaosem, nasze ustępstwa pokazują, że nie ma czego się bać, a zrewoltowani radykałowie mają rację. A więc ustępstwa, to jest po prostu proces przekazywania władzy, tyle że powolny i o złagodzonych objawach.

Z tego powodu myślenie w obrębie alternatywy „ustępować — nie ustępować” wydaje się fałszywe, bo skutki jednego i drugiego będą takie same. Moim zdaniem, jedynym wyjściem jest kompromis. Kompromis to nie to samo co ustępstwa. I kompromis nie oznacza przegranej. Ustępstw dokonuje się w każdej sprawie z osobna, z dnia na dzień i tylko druga strona na nich zyskuje. Przez kompromis rozumiem generalne dogadanie się co do zatrzymania istniejącej próby sił, rozgraniczenia uprawnień i ograniczenia aspiracji działających w Polsce sił politycznych, porozumienie się, jak to ma wszystko funkcjonować, jak ma funkcjonować państwo, system rządów. Dla nas kompromis by oznaczał przystanie na pewne żądania i definitywne unicestwienie w zamian innych żądań. Zasadnicze zobowiązanie obejmować musi okiełznanie przez stronę przeciwną sił, którym przewodzi. Z jednej więc strony, zobowiązanie władzy do takiego i takiego modelowania systemu jej sprawowania; z drugiej strony, zobowiązanie partnera, że nie wysunie żądań nowego rodzaju, zarządzi ciszę strajkową, nie będzie atakował tych i tych rzeczy, nie będzie zmiatał ludzi z aparatu władzy itd.

Aby taki kompromis zaistniał, trzeba go mieć z kim zawrzeć, to znaczy ma on sens wtedy, kiedy się uważa, że partner zapanuje nad masami, nad swoimi radykałami, a nie powie nazajutrz po podpisaniu umowy, że jego baza społeczna wymknęła mu się z rąk. Może tę zdolność Wałęsy, Wyszyńskiego do opanowania sytuacji trzeba oszacować z góry, a może trzeba to sprawdzić w praktyce, po prostu zawierając kompromis. Ponadto partner musi chcieć zawrzeć taki generalny kompromis, powściągnąć swoją siłę i uczciwie go wypełnić. Przypuszczam, że środkami politycznymi można wywrzeć nacisk w tym kierunku. Strach przed interwencją to przecież rzecz, którą udaje się wzmacniać, nawet gdyby żadne radzieckie ośrodki nie chciały pomóc w wytworzeniu takiego lęku. Do techniki tworzenia nacisku politycznego nie mnie,

dyletantowi, się mieszać, ale przecież istnieją subtelne i pośrednie sposoby sygnalizowania, np. *via* Zachód, jakie poczynania „Solidarności” bezpośrednio grożą wejściem do Polski sojuszników.

Jeżeli szybkie zawarcie takiego kompromisu się nie uda lub jeżeli kompromis zawarty nie będzie następnie respektowany, wydaje mi się, że można jeszcze podjąć próbę ratowania istnienia Polski poprzez ryzykowną próbę dokonania politycznej operacji, kończącej etap pełną rewolty. Tylko że nie można się z nią spóźnić! Spóźnienia są naszą największą wadą. Wyobrażam to sobie jako stworzenie koalicyjnego rządu z minimalną większością PZPR-owców i to najbardziej strawnych dla społeczeństwa, a z udziałem reprezentatywnych katolików i umiarkowanych ludzi z kręgu „Solidarności”. Koalicje takie musiałyby powstać równoległe we władzach województw, miast i gmin.

Ale to jeszcze mało. W przeszłości, w 1956 i na przełomie 1970/1971 roku, okresy społecznego wzburzenia udawało się zakończyć w ten sposób, że istniała data, miesiąc — symbol, zespół zdarzeń oznaczający dla społeczeństwa, że jeden etap się skończył, a drugi nastał. I społeczeństwo uznawało, że pożądana przezeń zmiana w zasadzie dokonana się, po czym właśnie następowało stopniowe uspokojenie. Obecna sytuacja wymaga o wiele większej zmiany. Ale sama zasada może się jeszcze raz sprawdzić. Jednym słowem, trzeba urządzić w Polsce przełom, skoro społeczeństwo nie zechciało uznać, że we wrześniu 1980 roku satysfakcjonujący je przełom już się dokonał.

Dotychczas kluczowym zdarzeniem i symptomem przełomu była zmiana kierownictwa partii. Obecnie to już nie jest potrzebne, gdyż to się już w zasadzie, choć nie w pełni, dokonało, nadto nie na to już zwrócone są oczekiwania społeczne. Co zresztą dowodzi, że z rządami partii nie wiąże się już tych co ongiś nadziei. Zmiany personalne w aparacie PZPR są więc potrzebne nie dla pozyskania opinii publicznej, lecz dla usprawnienia systemu władzy.

Istotą przełomu byłoby oczywiście powołanie koalicyjnego rządu, opartego np. o umowę koalicyjną, przewidującą pójsie rządowym blokiem do wyborów ze wspólną listą — co rozwiąże stojący przed nami problem wyborów. W ten sposób mogą być one „wolne i demokratyczne”, lecz skoro wszystkie ważne siły polityczne pojawią się na jednej liście wyborczej, nie grozi wyeliminowanie PZPR poprzez procedurę wyborów powszechnych. Tego jednakże mało. Wydaje mi się, że w jednym czasie trzeba zgromadzić wiele różnych politycznych wydarzeń. Może nowa konstytucja? Rozwiązanie Sejmu? Może konieczne będą głośne procesy niektórych członków dawnych władz. Sądzę, że wiele

tego rzędu zdarzeń trzeba skumulować w czasie, żeby stworzyć sytuację, że oto dokonuje się ten upragniony, wielki przełom.

Koalicja i blok wyborczy oraz szybkie rozpisanie wyborów na tej podstawie pozwoliłyby uprzedzić społeczne żądanie nowych wyborów, które „Solidarność” i inni oponenti na pewno lada dzień wysuną. Sprawa niechęci do obecnego Sejmu (mimo jego starań) jako niereprezentatywnego lada dzień okazać się może kluczową.

Powołanie koalicji, na co katolicy chyba pójdą, widząc tu swoje szanse no i szansę ratowania przed interwencją pograżającego się w chaosie kraju, byłby to oczywiście bardzo ryzykowny fakt dokonany. Operacja taka ma sens, jeżeli nasze kierownictwo uzna, że ryzyko warto ponieść, bo dryfowanie w ślad za zdarzeniami jest jeszcze ryzykowniejsze. Jeśli więc dojdzie do wniosku, że dla Związku Radzieckiego zabezpieczenie ich strategicznych i międzynarodowych interesów, związanych z ładem w Polsce, bez ponoszenia skutków zbrojnej interwencji jest tak ważne, iż towarzysze radzieccy w imię tego celu zaryzykują erozję całego systemu socjalistycznego, jaką spowoduje finlandyzacja Polski. Tu trzeba chyba kalkulować jak lekarz przed ciężką operacją: czy większa jest szansa, że pacjent przeżyje, gdy się go zoperuje, czy kiedy operacja się nie odbędzie. W chirurgii, gdy jest np. tylko 15 % szansy, że pacjent operację przeżyje — kroi się go na pewno. Rozumiem, jak trudno jest postawić wszystko na jedną kartę, słabą kartę i nieprzyjemną kartę. I że łatwiej jest czekać w nadziei, że jakoś to się z czasem uspokoi, ale chyba potrzebna jest dziś ta chirurgiczna śmiałość, to zagranie losem Polski.

Nie jestem żadnym „integralnym demokratą” i nie marzę o udziale katolików we władzy. Sądzę, że w sensie możliwości przyszłego tworzenia programu nowoczesnego rozwoju Polski, ich udział we władzy bardzo utrudni nasze zamierzenia. Wiem też, że to wariant bardzo trudny do przełknięcia dla PZPR, oznaczający jakby zaprzepaszczenie dłużej ewolucji politycznej, cofnięcie się do połowy lat czterdziestych (kiedy to porozumienie z politykami katolickimi nie było zresztą możliwe, bo mieli londyńską orientację. Dziś jest ono możliwe pod warunkiem wyraźnej deklaracji katolików wobec ZSRR, że respektują miejsce Polski w bloku socjalistycznym). Jednakże sądzą, że nie ma innego wyjścia. Wygląda na to, że dalszy rozwój sytuacji — jeśli interwencja nie nastąpi szybko — i tak zmusi do poproszenia umiarkowanych katolików o wsparcie władzy państwowej w Polsce, aby nie była wciąż spychana i atakowana. Skoro zaś rozwój sytuacji i tak wymusi rozszerzenie bazy rządu — lepiej z tym wyjść szybciej, samemu, „sprzedając to” nie jako propozycję powstałą pod wpływem zamieszek, ale jako chęć odnowielskiego poszerzenia bazy społecznej rządu.

Jestem człowiekiem skrajnie niechętnym katolikom, ich programowi, wyobrażeniom, mentalności, ale — co wygląda na paradoks — w rządach koalicyjnych widzę najlepszą szansę odrodzenia znaczenia i siły PZPR, oczywiście PZPR bardzo zmodyfikowanej programowo i pod względem stylu działania. W tej chwili PZPR dźwiga całą odpowiedzialność rządową, a inne siły, stojąc na zewnątrz, krytykują i naciskają swobodnie a nieodpowiedzialnie. Rząd koalicyjny sprawi, że część tych sił, zbierających poklask z tytułu swej opozycyjnej pozycji, zacznie współodpowiadać, więc zbierać ciągi od społeczeństwa. Społeczeństwo zobaczy — bo przecież sprawy w Polsce nie polecą nagle gładko — że to nie immanentne wady komunistów sprawiają kiepskie rządzenie. Upadnie więc wyobrażenie, że ci inni z ugrupowań katolickich, z „Solidarności” są lepsi. Pogorszy się ich pozycję wobec społeczeństwa, znikną mity istniejące w społeczeństwie, że wszyscy są świetni oprócz komunistów. Jeśli PZPR stanie się siłą twórczą pod względem myśli programowej, atrakcyjną — może to być podstawa do odbudowy pozycji partii w społeczeństwie jako ugrupowania bardziej pragmatycznego, lepiej otwartego na współczesny świat, nowoczesnego. Działanie w układzie koalicyjnym, walka o wpływy odmłodzi partię, uideowi, sprzyjać będzie wewnątrzpartyjnym przemianom. Odpadną karierowicze, ta cała partyjna urzędokracja.

Gdyby — zdaniem kierownictwa PZPR — wariant koalicyjny był niemożliwy z tego względu, że oceni się, iż ZSSR wyrażicie będzie wolał ponieść polityczne konsekwencje zbrojnej interwencji, niż zainaugurować erozję systemu państw socjalistycznych i narazić się na kłopoty wewnętrzne — no to, moim zdaniem, pozostaje już tylko naszemu kierownictwu przyznać się wobec Kremla do bezradności i prosić Związek Radziecki o interwencję, ale tylko polityczną. Mogłoby to być coś w rodzaju połączenia otwartej radzieckiej demonstracji militarnej na granicach z ogłoszeniem przez ZSRR deklaracji opartej na doktrynie Breżniewa z 1968 roku, a zawierającej warunki polityczne wobec Polski. Precyzującej więc jakoś, na co się nasz sąsiad godzi, na co nie i w podtekście lub tekście zawierającej groźbę zbrojnej interwencji, jeśli umiarkowane (inaczej wywołują desperację) radzieckie warunki nie będą respektowane. W ten sposób Polacy uświadomiliby sobie, że to zagrożenie jest realne i bliskie, a przywódcy Zachodu i papież najpewniej wezwaliby Polaków — już teraz wyraźnie — do uspokojenia stosunków wewnętrznych i przystawienia radzieckich warunków. A potem trzeba by — w pozostałych nam ramach swobody — dokonywać niezwykle szybko istotnych reform, tak aby to uspokojenie społeczeństwa mogło być trwałe, a nie tylko chwilowe i mijające wraz z oddalaniem się w czasie od szoku, który spowoduje radziecka deklaracja.

A także po to, żeby zyskać społeczne uznanie, o co trudno władzy utrzymanej „na radzieckich bagnietach”, ale co się udało Kadarowi. Byłby to więc kadarowski wariant rozegrania sprawy, tyle że bez strzelania i bez terroru, od którego Kadar zaczął.

W każdym razie sędzę, że ratunek leży w dokonaniu operacji politycznej w wielkim stylu, spektakularnej i że polityka wleczenia się w ogonie wydarzeń, to ustępowania, to opierania się i mówienia „nie”, żeby jutro znów ustępować, niczego dobrego nie przyniesie. Owa operacja w wielkim stylu musiałaby być, sędzę, bardzo śmiała. Żle by było, gdyby jej zakres został zminimalizowany, żeby była wypadkową opinii poszczególnych członków kierownictwa i ich lęków, żeby była kunktatorsko okrojona i połowiczna. Myślę, że idąc na coś takiego, trzeba by było narzucić całemu zespołowi kierującemu partią i państwem plan nie podlegający korekturom i obciążeniom, choćby to spowodowało kryzys personalny. Taka operacja musi być bowiem śmiałym i pełnym wyobraźni skokiem do przodu, nie zaś kolejnym ustępstwem cząstkowym.

Wiąże się to z kwestią przywództwa. Spośród wszystkich Waszych, Towarzyszu Sekretarzu, słów, których słuchałem, lub które czytałem z wielką ku Wam sympatią — największą moją sympatią wywołały słowa o tym, że funkcja nie czyni jeszcze przywódcy i że Polsce chyba w ogóle nie jest potrzebny charyzmatyczny przywódca. Byłoby świetnie, gdyby tak było. Niestety, w tej dramatycznej sytuacji Polsce jest potrzebny charyzmatyczny przywódca, bo nie ma u nas ani tyle kultury politycznej, ani czasu, aby silne przywództwo odpersonifikować i zbudować bardziej demokratycznymi i szlachetniejszymi metodami.

Szczerze mówiąc, wyobrażam sobie, że takim przywódcą Stanisław Kania, czy każdy dziś I Sekretarz, stać się może tylko wówczas, gdy będzie inicjatorem i wykonawcą spektakularnego przełomu i odwoła się do narodu ze swoim planem. Kierownik codziennej ostrożności i delikatnej polityki takim potrzebnym Polsce przywódcą się nie stanie, nawet gdyby ta polityka okazała się na koniec skuteczna, w co wątpię, choć kolejne uspokojenia dostarczają złudzeń, że ruchawka się kończy. Sędzę zresztą, że w dobie telewizyjnej macie jeszcze jeden, oprócz dorobku politycznego ostatnich miesięcy, atut. Otóż obaj Wasi poprzednicy, Gomułka i Gierek, nie byli jako ludzie sympatyczni. Ta zwykła, apolityczna ocena ma spore potencjalne znaczenie.

I jeszcze kwestia aktualnej propagandy. Ogólne nastroje polityczne są takie, że dla ludzi na ogół bardziej przekonująca jest nawet zła propaganda „Solidarności”, niż dobra nasza propaganda. Wobec tego nasza musi być więcej niż dobra. Ludzie intuicyjnie czują, że partia nie pali się do przemian, do odnowy, uwa-

zają, że deklaracje partii, że chce się i rządy odnowić, są wymuszone i taktyczne. Wszystko, co pisze zrewoltowane środowisko dziennikarskie plus publicyści z kręgu naukowców i pisarzy, owo całe gromkie odnowicielstwo, krytyka przeszłości, projekty na przyszłość — nie jest zaliczane jako głos partii, idzie na konto osób piszących, gazet i czasopism, które to drukują, środowisk twórczych. Za głos partii uważany jest dziennik telewizyjny, *Trybuna Ludu* oraz „ustawiające” wstępniaki w gazetach oraz oczywiście wszystkie przemówienia i deklaracje oficjalne. Tym samym głos partii jest warty. Jeśli kogoś czytelnicy uważają za wyraziciela partii, przestaje być wiarygodny, jego słowa tyle znaczą, co zapewnienia wiarołomnej żony. Widzi się w tym, co głośnicie, nie argumenty, lecz kombinacyjną nieszczerłość i propagandową intencję. Gdy zaś ktoś piszący nie jest uważany za tubę partii — to choćby był człowiekiem partyjnym, piszącym w środowisku przekazu poddanym kierownictwu partyjnemu — jego akceptowane przez czytelników myśli nie idą na konto partii, tylko zaliczane są do frontu sprzeciwu.

Pisywałem ostatnio komentarze dla dziennika telewizyjnego ze świadomością, że owo wykazywanie nonsensu nacisków i strajków tylko drażni i wścieka większość słuchaczy. Czym bardziej przekonujące są argumenty przeciw niepokojom i naciskom — tym podrażnienie słuchaczy większe. Rzeczy nijakie i stereotypowe mniej drażnią, uważane są za ceremoniał bez znaczenia. Potrzebujemy więcej propagandy subtelniejszej, nie wprost, której intencje nie są tak topornie wyrażane. Na przykład, kiedy w telewizji szedł reportaż o wygryzieniu sekretarza KW z Olsztyna i pokazano małą chałupkę, którą sobie postawił, a o którą jest taki wielki krzyk, to trzeba było, pokazując ten nędzny domek, mówić „proszę, jaki wspaniały pałac postawił sobie ten skurczybyk” (i to bez żadnej ironii), a pokazywać wtedy chałupkę. Kiedy zaś się mówi „proszę, jaka nędzna chata” i pokazuje nędzną chatę, wtedy intencja propagandowa jest zdradzona widzom, a efekt zepsuty. Trzeba widzowi czy czytelnikowi pozwolić samemu wyciągać wnioski, prowokować owo korzystne wnioskowanie. Traktując ten przykład, oczywiście, jako metaforę. Chodzi o to, żeby znaczna część propagandy oddziaływała stosując metody nie wprost.

Czym u nas panuje większa wolność słowa, czym swobodniej piszą i mówią nasi przeciwnicy, a także dziennikarze (których znaczna część *de facto* i także w swoich intencjach wspiera druga strona) — tym większa musi być wolność słowa w tym wszystkim, co w środkach masowego przekazu utożsamiane jest z partią, z władzą. Partia mówi dziś językiem sto razy swobodniejszym, niż przed latem 1980, ale w porównaniu z tym, co inni piszą i gadają, ów głos partii teraz wydaje się tak samo sztywny, jak

przedtem. Dotyczy to także przemówień, deklaracji rządowych itd.

Wydaje się, że niestety nadal główny wysiłek kierownictwa propagandy nastawiony jest na ograniczanie, hamowanie, reglamentowanie. Bywa to niezbędne, np. ze względów międzynarodowych, ale punkt ciężkości powinien być przecież już dawno przesunięty na twórczość propagandową, na robienie — nie zaś zakazywanie, na koncypowanie pomysłów. Szczególnie, że owo zakazywanie nie jest skuteczne, ponieważ złamany został partyjny monopol słowa, druga strona przy swoich ograniczonych środkach technicznych robi propagandę, jak chce. W tej sytuacji powściąganie i ograniczanie naszych środków masowego przekazu sprawia po prostu, że tracą one znaczenie i wiarygodność. Tu ilustratywny przypadek *Gazety Krakowskiej*, która polecała naprzód, nie zawsze, moim zdaniem, mądrze, bo i z zaturacją partyjnej tożsamości (teksty prokatolickie), ale to mniej ważne niż to, iż zyskała wiarygodność. Ta wiarygodność działa na korzyść partii wtedy, kiedy KW się ze swoją gazetą utożsamia, gdy zaś powiada się w partii, że „to nie wiadomo czyje pismo”, opinia publiczna zaraz uznała *Gazetę Krakowską* za pismo niemal opozycyjne, które odskoczyło i już tylko gazeta jest wiarygodna, a nie ci, którzy ona jest organem.

W prasie, często i w TV jest dość dużo dobrej i zręcznej roboty, ale ton i forma przemówień, różnych artykułów *Trybuny Ludu*, wstępniaków, komentarzy dziennika TV jest zupełnie odmienna — ta cała robota, robiąca środkom masowego przekazu wiarygodność, idzie na konto dziennikarzy i środowisk twórczych jako siły autonomicznej, a nie na konto partii, bo nie jest przyjmowana jako wyraz jej intencji, jako jej głos. Propaganda musi być teraz wyjątkowo rzetelna, bo podejrzliwość wobec niej jest ogromna. Znowu przykład z tego samego reportażu telewizyjnego z Olsztyna. Jeśli pokazuje się rachunki za remont domku, które mają wykazać, że były I Sekretarz olsztyński za wszystko zapłacił i jeśli te rachunki za wykonanie robót w jego prywatnym domu wystawiane są — co widać na ekranie — na Wydział Ogólny KW PZPR, po czym widzi się kwity, że sekretarz zwracał należność do kasy swojego własnego KW — no to 20 milionów Polaków patrzy i się śmieje. Bo niby czemu KW regulowało prywatne rachunki? I czyż w KW nie można dziś wypisać dowolnych kwitów dla potrzeb programu TV?

Dlaczego to tylko „Solidarność” wykrywa afery (prawdziwe, czy rzekome) w aparacie władzy? Jeśli chce się w propagandzie nie tylko deklarować, ale i przekonać, że partia zwalcza swoich skorumpowanych funkcjonariuszy, to jakież jedno i drugie KW musi chcieć samo wykryć i ujawnić z krzykiem przed opinią aferę w swoim łonie. To byłby propagandowo polityczny sukces wo-

bec opinii. Tymczasem, gdyby zaproponować taką operację, my, dziennikarze, usłyszymy: „mało, że 'Solidarność' wywleka jakie się da głupstwa lub wręcz stosuje oszczerstwa, to my sami jeszcze mamy tę kampanię, skierowaną przeciw partii jako takiej, wzmacniać i wspierać?”. Prawda to, że chodzi o kampanię przeciw partii. Ale tylko jeśli partia będzie sama wykrywać nadużycia, ogłaszać o tym — to działania tamtych przestaną mieć ten sens, że oto zdrowe siły narodu czyszczą tę zabagnioną złodziejstwem partię.

Przepraszam za rozmiary tego listu. Mam też nadzieję, że nie uznacie go, Towarzyszu Sekretarzu, za przejaw arogancji. Z pewnością dociera do Was wiele apeli o ratunek. Starałem się, żeby mój był konstruktywny, a tacy jak ja ludzie spoza kręgu władzy tak mało mają istotnych informacji, że się rzeczy w myśleniu politycznym popadam być może w naiwność.

W historii Polski wielu było mężów stanu różnych zasług, ale nigdy nie było takiego, który ocalił kraj. Po prostu, kiedy Polska znajdowała się już w tak złej sytuacji, że wymagała ocalenia — zawsze nie udawało się jej ocalić. Gdyby tym razem taki zamiar się udał, zasługa tych, którzy tego dokonali, byłaby większa, niż wszystkich kolejnych wskrzesicieli Polski. Bo też to ocalenie wymaga większej odwagi, niż wszystkie wskrzeszenia lub ich próby.

Z wyrazami wielkiego szacunku

Jerzy URBAN



ARKADY

— ARKADY

Polnische Kunst-u. Buchhandlung
Księgarnia & Galeria Polska

2000 Hamburg 36, Alsterarkaden 10,
tel. 346047

prowadzimy sprzedaż wysyłkową,
katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Dziennik zewnętrzny

Najbardziej frapujące pytanie naszego dzisiaj: dlaczego to wszystko, co dzieje się w Polsce, a co jest tak fascynujące, już nas nie fascynuje?

Jestem u fotografa, by odebrać zdjęcia paszportowe.

— Dlaczego ma pan taką smutną minę? — pyta niemłody właściciel zakładu.

— Czy jest z czego się cieszyć? — odpowiadam pytaniem, a widząc, że na fotografii jestem rzeczywiście przegnębiony, próbuję swoją prawdziwą twarz zmusić do uśmiechu.

— Powodu nie ma ani jednego — mówi fotograf.

Tu się nagle zbuntowałem, sam nie wiem, czy szczerze, czy tylko w celach poznawczych.

— Przecież odradza się „Solidarność”, szykują się częściowo wolne wybory.

Popatrzył uważnie, jakby robił zdjęcie mojej naiwności.

— I co z tego, drogi panie, że system szlag trafia, kiedy wszystko w ruinie. Za mojego, za pańskiego, a nawet za życia pańskich dzieci nic dobrego w tym kraju nie będzie.

Tak oto właściciel fotograficznego zakładu wywołał odpowiedź na pytanie, czemu fascynujące nas nie fascynuje.

Po kilkunastu latach spotykam kolegę z klasy, który zawsze miał skłonności, delikatnie mówiąc, autorytarne. Wtedy gorący zwolennik systemu, a również w jakiś szczególnie sposób zakochany w chwale oręza Trzeciej Rzeszy. Dopiero jednak po wydarzeniach marcowych '68 roku przestaliśmy ze sobą rozmawiać, zerwała z nim wówczas stosunki większość naszej klasy.

Co teraz porabia? Zgodnie z oczekiwaniami, pracuje na wy-

sokiej państwowej posadzie, zamilczę w jakim urzędzie. Jako że spotkanie miało miejsce w ramach rocznicowo-klasowego pijaństwa, W. dosyć szybko stał się wylewny. Zwierza się, że chociaż jest w partii, to wiarę stracił już dawno. Opowiedział nawet, jak to mu się zdarzało zupełnie publicznie mawiać w pracy: Dajcie mi pluton SS, to pójdę na Dom Partii. (Ciekawe, że właśnie tę doborową formację sobie wybrał). Twierdzi, że wiele nauczył się przez te lata. Już nie szanuje polskiego narodu, nic a nic, bo go zawiodł. Opowiada o demoralizacji naszego społeczeństwa — zgadzam się z nim — mówi, że jest zwolennikiem systemu parlamentarnego — też się zgadzam. Coś takiego, ja i W. po jednej stronie politycznej barykady.

Wychodzimy z lokalu w stanie powszechnej nietrzeźwości i W. zaczyna mnie obcałowywać (ta pijacka czułość, która tak rozpanoszyła się szczególnie wśród Słowian, jest godna seksuologiczno-politycznej analizy: patrz całowanie się w usta pierwszych sekretarzy). W. namawia mnie, żeby koniecznie pojechać z nim do domu, jego żona też nalega. Jako że się opieram, argumentuje, że już przecież jesteśmy prawie po jednej stronie (żona pracuje w tym samym co on urzędzie, a to zupełnie naturalne, gdyż wiadomo, że oni z reguły krzyżują się w obrębie własnej grupy). Jako że nadal odmawiam, nieco urażona prosi, żebym przynajmniej wziął pod uwagę, jak wielką ewolucję przeszły jej poglądy w ostatnich latach. Udało mi się jakoś wyrwać z serdecznych splotów i mogłem już z dala obserwować, jak towarzystwo ładuje się do samochodu. Od razu zostali zatrzymani przez tajny patrol MO, który krążył w pobliżu, węsząc łatwy łup. Kierowca jednak okazał się być trzeźwym i wraca triumfalnie po balonikowym badaniu. Wtedy wytacza się z pojazdu W. Idzie do milicjantów chwiejnie, ale zamaszyście, z taką samą odwagą, z jaką chadzał do odpowiedzi na groźnych lekcjach matematyki. Pokazuje milicjantom legitymację, ale ci jakoś nie przestraszeni opędzają się łagodnie. Zobaczył mnie i zbliżył się wojskowym krokiem, otulony ciepłym oparem alkoholu.

— Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie mają gęby te policyjne draby — mówił gorączkowo, a mnie się zdawało, że widzę, jak lęk podsyci w nim nienawiść. Proponuje, abyśmy obaj poszli i przyłożyli tym gębom. Jakoś nie miałem ochoty, więc ruszył sam, ale chwyciła go żona. Wyrwał się i oświadczył:

— Nadszedł czas, żeby obudzić ojca, nie ma rady, trzeba go będzie zbudzić.

Przypomniałem sobie, że jego ojciec był dawno temu pułkownikiem MSW, teraz bez wątpienia generał.

— Powiedz mi, czy ja byłem normalny w szkole, jak ty mnie pamiętasz? Bo teraz już nie jestem normalny — otarł łzy kufakiem.

Cóż za miazga w tej biednej głowie, co za nierzeczywistość. Piszę o tym tak rozwlekle, bo uderzyło mnie, że grunt pod nogami straciliśmy nie tylko my, ale również oni. Spotykaliśmy się najpierw na przesłuchaniach, potem przy okrągłym stole, w końcu przy wódce — obyśmy tylko nie spotkali się w szpitalu psychiatrycznym.

Gdyby spisać wszystkie anegdoty, jakie zrodziły się w Pałacu Radziwiłłowskim, można by nimi zapełnić książkę telefoniczną, ale byłaby to smutna książka, jak smutne bywają książki telefoniczne sprzed półwiecza, pełne numerów na zawsze zamkniętych aparatów. Bo dowcip umiera wyjęty ze swojego czasu i z ust opowiadającego. Samo spotkanie miało w sobie bez wątpienia coś z figla, jakie historia płata dosyć rzadko. Niedawno więźniowie spotkali się ze swoimi strażnikami, by z pałacu uczynić dom publiczny, przepraszam — publiczny w najlepszym sensie tego słowa. A anegdoty, cóż, nieco zbliżyły wielki stół do naszych stołów domowych, ale dotyczy to tylko krewnych i znajomych biesiadników tej politycznej uczty. Zaś przygniatająca większość społeczeństwa była skazana na sztywne telewizyjne transmisje. Bystrzy obserwatorzy mogli jednak usłyszeć, jak szybko obie strony ucza się wzajemnie własnego języka — władza już niemal w całości przejęła język opozycji, a opozycja chwilami używała słów władzy: „uzgodniono, postanowiono”. Wyróżniał się OPZZ, bo w tym dziwnym organie selekcja naturalna spowodowała, że wszystkie oblicza przypominały gęby z obrazów Breugla.

I tak większość narodu do dzisiaj nic nie wie o dramatycznym nocnym wystąpieniu towarzysza Cypryńskiego, co jeszcze niedawno był beton, a tu nagle obnażył w swojej klatce piersiowej delikatne serce i mówił, jak dramatyczna jest sytuacja partii, jak szczerza, chociaż zaniepokojona, wyciągnięta ku opozycji dłoń. Podobno nawet najtwardsi bojowcy opozycji mieli łzy w oczach. A któż wie o dramacie towarzysza Jachacza, który gdy został nazwany przez katolickiego publicystę troglodytą, podbiegł do jednego z przedstawicieli opozycji, skarżąc się: „Niech mu pan powie, żeby nie mówił na mnie troglodyta”. Został wtedy pocieszony słowami: „Ach, niech się pan nie przejmuj, to jest tylko taka metafora”.

I można by tak godzinami opowiadać, jak śmiesznie bywało czasami przy okrągłym stole. Nie wszystko jednak było zabawne. Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że spora część opozycji dała się wessać przez nowy układ jak przez ogromny odkurzacz (mam nadzieję, że na chwilę). Ten cug poszedł od tygodni wspólnej pracy, od dramatów, co nagle stały się wspólne, od solidarnego zmartwienia o los Polski i nawet miała swoje znaczenie obojętność społeczeństwa, która też szła już na wspólne konto, nie mówiąc

o wspólnych posiłkach i wspólnym siusianiu. Nic tak nie zbliża, jak to ostatnie.

Ze wzruszeniem słuchałem, jak Władysław Frasyniuk opowiadał o nieustannym wysiłku, by utrzymać dystans wobec strony przeciwnej. Była to twarda walka z samym sobą, z nawykami kultury, z uśmiechem, który odruchowo odpowiada na uśmiech. Nie wszystkim udało się tę walkę wygrać. Upowszechniła się przy stole forma zastępcza „ty” — „panie Andrzeju, panie...”. Ciekawe, bo jest to przecież stary chwyt naszych śledczych, a zna go każdy, kto był przesłuchiwany. Jako że te poufałości były niekiedy słyszalne publicznie, mogło się niektórym wydawać, że Bóg wie, co działo się w sytuacjach bardziej intymnych.

Pewnie dlatego wchodząc kiedyś do redakcji pisma katolickiego, usłyszałem redaktorów, jak wymieniali się wieściami, że w Magdalence Wałęsa przeszedł na „ty” z Kiszczakiem i że pija się tam wódkę. Sprawdziłem — na szczęście tylko to drugie jest prawdą.

Natomiast S. opowiedział mi, jak w pałacowej stołówce ujrzał działacza znanego z nieugiętej postawy, który siedział na stole i majtał nogami, a wokół stał tłumek aparatczyków partyjnych i wszyscy trzymali się za brzuchy, tak ich bawiły anegdoty przez niego opowiadane. S. opowiadał mi o tym z głębokim lękiem, jaki zawsze wywołuje w człowieku uczuwy podejrzeń, że miłowy kamień naszej moralności został w nocy potajemnie przesunięty w inne miejsce.

Mnie natomiast uderzyło, jak wielu odchodzących od stołu, których spotykałem już za progami świątyni porozumienia narodowego, zdawało się przypominać ludzi głęboko wierzących po przyjęciu komunii. To skupienie i poczucie, że pochłania się tajemnicę, której będący na zewnątrz nie posiadają.

Oczywiście, jak zwykle przerysowałem, zbyt uogólniłem, jednym słowem popełniłem nieuczciwość. Przecież spotkałem osobę z niewielkiego miasta, która jeszcze niedawno była niewale prześladowana, a teraz, jadąc na obrady, mówi: „Ty wiesz, że ja o wiele lepiej czułem się na komendach milicji niż w tym pałacu” — i ja jej wierzę. Również nie większość się fraternizowała, ale mniejszość — szkoda, że mniejszość istotna. Pokłoniła się jednak banalna prawda, że największe zagrożenie dla naszej moralności powstaje nie wtedy, gdy się nam coś zabiera, ale gdy się daje. Doświadczyłem tego osobiście. Skierowałem swoje kroki do instytucji państwowej, gdzie w związku z moją domniemaną opozycyjnością zostałem potraktowany jako fragmentek noworodzącego się układu. Wysocy rangą urzędnicy skakali wokół mnie w przyjaznej adoracji, a sekretarki dbały o luksus mojego

przewodu pokarmowego. I nagle poczułem, że nareszcie... państwo jest po mojej stronie! Nie zagraża mi już 200 tysięcy funkcjonariuszy MSW i uzbrojona po zęby trzecia armia Europy. Nie jest już jadowite żądło mikrofonu podsłuchowego, a jeśli ktoś za mną chodzi, to po to, by mnie chronić. Przyjemnie. I zrozumiałem, że ja przecież w skrytości ducha zawsze o tym marzyłem. Bo cała moja istota jest nastawiona prospołecznie. Ileż razy patrząc na milicjanta, łapałem się na myśli, że ja marzę o tym, by był on prawdziwym aniołem stróżem i abyśmy wspólnie dbali o ład i porządek. Patrząc na głowę państwa, myślałem — jaka szkoda, że nie jest to głowa mojego państwa.

I pomyśleć, że tak łatwy i przyjemny jest ten pierwszy krok. Czy tylko odruch masochistyczny skłania mnie, by o tym pisać? Próbuję zrozumieć zagrożenia, jakie czyhają na opozycję, dla której już się szykują pierwsze służbowe samochody z kierownicą. Problem w tym, że samoświadomość niewiele tu pomaga, jak powtarzanie przed zaśnięciem „nie zasnę”. Więc i ja, gdybym siedział przy stole, bez wątplenia zaprzyjaźniłbym się z towarzyszami Gdulą i Cypryńniakiem, nie mówiąc już o subtelnym towarzyszu Jachaczu. I jak się bronić przed chorą wyobraźnią, która maluje obraz: oto siedzą na stolicach wszyscy wspólnie z obu stron i trzymają w rękach cienką, ale coraz grubszą i grubszą nic porozumienia narodowego. I ja się tam po kryjomu przysiadam i trzymam z całych sił, już nie dla siebie, dla syna, chociaż wiem, że z każdym rokiem zmniejsza się szansa, że on w tym kraju zostanie i ja — to straszne — coraz mniej mu tego życzę.

„Solidarność” zarejestrowana! Od ręki, gładko i lekko jak we śnie. Niestety ta sama lekkość towarzyszy naszemu odczuciu wagi tego wydarzenia. Co za niezwykle zmartwychwstanie, a jednak nie spływa na nas łaska wiary. Gdzie się nie ruszę, spotykam ludzi, którzy podobnie jak ja mają poczucie, że koniecznie należy szybko budować związek, ale jakoś okropnie się nie chce. Rozmawiamy ze sobą jak ci chłopi ze sztuki Mrożka: „Może by coś skosić... zaorać co... Ano poczekajmy... no to czekajmy”. Jak tu jednak czekać kiedy gryzą wyrzuty sumienia.

Niby przypadkiem zachodzę w miejsce, gdzie się odradza „Solidarność”, spotykam tam wielu przypadkowych spacerowiczów. Kiedy odkurzam ich twarze z nalotu ośmiu lat, rozpoznaję oblicza dawnych pracowników Regionu. Patrzymy sobie nie w oczy, ale na czoła — czyżbyśmy szukali bliźn po lobotomii?

Liczne obecnie przyjazdy dawnych i nowych emigrantów do kraju niezwykle zaniepokoiły mojego przyjaciela, którego wiek i ranga pisarska powodują, że słowa, które lekko wypowiada, zdają się mieć niepokojącą wagę:

— Popatrz, zjeżdżają się tu teraz wszyscy jak na pogrzeb. Ciekawe tylko, czyj to będzie pogrzeb?

Cóż za wspaniałe egotyki, pomyślałem, dostrzegając w jego przymrużonych oczach znak, że myślał przede wszystkim o własnym pogrzebie, a dopiero w drugiej kolejności o pogrzebie Polski.

Mnie natomiast ciekawi, kiedy zaczną się zjeżdżać działacze „Solidarności”, szczególnie ci radykalni, co napędzali lokomotywę związku, by parła nieubłaganie do przodu przez rosnące śniegi listopada i grudnia. Kiedyś myśleliśmy o nich jako o dezenterach — potem jak o ludziach rozsądnych, czego nie można powiedzieć o nas, którzy zostaliśmy mimo wszystko — by w końcu teraz powracać do myśli, może już nie o grzechu haniebnego porzucenia własnej armii przez generałów, ale słabości zbyt szybkiego pośpiechu, za małej wytrwałości, zbyt szybkiego zapomnienia. Czy któryś z nich wróci na stałe, a jeśli wróci, czy się odnajdzie w kraju — tym samym, a tak bardzo innym?

Ilekróć chcę coś krytycznego napisać o naszych intelektualnych zasobach, od razu czuję lekki paraliż, bo przecież ta krytyka również mnie będzie dotyczyć — ani ja bardziej pomyślowy, ani bardziej odważny i inteligentny od naszej inteligencji. I jak tu nie szanować artystów za stan wojenny, za post tak długi, odwagę słowa i milczenia. Nie da się nie szanować. I oto przez Forum Kultury Niezależnej zebrało mi się na krytykę jak na płacz. Nikt nie wiedział, czym ma być ta impreza, zanim się rozpoczęła, nikt nie wie po zakończeniu, czym była. Jako że organizowały ją koła opozycyjne, można sądzić, że postawiono cel godny szacunku. Chodziło o to, by się spotkać po latach — tłumaczy mi jakaś dobra dusza. Ktoś inny sięga głębiej i wyjaśnia, że intelektualiści zgodzili się złożyć hołd samym sobie i ruchowi niezależnemu, a organizatorzy zamierzali uzyskać błogosławieństwo dla niemożliwego, jakie zrodził okrągły stół. I rzeczywiście zapalono opozycji taki kaganek, że zrobiło się duszno. Ale przede wszystkim była to akademія ku czci naszej bezsilności wobec stanu rzeczy, w jakim jest kultura i niekultura. Imprezę rozpoczęły referaty Matuzalemów naszej sztuki i nauki, a te referaty sunęły godnie acz powoli, jak czołgi na gąsienicach (nareszcie mamy czołgi!). Wyróżnił się tu wdzięczną zwiewnością Julian Strykowski, można powiedzieć za Francem Fiszerem, że „zajechała pusta kareta i wysiadł z niej Strykowski”. Mówił pięknie i tylko nie zgadzam się z myślą, która zebrała wielkie oklaski, że oto „Żyd, który staje się komunistą, przestaje być Żydem”. Potem było powitanie polskiego patrioty, który do dziś siedzi na Syberii. Wszyscy wstali i mieli łzy w oczach. Wkrótce okazało się, że Polak został tam z własnej woli, a nie z musu, co nieco ochłodziło emocje, chociaż trudno nie przyznać, że to również godne najwyższego szacunku.

W końcu był obiad — jeśli kogoś było stać na taki wydatek — a po obiedzie intelektualny plebs miał po 5 minut na przemówienia.

Bardzo się starałem, ale jakoś niemal nic nie zdołałem zapamiętać z tych mów. Z wyjątkiem wystąpienia Sławka Bieleckiego. Pozwolę sobie zacytować fragment, bo ten wybitny architekt i plastyk ma, jak wiadomo, również głowę do pióra i aforyzmu: „Dzisiejsze nasze spotkanie, czy chcemy czy nie chcemy, odbywa się dla jednych w cieniu, dla drugich w blasku okrągłego stołu. Z myślą o przyszłości, tej przyszłości, która będzie owocem jego obrad, spróbowałem sobie wyobrazić sytuację, gdy mój starszy syn zapyta: powiedz mi, tata, czym był komunizm, na czym to polegało? A ja mu powiem: było to coś tak inteligentnego i perfidnego, że ty nawet nie wiesz, że to nadal jest”. Dalej była również zrecenowana skonstruowana krytyka propagandy sukcesu uprawianej „na tej sali”. Były słowa o ryzyku legitymizacji władzy i utraty tożsamości przez opozycję. I trafna uwaga, że należy się pozbyć złudzenia, iż jesteśmy w społeczeństwie większością.

To wszystko dostało wielkie oklaski, chociaż było wymierzone niejako przeciw sali, jakby Bielecki wyciągnął ze zbiorowej duszy ukryte obawy i tym sprawił powszechną ulgę.

I pomyśleć, że Bielecki jest już tak źle widziany przez *establishment* naszej opozycji, że poszła nawet plotka, że miał nie być zaproszony na Forum. Wydaje się, że ktoś, kto dla sprawy niemal zagłodził się na śmierć w więzieniu, powinien mieć w opozycyjnym salonie hotel do końca życia. Ale nic z tego, bo tu następuje nieustanna i czujna weryfikacja. Ponarzął się inną koncepcją — nadal podziemną — ruchu wydawniczego, tekstami w *Kulturze* i rezerwą wobec stołu. Inna sprawa, że Bielecki, obok innych wybitności, ma również łatwość wybitnej arogancji wobec ludzi — jakby wszystko, co u nas obdarzone przez Pana Boga nadmiarem talentu, musiało mieć od razu jadowite żądło.

Forum miało być niejako kontynuacją Kongresu Kultury, a ten Kongres stoi w naszej pamięci marmurowym pomnikiem. Czy tylko dzięki stanowi wojennemu, co go zmarmurzył? Chyba nie tylko. Pamiętam na Kongresie Andrzeja Kijowskiego, jak szarpiać nerwowo słowa, porównywał ówczesne spotkanie do orkiestry grającej na tonącym Titaniku. Orkiestra grała jednak wtedy głośno i poważnie — teraz po latach Andrzej Kijowski nie żyje, „utonął” naprawdę, zaś orkiestra skrzypi i puszcza z instrumentów żalosne bąbelki.

Czy nie zbyt łatwo przeciwnicy okrągłego stołu, bez względu na to, czy wylewają na nas pomyje, czy milczą, czy choćby krytykują ostrożnie i z głową, zostali przez większość okrągłosto-

wiczów okrzyknięci odszczepieńcami świętej sprawy ratowania ojczyzny? Niebagatelną przyczyną tak skrajnego stawiania problemu jest osobisty niepokój. Przecież w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu gramolenia się z władzą do jednej wywrotnej szalupy wzięli udział ludzie, którzy całe swoje życie poświęcili na walkę o demokratyczną Polskę — a płacili latami więzienia, bezsennością, strzaskanym życiem osobistym. Mają teraz prestiż, poczucie dobrze spełnionego obowiązku... i oto cały ten życiowy dorobek kładą na przeciekającym dnie. „Jak się brudzić, to razem, jak tonąć — to razem, kto stoi teraz z boku, ten nędzny tchórz, bo ucieka od ryzyka, które może uratować ojczyznę” — nie wolno się dziwić takiemu rozumowaniu, bo ono — chociaż nieznosne — jest nieuchronne, gdy się już uczyniło ten pierwszy krok, który — uważam — uczynić mimo wszystko należało. Inną sprawą jest nabyta wcześniej partyjność myślenia, złe pojęcia solidarności, tak typowa dla małych grup działających pod ciśnieniem. W tej sytuacji ten, kto się wyłamuje z szeregu, zyskuje opinię idioty, a jeśli zasłuży, bo jest dostatecznie inteligentny i sprawny — awansuje na wroga.

Nie wiem, czy piszący te słowa ma szanse awansować na wroga. Próbuje być inteligentny ze wszech sił, ale Pan Bóg nie dał mi dużej głowy. Już w przedszkolu nie potrafiłem się dostosować do sytuacji, nie chciałem pić mleka i nie umiałem zasnąć po obiedzie. W szkole prawdziwa tragedia, szczególnie z chemii, ale i z polskiego nie byłem orłem, co mi zostało do dzisiaj.

Jakoś to wszystko za sobą zostawiłem, jak się zostawia cudzy wypadek. W tej sytuacji jakimś groźnym zbiegiem okoliczności wydaje się fakt, że tak wiele osób traktuje moje teksty poważnie. Na tyle poważnie, by je czasami chwalić lub — co już zupełnie niepojęte — by się na mnie gniewać. Stan wojenny wypchnął mnie zupełnie na zewnątrz, stąd tytuł felietonu. I od tego czasu już nie tylko nie mogę do siebie wrócić, ale jestem coraz bardziej na zewnątrz. Szczególnie od chwili, gdy zacząłem ze swojego pseudonimu wyciekać kropla po kropli i wydaje się, że po tamtej stronie zostały już tylko moje buty. Jak to się stało? Przecież byłem dyskretny? Cóż jednak po mojej dyskrekcji, gdy wokół tyle jawności. Oto w numerze trzecim napisałem podobno rzecz obrzydliwą o X-ie, jednym słowem skrzywdziłem okrutnie człowieka tak uczciwego i zasłużonego. Sam dotknięty biegał po korytarzach w czasie Forum Kultury i obnosił ten numer trzeci jak otwartą ranę, skarżąc się na doznaną krzywdę, wskazywał palcem na winowajcę, do którego jednak czuł zbyt wielką awersję, by wyrazić swoje oburzenie osobiście. I nawet przykro mi się zrobiło, bo a nuż rzeczywiście niesiony nędzną ambicją, powodowany kompleksem skrzywdziłem poczciwego człowieka. Na szczęście w tej konfuzji przybiegło mi z pomocą przysłowie: „uderz w stół,

a nożyce się odezwą”. Kto by pomyślał, że z tak lekkiego uderzenia, wytłumionego przecież kamuflażem, tyle hałasu.

— Już sam fakt, że pisujesz do *Kultury*, ustawia ciebie w oczach pewnej grupy fatalnie, szczególnie, że tej grupie się wydawało, że do nich należysz. A *Kultura*, powinieneś wiedzieć, już jest więcej niż źle widziana w salonie... — wyjaśnia mi P.

— Ale przecież Romaszewski też pisuje do *Kultury* — wyrwało mi się niespodziewanie, jak wołanie o ratunek.

P. śmieje się: — Człowieku, gdzie ty żyjesz?! To nie wiesz, że Romaszewscy mają przechlapane?

Nie wiedziałem. Najwyższy czas zebrać jakieś informacje, bo to może się przydać. I jakby mało było kłopotów, pochwalił mnie niespodziewanie w *Szpilkach* Jerzy Urban, a czujny Redaktor to przedrukował. Od razu dostałem lekkiego szczękościsku. Jak się teraz z tego wytłumaczyć, najtrudniej przed samym sobą, bo jednak ta pochwała sprawiła mi przyjemność — co za wstyd. Niemniej zatrwożyła dowcipna odpowiedź Redaktora, który lekką ręką sprzedaje Charłampa za papier i paszporty *in blanco*. Pocięszam się, że to dowcip, ale niepokój dręczy, że już w Paryżu nie znajduję przytułku, a przecież w kraju robi mi się coraz ciężniej. Kościołowi tak podpadłem, że jeśli znajdę gdzieś na plebanii schronienie, to tylko w piwnicach. W opozycji mam coraz głębsze tyły, nawet Wałęsę ośmieliłem się pociągnąć za wąsa. Paskudnie napisałem o Bujaku i Janasie (tu nawet miałem szczerą ochotę się pokajać, ale nie było okazji), premiera Rakowskiego i generałów nieustannie szarpie, jakby było za co. I oto goniony przez dawnych przyjaciół i starych nieprzyjaciół, nie mam się już gdzie schronić, zadyszany wbiegam do willi Jerzego Urbana. Ten bierze mnie na rękę, delikatnie jak niemowlę... uchyla poły garniturę, wyłuskuje wielką owłosioną pierś, kołysze i szepce: pij, mały...

Czy zasłużyłem na sny aż tak koszarne?

Gdy wzajemne pretensje zrywają się z uwięzi, wieloletni frontowi przyjaciele zmieniają się we wrogów, gdy zamiast kurzu bitewnego wznosi się kurz zawiści, widać jednak wszędzie ludzi, którzy przez lata działalności opozycyjnej zachowali czystość intencji, nic w nich nie pękło, nie obłuzowało się, woda sodowa nie gulgoce w głowach.

Helena Łuczywo, niepozorna, z nerwami na wierzchu, a tak roztargniona, że nieustannie zadziwia, że sama siebie raz na zawsze nie zgubiła. I pomyśleć, że to ona właśnie zbudowała pismo *Robotnik*, potem Agencję Solidarności, w końcu *Tygodnik Mazowski*, a teraz na ruchomych piaskach próbuje wznieść gmach dziennika opozycyjnego.

Henryk Wujec, chłop z dziada pradziada, od tylu lat z takim samym pogodnym napięciem krząta się po opozycyjnym gospodarstwie. Nie potrafię nie poczuć się optymistą, ilekroć zobaczę jego gospodarskie zafrasowanie. Czy w końcu Władek Frasyniuk, tak twardy i odważny, a zarazem mądry i pozbawiony cienia fanatyzmu... No, czas kończyć, bo słodko mi się zrobiło w gębie. O ileż łatwiej krytykować i wyśmiewać. Nie wypada się pocieszać, że nawet Dostojewskiemu słabiej wychodziły postacie dobrych ludzi. A wystarczyć powinno jedno zdanie — w czasach chorej polityki bronią się ci, u których ambicja nie ma gdzie zaczepić swego drapieżnego korzenia.

Cały szereg groźnych pytań, które przyprowadzają o ból głowy. Czy droga do demokracji będzie usiana zwłokami opozycji? Czy sprzedawanie cnoty jest nieuchronne i musi boleć? A co z siłą moralną, która była tak potężną bronią „Solidarności”, czy już uległa erozji?

Pamiętam w sierpniu '80 roku ludzi w pociągu, ludzi na chodnikach, ludzi w fabrykach — mówili: możemy żyć w biedzie, możemy być głodni, żeby tylko nie było już tego kłamstwa. Dzisiaj ci sami ludzie mówią: nic nas nie obchodzi prawda i kłamstwo, chcemy mieć, mieć, mieć...

Mijam sklep, gdzie polonijna firma sprzedaje adidasy. Już wieczorem ustawia się tam kolejka, która stać będzie całą noc. Posiadacze samochodów czekają w pojazdach i odstępują za odpowiednią opłatą miejsca siedzące.

Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie zmienia się w pęczniący balon sporów, są już pierwsze dymisje i tylko właściwa takim ciałom elastyczność powoduje, że całość nie pękła. Wybory w tak krótkim terminie, a więc wybory, które nie dają szansy na wyłonienie kandydatów w sposób demokratyczny, okazały się puszką Pandory o wiele pojemniejszą niż to się mogło wydawać największym pesymistom. Przecież dopiero kwiecień dobiega kresu, a już demony pretensji, zawiści, obgadywania wczepiają nam się w karki.

Trzeba jednak przyznać, że każdy nowy dzień przynosi pewne — minimalne na razie — ożywienie społeczne, co jest korzystne, bo póki co głównym problemem było, jak wyprowadzić chorego ze śpiączki. Jeszcze wczoraj wydawało się, że — szczególnie na prowincji — na kandydatów na senatorów trzeba będzie polować. Widziałem oczyma wyobraźni chłopów, którzy kryją się po lesie, bo przyjechały miastowe na łapankę. Obecnie raczej właśnie w miastach jest kłopot, by namówić ludzi z nazwiskami, by reprezentowali opozycję. Nadal bowiem dosyć powszechnie uwa-

ża się, że kandydowanie jest czymś w rodzaju publicznego przyznania się do wstydlivej choroby.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zostaliśmy nagle wepchnięci do paskudnego worka. Ma on tylko wtedy przyszłość, gdy zostanie rozerwany, a to uczynić może jedynie lud przy pomocy swoich łokci. Tylko czy lud zechce wejść do worka i użyć łokci do celów politycznych? Na razie są one zajęte walką o miejsce w kolejkach.

W czasie „Solidarności” i stanu wojennego zdawało się nam, że wiemy niemal wszystko o naszym społeczeństwie. Obecnie społeczeństwo jest sfinksem, któremu czas nie tylko urwał nos, ale zabrał również poczucie smaku.

Wałęsa w kilku wywiadach zarzekał się, że wycofuje się, rezygnuje nawet z funkcji przewodniczącego, chce odpocząć. Nie wierzę, że to uczyni, ale znamienne, że tak go kusi, aby wycofać się do Sulejówka.

Jeśli już snujemy przedwojenne analogie, to wizja zamachu majowego bez Piłsudskiego wydaje się dość ponura, zaś Brześć i potem więzienie, z którego Michnik nie będzie już musiał przemycać swoich listów do Kiszczaka, gdyż siedzą w jednej celi — to obraz, który bez trudu mieści się w wyobraźni.

Snujemy teraz w kraju najrozmaitsze warianty wydarzeń, ale mało kto rysuje obraz, który zdaje się najbardziej logicznie wynikać z dzisiejszej sytuacji. Jest to po prostu zbyt ponure, by uznać to za możliwe. Oto wybory i „Solidarność” bynajmniej nie budzą społeczeństwa z apatii. Sytuacja ekonomiczna pogarsza się zgodnie z obecną tendencją. Szalejąca inflacja staje się nowym totalitaryzmem, zjada jednak żarłocznie resztki naszego dobytku materialnego i duchowego. Prezydent Jaruzelski staje się obiektem powszechnej niechęci na równi z Przewodniczącym Wałęsą. Jedyną strukturą posiadającą nadal siłę jest milicja i wojsko, a poziom frustracji w tych instytucjach sięga wyżej ust najwyższego nawet wzrostem oficera... Wojskowa Rada Cudownego Ocalenia Narodu zostaje zaprzysiężona w kościele na Solcu. I tak Polska stanie się jednym z krajów Ameryki Łacińskiej lat sześćdziesiątych. Niewesoło, ale przynajmniej daje to jakieś szanse naszym prawnikom.

Pesymizm mojego dziennika zaczyna mnie coraz bardziej drażnić. Nie znoszę pesymistów. Mają co prawda niemal zawsze rację, ale stanowczo zbyt łatwo im to przychodzi.

Na przykład "Gdańsk"

Kiedy zakładali swój interes, byli szczeniakami tuż po studiach. Teraz mają około trzydziestki. To niezwykle w polskiej rzeczywistości, aby ludzie tak młodzi tworzyli zamasztye przedsiębiorstwa. Choć dołączyli do grona „prywaciarzy” — ludzi raz wielbionych za stan konta, raz pogardzanych za dobrokiewiczostwo czy lizusostwo wobec najmarniejszego nawet państwowego urzędnicy — zwykłymi „prywaciarzami” nie są. Nie pasują również do lansowanego przez władze nowego wzorca „socjalistycznego młodego człowieka”, który winien — jak dawniej — wszystko popierać, chwalić i akceptować, a przy okazji być rzutkim i przedsiębiorczym, żeby dobrze zadbać o siebie i swój biznes.

Mówią, że chcą „połączyć sprawność ekonomiczną ze sprawnością organizacyjną”. Dla ludzi zorientowanych wyłącznie na zdobycie pieniędzy, to najzwyczajniejsza tautologia; dobra organizacja — to dobre gospodarowanie, a dobre gospodarowanie — to dobry zarobek. Dla nich jednak te sprawy bywają rozbieżne. „Zmieniała się firma i zmieniali się ludzie — napisali w jednym z numerów informatora Rady Nadzorczej swojego przedsiębiorstwa — ale wciąż aktualne są, taką mamy nadzieję, wartości i przykazania, na których budowaliśmy swoją wspólnotę: solidarność, koleżeństwo, wrażliwość na społeczne zło, aktywne zaangażowanie w sprawy najważniejsze dla Polaków, odpowiedzialność za siebie, firmę, Gdańsk i, chociaż zabrzmi to patetycznie, Ojczyznę”. Ludzie ze Spółdzielni Pracy Usług Wysokościowych „Gdańsk” inaczej nie potrafią.

Zaczynali w 1983 roku, w jedenastkę (sześciu z grupy założycielskiej do tej pory pracuje w spółdzielni, między innymi jej prezes, Maciej Płażyński). Ruszyli na fali wielu podobnych inicjatyw, które później — ze względu na specyfikę zjawiska — nazwano „nową przedsiębiorczością Gdańska”. Pokończyli studia, lecz w typowym, państwowym układzie albo nie chcieli, albo nie mogli się zaciepić.

Poprzeczkę zawiesili wysoko. Chodziło nie tylko o indywidualną samodzielność finansową każdego z nich, ale także o wsparcie represjonowanych kolegów, o pomoc społecznym inicjatywom. Wolno było tworzyć spółdzielnie, więc w tym kierunku poszli. Ta jedyna w owym czasie możliwość niezależnego i zarazem legalnego działania okazała się nader szczęśliwym wyborem. No i pomoc docenta Uniwersytetu Gdańskiego, Jana Majewskiego, ekonomisty, autentycznego wychowawcy i przyjaciela młodzieży, w czasach solidarnościowego antraktu szefa grupy ekspertów samorządów pracowniczych, bez którego — być może — nie by nie wyszło. Wspólnie wymyślili, że zajmą się pracami wysokościo-

wymi, antykorozyjnymi, malarskimi, bo przecież cały polski przemysł nadaje się właściwie tylko do remontu, więc roboty nie zabraknie.

Czas na garść statystyki. W 1983 roku spółdzielnia zatrudniała 10 osób. Pięć lat temu przerób wynosił 2 miliony 700 tysięcy złotych, a zysk 360 tysięcy. Wówczas zarabiali średnio po 15 tysięcy miesięcznie. Żadne pieniądze, raczej praca za półdarmo i dobre chęci, żeby zrobić coś więcej.

A dziś? W 1988 roku na stałych etatach w spółdzielni pracuje 220 osób, a w sezonie, czyli wtedy, kiedy bez większego ryzyka zamarnięcia można wdrapać się na wysoki komin — drugie tyle. Warto pamiętać, że „Gdańsk” robi na własny rachunek, więc etaty administracyjne — prawdziwa zhora peerelowskiej gospodarki — ograniczone są do niezbędnego minimum. Przerobiono 800 milionów złotych, z czego zysk firmy wynosił 120 milionów. Zarobki skoczyły średnio do 90 tysięcy; o 20 tysięcy więcej, niż w tym samym okresie wynosiła średnia krajowa. Postęp jest ewidentny. Prócz tego spółdzielnia ma dwie filie, w Krakowie i w Rzeszowie, dwa samodzielne zakłady, przystąpiła lub założyła pięć różnych spółek. To już nie tylko ekonomiczny sukces. Każdy, kto choć pobieżnie orientuje się w rzeczywistości realnego socjalizmu wie, że utrzymać się przez 5 lat, a przy okazji zwielokrotnić działalność, to dla niezależnej inicjatywy niemal cud.

Do spółdzielni „Gdańsk” przyszli niejako z marszu, ze zdelegalizowanej „Solidarności” i — przede wszystkim — z Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W Gdańsku identyfikowanie ludzi na tej podstawie byłoby sporym uproszczeniem. Byli zwolennikami sięgającego w lata siedemdziesiąte „Ruchu Młodej Polski”, niezależnej organizacji neoendeckiej, lub wykluczającego się właśnie w stanie wojennym prądu liberalnego. Jeżeli ktoś chce przykleić spółdzielni „gębę”, wówczas powie, że po dziś dzień te dwie „frakcje” ścierają się ze sobą na walnych zgromadzeniach członków. Że z tego nic złego ani dla firmy, ani dla skupionego wokół niej środowiska nie wynika, to już odrębna sprawa. Generalnie więc była to młodzież, pragnąca choćby na polu ekonomicznym wywalczyć swoją niezależność.

Lecz gospodarka to od początku było zbyt mało. Spółdzielnia nie miała być nigdy tylko miejscem pracy. Dlatego przez pierwsze lata kwestia przydatności zawodowej nie była rzeczą podstawową przy oferowaniu zatrudnienia. Do „Gdańska” przychodzili znajomi ze środowisk niezależnych, ludzie wyrzuceni z pracy, wypuszczeni z internowania, zwolnieni z więzień. Nikt nie zwracał uwagi na to, że ten czy ów nie umie malować kominów. Nikt nie zastanawiał się, że takie czy inne nazwisko może firmie zaszkodzić. Człowiek potrzebował pomocy, więc ją dostawał. A wśród pracowników znajdowały się osoby, których władza nie mogła darzyć szczególną sympatią.

Na przykład dzisiejszy szef Rady Nadzorczej, Mirek Rybicki, przed Sierpniem szef wydawnictwa „Ruchu Młodej Polski”. W sta-

nie wojennym RMP — tak głosiło opublikowane oświadczenie — zawiesił samodzielną działalność, stawiając się w dyspozycji podziemnej „Solidarności”. Mirek przez rok ukrywał się. Robił wtedy — jak sam mówi — to samo, co wcześniej. Gdy wyszedł z ukrycia, państwowe firmy były przed nim zamknięte. Trafił do „Gdańska”.

Jurek Borowczak, protoplasta filmowego Birkuta, prawdziwy „człowiek z żelaza”, który rozpoczął najstraszniejszy, najważniejszy w Stoczni Gdańskiej strajk.

Antoni Grabarczyk, szef „Solidarności” Portu Gdańskiego, jeden z członków podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej Związku, więziony.

Mariusz Wilk, współorganizator i szef strajkowej gazety Stoczni w 1980 roku, redaktor naczelny regionalnego tygodnika „Solidarności”, współautor „Konspiracy”, książki o podziemnej „Solidarności”, organizator strajkowych gazetek w maju i w sierpniu 1988 roku.

Lech Kosiak, o którym się mówi, że w sierpniu 1988 roku „zrobił” strajk w Gdańskiej Stoczni Remontowej.

I wielu, wielu innych. Z pokrzywionymi niezależnym działaniem biografiami, niepokornych, samorządnych, samomyślących, liberałów z czasopisma *Przegląd Polityczny*, neoendeków z RMP, związkowców z „Solidarności”, studentów z NZS-u, pacyfistów z ruchu „Wolność i Pokój”.

Od początku nikt nie żąda. Pracownik spółdzielni dostaje stempel w dowodzie poświadczający zatrudnienie — rzecz nie do przecenienia, zwłaszcza w świetle obowiązującego podówczas prawa o pasożytnictwie — kartki na mięso, ubezpieczenie. Za to płaci się tylko za wykonaną robotę: kto chce zarabiać, prośbę bardzo, ale tym, którzy dopiero muszą przycząć się do włączenia na kominy, zbytnio nie patrzy się na ręce, na jakość oddawanej pracy. Taka zasada jest chyba bardzo słuszną. No, chyba żeby ktoś, gdzieś... Lecz to także praca, a firmę z biegiem czasu stać na swego rodzaju stypendia.

To bardzo dziwne, że pracownicy „Gdańska” właściwie we wszystkim, co istotne w działaniu, zgadzają się między sobą. Dziwne, bo co mogą mieć ze sobą wspólnego liberał i neoendek? Szczególnie wtedy, kiedy ich miasto jest miejscem, w którym kłótnia o metody działania i poglądy przybrała kliniczną postać; spór kompetencyjny między Międzyzakładowym Komitetem Organizacyjnym „Solidarności”, czyli świeżą kadrą, chłopakami, którzy zainicjowali strajki w 1988 roku, a Regionalną Komisją Koordynacyjną związku, więc przywódcami jakby „historycznymi”, z mandatem starych wyborów. Dodajmy do tego awanturę na linii Wałęsa — Gwiazda, a otrzymamy obraz, w którym spółdzielnia jest chlubnym wyjątkiem. Bezplodne spory jakoś ominęły „Gdańsk”. Spółdzielcy mówią, że jest to wynik stosunków panujących w Trójmieście jeszcze przed Sierpniem. Gdy różnym nurtem opozycji brakowało wspólnego języka, wtedy pracowali osobno, nigdy natomiast wbrew sobie. Zaś na sojuszach, kiedy — jak

latem 1980 roku — gra szła o rzeczy wielkie, można było zbudować autentyczną przyjaźń i sympatię.

A przecież mogliby kłócić się nie tylko o politykę, ale i o pieniądze. W końcu „Gdańsk” jest jednostką gospodarczą, ma zarabiać, a nie tracić forszę na filantropijne, społecznikowskie akcje. Lecz spółdzielnia chce zaistnieć na zewnątrz — kodeks postępowania przyjęty przez założycieli, gdzie solidarność to słowo, które określa i nazwę związku, ale także drobniejsze układy między ludźmi, zobowiązuje. Więc „Gdańsk” objął nieformalną opieką dom dziecka, fundując jego wychowankom 5 książeczek mieszkaniowych, wspiera Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, dotuje Gdańskie Towarzystwo Naukowe, uczestniczy w fundacji „Dać szansę”, zajmującej się upośledzonymi dziećmi. Z kiesy firmy skorzystały schroniska dla bezdomnych im. brata Alberta Chmielowskiego, parę groszy dostało gdańskie hospicjum. Gdy do Polski po wielu latach starań sprowadzono prochy majora Jana Piwnika, „Ponurego”, w gronie sponsorów uroczystości pogrzebowych znaleźli się także ludzie z „Gdańska”. Przykładów starczy.

Wiele w „Gdańsku” rzeczy ładnych, sympatycznych, po prostu fajnych, pomyślanych z głową; można je wymieniać niemal bez końca. Opis aktywności spółdzielni brzmi wtedy jednak jak nadejdy panegiryk. Czy wszystko, co łączy się z tym pomysłem, wygląda tak różowo? Nie, lecz przyczyny takiego stanu rzeczy leżą poza spółdzielnią, są jakby ogólniejszej, systemowej natury.

Docent Majewski mówi, że to bardzo przykry widok, kiedy wysokiej klasy humanista nie pracuje w swoim zawodzie, tylko remontuje kominy. Dotyczy to zresztą nie tylko humanistów, ale również matematyków, fizyków, inżynierów, którzy swoją wiedzę i umiejętności w normalniejszych warunkach spożytkowaliby z pewnością inaczej. Lecz problem polega na tym, że realia polskiej gospodarki z wielkim trudem zahaczają o normalność, co oznacza także, iż w państwowych firmach ich wiedza także by przepadła. Lecz zaraz zastrzega się, że woli, żeby „przepadli” w „Gdańsku”, niż żeby ci młodzi, dynamiczni i wykształceni ludzie wyjechali na emigrację.

A spółdzielcy czują się po prostu u siebie. Firma własna, więc duże pole do popisu, choćby w sensie organizacyjnym. I to właśnie może w jakimś zakresie rekompensować straty wynikłe z odejścia od zawodu. Pieniądże względnie przyzwoite, a i robotę można sobie tak ustawić, żeby pracować przez miesiąc, a przez następne pół roku żyć z jednej wypłaty. Nie ma więc kłopotów z czasem na rozwijanie swoich umiejętności zawodowych czy na zaangażowanie społeczne. Właściwie jest OK. Trzeba tylko pamiętać, że forsa psuje.

I tutaj jawi się kolejny problem. Każda rozmowa o finansach, a więc w konsekwencji o uzyskiwaniu kontraktów, to w polskim prywatnym biznesie temat niesłychanie grząski. Jakaś instytucja pragnie wyremontować dach hali produkcyjnej. Do przetargu staje kilkadziesiąt firm. Tylko jedna dostaje zlecenie. Niby

wszystko normalnie, ale jednak... Liczy się bowiem sposób, jak przetarg wygrać.

Jedni więc oferują, rzecz jasna cichaczem, wysokie łapówki dla kierownika zakładu. Inni reklamują się znów, że zrobią wszystko za mniejsze pieniądze, bo i tak się opłaci. A jeszcze inni szukają zamówień poprzez układy w lokalnej nomenklaturze.

Chłopcy z „Gdańska” uważają, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy koniczkiem dla kierownika zlecającego robotę, a wywieraniem dywanów w budynku Komitetu Wojewódzkiego. Na tyle dobrze — twierdzą — poznali zasady rządzące polską gospodarką, żeby rozumieć, iż przykładanie do nich kryteriów moralnych — przepukstwo to zło, uczciwość w interesach to dobro — stało się eleganckim, lecz zbyt luksusowym anachronizmem, do którego trzeba będzie powrócić, jeżeli polska ekonomia wyleczy się z kolektywistycznych infekcji. Łapówkę można zaakceptować, lecz wyszukiwanie doświadczeń czy materiałów dzięki znajomościom w politycznej wierchuszce Trójmiasta, to gruba przesada, bo — oprócz niesmaku — grozi to utratą samodzielności.

Naprawdę nie lubią, żeby ktoś z zewnątrz wtrącał się w ich sprawę. Od początku istnienia nie kryli swoich poglądów, wielu z nich aktywnie uczestniczyło w ostatnich strajkach robotników gdańskich stoczni, a tron Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego to też ludzie ze środowiska spółdzielni. Muszą wiedzieć, że władza dobrze przygląda się ich firmie (swoją drogą to może bardzo wygodne, żeby mieć tak zadziorny element skupiony w jednym miejscu). Jednak groźby, że „Gdańsk” może zakończyć działalność z przyczyn bardziej zbliżonych do polityki niż ekonomii niewiele ich obchodzi.

Jaka przyszłość czeka spółdzielnię? Prezes, Maciek Płażyński, chciałby, żeby firma w dalszym ciągu doskonaliła sprawność organizacyjną i ekonomiczną. Docent Majewski mówi natomiast, że potencjał, przede wszystkim ten ludzki, zgromadzony w ruchu „nowej gdańskiej przedsiębiorczości”, nakazuje jej twórcom rozsadzić istniejące bariery blokujące inicjatywę, a jeżeli nie im, to z całą pewnością ich następcom. Jednak przypomina, że cały czas należy pamiętać o skali zjawiska; mimo iż liczebność sektora prywatnego wzrosła w Gdańsku w ciągu ostatnich lat dwukrotnie, to stanowi on w dalszym ciągu wazniutki margines ogólnej działalności gospodarczej. Nowe spółki czy spółdzielnie są firmami o kapitale wyjściowym rzędu kilkudziesięciu, kilkuset tysięcy złotych. Ludzie boją się kredytów bankowych, gdyż w obecnych warunkach oznaczają one utratę niezależności na rzecz państwowej *de facto* kontroli. A z takimi pieniędzmi nie sposób zacząć jakiegokolwiek działalności produkcyjnej, wystawić nawet niewielkiej, lecz nowoczesnej fabryczki. Pozostają więc usługi, zaś w perspektywie może produkcja najprostszych rzeczy najprostszymi technikami. I ciągle wspomina o cenie, którą przyjdzie zapłacić założycielom spółdzielni „Gdańsk” i wielu im podobnym, a także całemu społeczeństwu za to, że ludzi z wykształceniem życie zagnało do malowania kominów. Z tego względu firmy w rodzaju „Gdańska” nie mogą być sposobem na rozwią-

zanie problemów stojących przed polską gospodarką i polską młodzieżą.

Czy jednak idea nowej przedsiębiorczości, z całą swoją otoczką społeczną, przyjmie się gdzieś poza Gdańskiem? Wiadomo, że milionów się na tym nie zrobi. Jeżeli chodzi tylko o forszę, to lepiej pracować w prywatnym zakładzie, nie mówiąc już o tym, że kilkutygodniowe saksy na Zachodzie dadzą więcej pieniędzy niż ciężka, całoroczna harówka w „Gdańsku”. Ale do spółdzielni zgłaszają się powoli grupy młodzieży z innych miast, z prośbą o radę, jak prowadzić firmę, w której można pogodzić działalność ekonomiczną ze społeczną. I, jak na razie, dają sobie radę.

Jeżeli więc uda się rozkręcić prywatny interes, a przy okazji uniknąć przemożnej chęci zarabiania coraz więcej i więcej, jeżeli w firmie znajdują się ludzie, którzy zawsze będą gotowi zamknąć interes na patyk i poświęcić się społecznej aktywności, choćby przez czynne wspieranie strajku, za co — być może — ubędzie im pieniędzy, lecz przybędzie satysfakcji i autorytetu wśród kolegów, to pomysł jest. Chyba nie najgorszy.

Tomasz JERZ

Płace, inflacja, plan Marshalla

Jakieś dwa lata temu ukazał się w *Życiu Gospodarczym* artykuł ekonomisty Wiesława Kręcika, w którym dowodził on, że udział płac w kosztach produkcji, wynoszący w Polsce około 10% jest niezmiernie niski, znacznie niższy niż w krajach zachodnich. Ta wiadomość zrobiła od tego czasu prawdziwą karierę. W wywiadzie zamieszczonym w majowej *Kulturze* powtarza ją również Zbigniew Romaszewski, pisząc co następuje: „mówiąc o inflacji, mówimy ciągle o płacach. A płace w Polsce stanowią 7% do 10% kosztów produkcji (na zachodzie Europy 25% do 35%). To jest chora gospodarka”.

Niski udział płac w kosztach produkcji zrobił karierę dlatego, że pozwala twierdzić, iż wzrost płac nie jest przyczyną inflacji w Polsce. Niektórzy wyciągają z tego wniosek, że w każdym razie nie należy go hamować. Można iść nawet dalej i powiedzieć, że płace powinny rosnąć szybciej, aby ich udział w kosztach wytwarzania podciągnąć do poziomu krajów zachodnich. Z dokładnością tych samych powodów od pewnego czasu karierę robi teza, że głównym winowajcą inflacji jest deficyt budżetu państwowego. Zamiast więc ograniczać wzrost płac, trzeba zlikwidować deficyt w budżecie państwowym, najlepiej ograniczając wydatki wojskowe, policyjne i administracyjne.

Na zapleczu tych dwu karier tkwi ciągle niewygasła nadzieja,

że być może przyczyna gospodarczego rozprzężenia w Polsce leży w sferze, z którą nie wiążą się ekonomiczne interesy ludności. Oznaczałoby to, że można kryzys zwalczyć, nie narażając tych interesów na szwank. Ta zupełnie skądinąd zrozumiała nadzieja nie pozwala przyjąć do wiadomości faktu, że dla polskich problemów gospodarczych nie ma łatwych rozwiązań. W rezultacie zamiast poszukiwania lekarstw trwa poszukiwanie zakłęb.

Liczy podane przez Romaszewskiego są być może nieco, o jakieś dwa-trzy procent, zaniżone, ale nie chodzi o aptekarskie spory. Problem polega na tym, że stwierdzenie, iż udział płac w kosztach produkcji jest niski albo za niski może mieć sens tylko wtedy, kiedy pozostajemy na gruncie problematyki kosztów produkcji. Mówiąc, że udział płac w kosztach jest za niski, mówimy tylko tyle, że praca w porównaniu do innych czynników produkcji (na przykład maszyn) jest wyceniona za nisko w danych warunkach ekonomicznych. „W danych warunkach” oznacza sytuację, gdy na rynku pracy brakuje ludzi. Wówczas za niskie wycenienie pracy powoduje, że popyt na ręce do pracy przekracza podaż i dla niektórych zakładów brakuje pracowników. Żadnego innego wniosku ze stwierdzenia, że udział płacy w kosztach i produkcji jest niski czy zbyt niski wyciągnąć nie można. W tym również nie można wyciągnąć wniosku, że skoro udział płac w kosztach produkcji jest niski, to nie zwiększają one inflacji.

Żeby odpowiedzieć na pytanie, czy wzrost płac wywoła czy nie wywoła wzrostu cen, potrzebny jest zupełnie inny układ odniesienia. Opuścić musimy mianowicie sferę kosztów i produkcji, a przenieść się na rynek, do sfery wymiany, i skonfrontować płace z podażą towarów i usług. Kiedy wzrost płac nie wywoła wzrostu cen? Wtedy, gdy zostanie sfinansowany kosztem zmniejszenia innych dochodów, tak że łączne dochody, a zatem i łączny popyt, nie ulegną zmianie. Wtedy, gdy cały przyrost płac zostanie zaoszczędzony, wreszcie wtedy, kiedy proporcjonalnie do tego przyrostu zwiększona zostanie podaż towarów o właściwym asortymencie. W przeciwnych przypadkach (dla uproszczenia pomijam sytuacje, gdy wymienione czynniki działają jednocześnie i w różnych kierunkach) wzrost płac wywoła nacisk na wzrost cen. Jeżeli w kraju istnieją ceny kontrolowane przez państwo, czyli nieelastyczne, to ten nacisk nie musi wyrazić się w postaci wzrostu cen, lecz w postaci większego braku towarów na półkach sklepowych i dłuższych kolejek. Ale jeżeli ceny pójdą w górę, to ich wzrost nie musi być jeszcze inflacją, choć może być jej zapalnikiem lub starterem — jak kto woli. Nie każdy wzrost cen oznacza inflację i nie każdy do niej prowadzi. Dopiero jeżeli ten początkowy wzrost cen wywoła na zasadzie sprzężenia zwrotnego naciski na wzrost płac i dochodów, którym się ulegnie, dopiero wtedy zostanie uruchomiony proces inflacyjny. Wszystko to może się dziać przy wysokim i niskim, przy rosnącym i spadającym udziale płac w kosztach, który nie ma tutaj nic do rzeczy, bo dotyczy zjawisk odbywających się w innym układzie odniesienia.

Dlaczego jednak udział płac w kosztach jest u nas tak niski? Przede wszystkim dlatego, że ceny artykułów i usług sprzedawanych ludziom są dotowane i te dotacje wynosiły w roku 1987 — 1.700 mld złotych, co stanowiło jedną trzecią bieżących wydatków budżetu państwa. Ponieważ ceny konsumpcyjne są dotowane, czyli zaniżone, to i wynagrodzenia muszą być zaniżone, bo w przeciwnym razie kolejki byłyby jeszcze dłuższe, a półki sklepowe jeszcze bardziej puste. Krótko mówiąc, niski udział płac w kosztach to jest echo braku „cen prawdziwych”, ekonomicznie uzasadnionych. Można powiedzieć też inaczej, że niski udział płac w kosztach z jednej strony i ogromne dotacje z drugiej strony to są dwa garby, dwie gigantyczne patologie, będące ceną za ograniczenie rynku w obrocie konsumpcyjnym. Romaszewski ma rację, że gospodarka z takimi patologiami jest gospodarką chorą. Jest tylko jeden niedestrukcyjny ekonomicznie sposób szybkiego podniesienia udziału płac w kosztach. Polega on na tym, że likwiduje się dotacje do artykułów nabywanych przez ludność (poza powiedzmy mlekiem czy chlebem). Oznacza to konieczność podniesienia ogólnego poziomu cen konsumpcyjnych na pewno o ponad 20% (to jest ciągle dość gruby szacunek), natomiast te 1.700 mld złotych dotacji (obecnie więcej, bo rachunek dotyczy warunków roku 1987) przeznaczają się na podwyżki płac. Można obliczyć, że wtedy ich udział w kosztach w całej gospodarce wzrosłoby do ponad 18%. Oczywiście z tego tytułu jedne rodziny zyskają, a inne tracą, ale żaden realny wzrost łącznej stopy życiowej nie nastąpi, bo stopa życiowa całego społeczeństwa nie zależy ani od cen, ani od płac, lecz od ilości oraz jakości oferowanych towarów i usług. Tym natomiast, co się zyska, będzie przejście od gospodarki chorej, która nie daje widoków na poprawę stopy życiowej, do gospodarki zdrowszej, które takie szanse stwarza. Każdy inny sposób niż opisany wyżej, który jest po prostu operacją „urynkowienia” obrotu konsumpcyjnego, oznaczać będzie mniejszy lub większy przyrost masy pieniężnej w obiegu. W obecnych warunkach ekonomicznych kraju doprowadzi to do jeszcze wyższego wzrostu cen, jeszcze większej spekulacji, jeszcze dłuższych kolejek, jeszcze lepszej koniunktury dla ludzi żyjących z kryzysu i jeszcze większych cierpień dla reszty.

Przy okazji kilka słów o najnowszej krajowej *Wunderwaffe* przeciwko kryzysowi, a mianowicie oszczędnościom w wydatkach budżetowych. Nie ulega wątpliwości, że deficyt budżetu jest ważnym czynnikiem wzmagającym inflację, choć nie jest to czynnik jedyny i nie on jest przyczyną inflacji w Polsce. Oczywiście jest również, że oszczędności budżetowe mogą przyhamować procesy inflacyjne. Ale trzeba zwrócić uwagę na dwie okoliczności. Po pierwsze na to, że aby zlikwidować deficyt budżetowy i osłabić presję inflacyjną, nie wystarczy z pewnością zmniejszyć wydatki budżetu na takie niepopularne cele jak wojsko, policja i administracja, lecz trzeba będzie ciąć również wydatki popularne jak służba zdrowia, ochrona socjalna, szkolnictwo, oświata i tak dalej. Z budżetu dostają pensje prawie trzy miliony ludzi (na siedem-

naście milionów zatrudnionych) i większość z nich wykonuje zajęcia niekwestionowalne społecznie. Słuchając zaś gromkich czasem deklaracji o koniecznych redukcjach wydatków państwa, ma się wrażenie, jakby budżet uważano po prostu za fundusz czerwonej *dolce vita*. Nie ma to oczywiście wiele wspólnego z rzeczywistością. Trzeba też pamiętać, że redukując etaty budżetowe również w wojsku, milicji i administracji państwowej — wszystko to jest szluzne — wprowadzamy na rynek pracy dodatkową ilość ludzi, którym w międzyczasie trzeba zapewnić środki do życia w postaci zasiłków, jakiejś odprawy i tak dalej. Nie byłoby z tym problemu, gdyby czynnikiem ograniczającym rozwój gospodarki polskiej był brak rąk do pracy. Wtedy zwolnieni wojskowi, policjanci i urzędnicy zaczęliby wytwarzać, powiększając bogactwo kraju. Niestety tym, co ogranicza rozwój gospodarki w Polsce, jest brak zaopatrzenia energetycznego, materiałowego i technicznego, wynikający między innymi z braku dewiz. Tej bariery łatwo i szybko się nie przeskoczy ze względu na ogromne zadłużenie kraju i ze względu na to, że zwiększanie eksportu na rynki zachodnie jest trudne i wymaga czasu. W tej sytuacji zwolnieni ze sfery budżetowej będą musieli pozostać tak czy inaczej na utrzymaniu społecznym. Wobec tego oszczędności budżetowe będą mniejsze o koszt tego utrzymania. Redukcja wydatków pozostaje mimo to celowa, ale w żadnym razie nie będzie cudownym lekarstwem. Sądząc po popularności, jaką się cieszy, za takie jest uważana.

Waldemar KUCZYŃSKI

Sartrouville, 14 maja 1989 r.

P.S. Jak wiadomo, krajowcom niełatwo jest radzić, ale jeśli już miałbym zaryzykować, to radziłbym zachowanie wielkiej wstrzeźliwości w ocenie skłonności Zachodu do wydawania pieniędzy z zachwyty dla *pieriestrojki*. Romaszewski wydaje się wierzyć w taką ochotę i powołuje się nawet na „plany Mitterranda stworzenia planu Marshalla dla Europy Wschodniej”. Dali-bóg nie przypominam sobie, by prezydent Francji kiedykolwiek wspominał poważnie o tego rodzaju planie i nie sądzę, by Republika borykająca się z deficytem bilansu płatniczego skłonna była do tego rodzaju operacji. Owszem, o planie Marshalla dla Europy Wschodniej mówił jakiś rok temu Carlo de Benedetti, włoski multimiliarder o lewicowych skłonnościach, i zrobiło to trochę szumu. Akurat tyle, by odwrócić nieco uwagę prasy od dotkliwej porażki, jaką poniósł w nieudanym skoku na belgijski super-holding „Société Générale de Belgique”, obejmujący jedną trzecią gospodarki tego kraju. Nie mam dowodów, że jego plan Marshalla miał być zasłoną dymną dla odwrotu z Belgii, ale się nią stał i niczym więcej. Nie wykluczam, że Zachód może sypnąć groszem w kierunku Europy Wschodniej, ale wątpię, by zrobił to tylko ze strachu, że inaczej dojdzie tam do zamętu. Większy pieniądz pójdzie na Wschód wtedy, gdy okaże się, że on tam się rozmnąza.

W. K.

Ostatni żart Witkiewicza

Lat temu dwadzieścia opublikowałem w amerykańskim kwartalniku *Comparative Drama* krótki szkic o antroponimii Witkiewicza. Podając na wstępie parę podstawowych wiadomości o pisarzu, wspominałem o jego samobójstwie „po dniu sowieckiej inwazji na Polskę”. Mijały lata następne, minęli Gomułka i Breżniew, Gierek i Andropow, wraz z okresem „Solidarności” a później Jaruzelskim i Gorbaczowem zmieniły się pewne układy, w których rezultacie mógł ukazać się w „Czytelniku” w 1987 roku zbiór moich prac krytycznych, nie zmieniły się tylko pewne *tabu*, wskutek czego wspomniany powyżej cytat w wersji warszawskiej wygląda następująco: „po dniu, w którym popełnił samobójstwo [— — —]”. Zdawało się, że nic nie przełamie oficjalnego milczenia wokół tej publicznej tajemnicy, jaką była śmierć Witkiewicza.

Ale rok 1988 przyniósł coraz bardziej otwarte dyskusje na temat 17 września 1939 roku. Wczesną wiosną *Życie Warszawy* ogłosiło też wiadomość o mającym wkrótce nastąpić sprowadzeniu szczątków Witkiewicza do kraju. Komunikat ten, podany na pierwszej stronie pisma, uzupełniało zdjęcie pisarza w wojskowym mundurze i zawadiackim kapeluszu Strzelców Podhalańskich z orlim piórem, tym samym stawiając go niejako w rzędzie bohaterów narodowych, co życie za ojczyznę miłą oddali. Wcześniej już, co prawda, sprowadzono po cichu szczątki Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, poległego z rosyjskiej ręki 17 września 1939 roku, przygotowywano też manifestacyjny pogrzeb przywiezionego z Buga majora Jana Piwnika „Ponurego”, przez wiele lat szkalowanego przez partyjnych pisarzy typu Janiny Broniewskiej czy Władysława Machejka, tym razem jednak miała to być manifestacja nie AK-owska, ale ogólnonarodowa, ba, międzynarodowe świadectwo sąsiedzkiej współpracy i zrozumienia wzajemnych problemów.

A potem, 14 kwietnia 1988 roku, gdy witkiewiczowską trumnę poprowadzono w uroczystym kondukcje przez Krupówki, a nad grobem przemówienia wygłosili różni ważni oficjele oraz przedstawiciele bratnich republik, Ukrainy i Białorusi, nie było chyba w Polsce pisma, które pisarzowi nie poświęciłoby artykułu, rozpisując się o tym, jak powrócił do podnóża ukochanych Tatr, do rodzinnych tradycji, itd., itp. *ad nauseam*. Tylko niektórzy uparci sceptycy szepotali na stronie, że to podobno nie Witkacy, tylko miejscowy kowal z polskich Jezior, bo i wzrost, i użębie, i wszystko zupełnie się nie zgadza, ale kto by ich chciał słuchać wśród narodowej i pobratymczej euforii? Nawet *Inostrannaja literatura* zamieściła pochlebłą wzmiankę o uroczystościach, powołując się na źródło zgoła miarodajne, bo krakowski *Przekrój*...

Nim minął rok, szepty przybrały na sile i „w ramach jawności” coraz śmielej w Polsce propagowanej zaczęto otwarcie już kwestionować tożsamość doczesnych szczątków, spoczywających obecnie na zakopiańskim cmentarzu, aż wreszcie sprawę tę, tak bardzo kompromitującą dla niektórych „czynników kompetentnych”, wyjaśniły dwa artykuły zamieszczone w *Tygodniku Powszechnym* (nr 5, 1989). Ponieważ sprawa Witkiewicza — a rzecz nabrała istotnie wymiarów sprawy, by nie powiedzieć afery — jest ważnym przyczynkiem do najnowszych dziejów kultury polskiej, a równocześnie wiele mówi o stosunkach w kręgach mających decydować o kulturze w PRL, wydaje się słuszne omówić ją tutaj dla tych czytelników *Kultury*, którzy mogli nie mieć dostępu do wydawanego w małym nakładzie *Tygodnika Powszechnego*.

W artykule zatytułowanym „Gdzie spoczywają prochy Witkatego” pisze Stefan Okołowicz, że uważa „za swój obowiązek podanie do publicznej wiadomości wszelkich informacji i danych” dotyczących prawdziwego miejsca wiecznego spoczynku pisarza. Okołowicz pisze dalej, że wczesną wiosną 1988 roku, na wiadomość o pertraktacjach o sprowadzenie prochów Witkiewicza, grono zainteresowanych osób skierowało na ręce ministra Kultury i Sztuki Aleksandra Krawczuka i przewodniczącego Narodowej Rady Kultury Bogdana Suchodolskiego memoriał, sugerujący najwłaściwsze metody zlokalizowania i identyfikacji grobu Witkiewicza w Jeziorach na Polesiu. Sugestie te pozostały bez odpowiedzi, a grupa delegatów polskich na ekshumację szczątków pisarza przybyła do Jezior tylko na „mityng”, odbywający się już po zakończeniu ekshumacji, przy zapieczętowanej trumnie. Przy odnalezieniu grobu i samej ekshumacji, dokonanej przez Ukraińców, asystowali tylko trzej Polacy: dwaj konsulowie i przedstawiciel firmy BONGO, zajmującej się sprowadzaniem do kraju zwłok zmarłych za granicą.

Z rozmów z obecnymi przy ekshumacji osobami Okołowicz dowiedział się, że „odbyła się ona w pośpiechu... wykopane szczątki poddano tylko ogólnemu oglądowi, a obecny tam sowiecki antropolog ograniczył się jedynie do potwierdzenia pochodzących z napisu na płycie danych o płci i wieku pochowanej osoby oraz okresu przebywania szkieletu w ziemi, nie korzystając przy tym z żadnych materiałów pomocniczych”. Dalsze informacje o znalezionych przy zwłokach przedmiotach nasuwać zaczęły zasadnicze wątpliwości, które zmieniły się w pewność, że ekshumowano nie Witkiewicza, gdy obecni obejrzelni zdjęcia czaszki posiadającej „pełne, zdrowe uzębienie”, podczas gdy ogólnie znane były kłopoty, jakie Witkiewicz miał z zębami, co doprowadziło do wstawienia mu sztucznej szczęki. „W rezultacie — pisze Okołowicz — już w Równem mogliśmy wysunąć hipotezę, że w miejsce szczątków Witkiewicza wydobyto z ziemi szkielet młodego, szczupłego, nieznanego mężczyzny”.

„Jedyną reakcją urzędników MKiS — kontynuuje autor — było nakazanie nam milczenia w związku z zaistniałymi, dokonanymi już faktami (zapieczętowana trumna, zjazd Wysokich

Przedstawiciele na 'mityng', ustalony termin i program pogrzebu w Zakopanem) oraz konfiskata fotografii z ekshumacji, udostępnionych stronie polskiej przez stronę ukraińską”.

W zamieszczonym na tej samej stronie *Tygodnika Powszechnego* „Liście otwartym do ministra Kultury, profesora Aleksandra Krawczuka”, świadek ostatnich dni życia i pogrzebu Witkiewicza w 1939 roku Włodzimierz Ziemiański opisuje stan mogiły w 1970 roku i podaje, że będąc wówczas w Jeziorach nielegalnie bał się postawić na niej krzyż, a miejsce pochówku zaznaczył jedynie kołkiem. Dodać tu warto, że jak pisze Okołowicz, gdy w kilka lat później kładziono na tym miejscu płytę, „pana Ziemiańskiego przy tym nie było... i nie wiadomo, kto ostatecznie wskazał miejsce wiecznego spoczynku polskiego pisarza”. A kiedy jeszcze później Ziemiański zaoferował się pomóc w lokalizacji mogiły, Związek Literatów Polskich pismem z 1979 roku obiecał się do niego „w tej sprawie zwrócić”. Nie trzeba dodawać, że w 1988 roku nikt o obietnicy tej nie pamiętał.

Redakcja *Tygodnika Powszechnego* opatrzyła oba artykuły notą, stwierdzającą, iż „nie sądzimy, by należało tę nieszczęsną operację powtarzać”, a materiały wydrukowane zostały „choćby po to, aby uniknąć podobnych wydarzeń i sytuacji w przyszłości”. W świetle bieżących dyskusji nad potrzebą sprowadzenia jakichkolwiek pozostałości po zwłokach Stanisława Augusta ma to ważną wymowę.

Cała prasa oficjalna skandal witkiewiczowski pokryła raz jeszcze milczeniem. Jedyną do tej pory reakcją była odpowiedź rzecznika prasowego Ministerstwa Kultury i Sztuki, mgr. Janusza Nowickiego, który w liście do redakcji *Tygodnika Powszechnego* (nr 9, 1989) niedwuznacznie winą obarcza „stronę ukraińską” i kończy ledwie maskowaną pogroźką pod adresem niedyskretnych rodaków:

„Strona ukraińska wykazała maksimum dobrej woli i jest to dla nas bardzo ważne. 'Grzebanie się' nadal w tej sprawie niczego nam już nie wyjaśni, może być natomiast źle odbierane przez naszych sąsiadów, z którymi mamy jeszcze wiele ważnych dla kultury polskiej spraw do załatwienia”.

Jak sprawa ta „odbierana będzie” przez opinię światową, która Witkiewicza zna zapewne lepiej niż Ukraina SSR, o tym rzecznik prasowy ministerstwa milczy, gdyż te sprawy, podobnie jak opinia społeczeństwa polskiego, najwidoczniej go nie interesują.

Pisząc przed dwudziestu laty o Witkiewiczu, szkic mój zakończyłem stwierdzeniem, że „nadając swym postaciom groteskowo znaczące nazwiska, wyraził on swą pogardę dla świata, którego nie mógł zaakceptować”. Dzisiaj, w wyniku tego ostatniego, ponurego żartu, jaki światu sprawił, żałować tylko można, że jakiś przyszyły Hamlet, który chciałby pochylić się nad jego czaszką i powtórzyć swe nieśmiertelne „*Poor Yorrick*”, nie będzie nawet mógł tej czaszki znaleźć.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Wywiady «Kultury»**„Drugi obieg” - plusy i minusy**

Z DAWIDEM WARSZAWSKIM ROZMAWIA
KRZYSZTOF CZABAŃSKI

KRZYSZTOF CZABAŃSKI: — Jest Pan znanym publicystą prasy „drugiego obiegu”. Pańskie spojrzenie na tę prasę i w ogóle na „drugi obieg” może być interesujące. Nim jednak przejdziemy do ocen, proponuję kilka słów informacji dla naszych Czytelników o genezie „drugiego obiegu” w Polsce.

DAWID WARSZAWSKI: — Jak pamiętamy, zaczynało się wszystko w 1977 roku od *Biuletynu Informacyjnego* i *Zapisu*, wydawanego przez właśnie powstałą Niezależną Oficynę Wydawniczą (NOW-ą). Wtedy był to także sposób tworzenia środowiska. Idea była taka, że ktoś dostaje maszynopis *Biuletynu*, siada do własnej maszyny do pisania, przepisuje otrzymany maszynopis w kilku egzemplarzach i rozdaje znajomym, którzy przepisują go znowu i rozdają, kolejni obdarowani znowu itd., itp. Idea, żeby ludzie inwestowali w to przedsięwzięcie swój czas i wysiłek była przynajmniej równie ważna, jak idea informowania.

K.C.: — *Udało się?*

D.W.: — Nadspodziewanie. Etos niczym z „Bibuły” Piłsudskiego. Sam pamiętam, jak ludzie z drżeniem rąk brali przebitkę z rozmażaną przez kiepską kalkę informacją, że w Pikutkowie Górnym kogoś skazano na areszt, zasłaniali okna, wyciszali maszyny do pisania, przepisywali — i w samym akcie czytania i pisania było tyle napięcia, tyle podniecenia, że było to równie dla nich ważne jak sam fakt bycia poinformowanym.

Zapisu, oczywiście, już nie przepisywano, był zbyt gruby. Ale ja na przykład powieliłem sobie *Zapis* w powielarni jednego z ministerstw. Jak wiadomo, w takich miejscach zawsze odchodziła „lewa robota”, a skoro się coś robi za pieniądze, to wszystko jedno, czy jest to „polityczne”, czy nie.

K.C.: — *Na tzw. państwowych dojsiach drukuje się bardzo dużo pozycji „drugiego obiegu”.*

D.W.: — Cała Polska kombinuje.

K.C.: — *Rychło jednak przepisywanie na maszynie ustąpiło miejsca nowocześniejszej technologii?*

D.W.: — Przełomem było pojawienie się zdezelowanego powielacza w 1978 roku, a zaraz potem wynalazek „ramki” i sitodruku. Do tego, po sierpniu 1980 roku, doszła armia ludzi, chcących i umiejących drukować. Od tej pory właściwie przełamano monopol poligraficzny państwa.

K.C.: — *Jak Pan ocenia rozmiary „drugiego obiegu” obecnie?*

D.W.: — Według ocen ośrodka prasoznawczego w Krakowie, w zasięgu oddziaływania prasy niezależnej znajduje się trzy i pół miliona czytelników. Uwzględniono wszystkich tych, do których od czasu do czasu cokolwiek z „drugiego obiegu” dociera. Moim zdaniem, jest to szacunek zawyżony — nie jest wykluczone, że czytelnicy różnych pism byli dla każdego z tych pism liczeni oddzielnie. Myślę, że półtora, dwa miliony to byłoby już dużo.

K.C.: — *A ile jest tytułów?*

D.W.: — Nie wiadomo. Jest to zjawisko płynne, pewne tytuły powstają, inne giną. W szczytowym okresie, wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego, szacowano ilość tytułów wychodzących regularnie na 1.300. A sądzę, że było ich więcej. Ukazywało się mnóstwo gazetek zakładowych, lokalnych, środowiskowych, o których nikt spoza danej grupy nie miał pojęcia.

K.C.: — *Ta fala opadła?*

D.W.: — Opadła dramatycznie. Ale i rozsądnie, jeżeli można tak powiedzieć. Zadziałał rynek. W wydawaniu gazety niezależnej jest kilka faz, ale najważniejsze jest przejście między fazą pierwszą i drugą. Pierwsza to jest właściwie powtórka tego, o czym mówiliśmy, przypomina przepisywanie *Biuletynu Informacyjnego* — niesamowite podniecenie, że się wydało własną gazetę. Z kolei czytelnik „w ciemno” brał nowy tytuł, bo może będzie

w nim coś ciekawego. Ale po wydaniu kilku numerów zaczyna działać rynek. Trzeba mieć coś do powiedzenia, czymś trzeba się odróżnić od konkurentów. Nie tylko dlatego, że pismo kosztuje, gdyż w pewnym okresie gazetki były bezpłatne, ale dlatego, że bez sensu jest kupowanie iluś tam pism, w których jest to samo — to znaczy, że komunizm jest be, a my jesteśmy cacy. Po napisaniu kilku takich tekstów trzeba szukać własnego oblicza.

K.C.: — *I to był główny powód gwałtownego zmniejszenia się liczby tytułów?*

D.W.: — Tak, był to powód równie ważny, co wszystkie organizacyjne czy polityczne trudności. Przy jednoczesnej stabilizacji czy może nawet wzroście globalnych nakładów. Pisma, które pozostały, wypełniły rynek.

K.C.: — *Działania policyjne nie zahamowały tego procesu?*

D.W.: — Bo nie mogły. Nie dlatego, że policja jest nieskuteczna. Ale w samej Warszawie są tysiące ludzi, którzy mogą dosłownie z niczego zmontować prymitywną drukarnię. Dopóki za nielegalny druk nie grozi kara śmierci, jest to proces nie do zahamowania. Oczywiście, policja jest w stanie zrobić nam dużo krzywdy, skonfiskować sporo sprzętu, „spalić” lokale — ale na to miejsce pojawią się zawsze nowe tytuły. Na przykład na Śląsku, gdzie prasa zanikła, gdyż nie było zainteresowania czytelników, po ostatnich strajkach już ukazują się wiele gazetek zakładowych — bo takie są potrzeby rynku.

K.C.: — *Jest więc komu robić, choć nie zawsze jest o czym pisać?*

D.W.: — Tak, to jest sprawa kluczowa i to decyduje o rynku prasowym, nie aktywność policji i ograniczenia techniczne.

K.C.: — *Ile jest obecnie gazet „drugiego obiegu” w Warszawie?*

D.W.: — Ja czytam regularnie kilkanaście tytułów, nie licząc periodyków, ukazujących się kilka razy do roku. Myślę, że drugie tyle do mnie nie dociera. Nikt nie zna dokładnej liczby, gdyż to już dawno nie jest jeden obieg. „Drugi obieg” składa się z kilku całkiem różnych obiegów. Jest np. ogromna niezależna prasa młodzieżowa, punkowo-rockowa... Wliczać to, nie wliczać? Jest tego 7-8 tytułów w samej Warszawie. Oprócz tego pisemka rozmaitych stowarzyszeń, religijne i wreszcie polityczne, o których mówimy.

K.C.: — *Ograniczyć się do nich.*

D.W.: — Są jakby trzy nurty, które częściowo się pokrywają. Jeden to są pisma związkowe, np. *Tygodnik Mazowsze*, *Wola*, *CDN*, *Wiadomości*. Drugi to są pisma polityczne, np. *Robotnik*, *Niepodległość* czy inne. Trzeci to obieg intelektualny; ktoś, kto czytuje np. *Krytykę*, wcale nie musi czytywać *Niepodległości* czy *Tygodnika Mazowsze*.

K.C.: — *Wygląda to na normalny rynek czytelnicy?*

D.W.: — Wcześniej czy później jest tak, że „drugi obieg” drukuje to, co czytelnik chce przeczytać. W dużym stopniu niezależnie od tego, co sobie ktoś tam wyobraża, że czytelnik powinien chcieć przeczytać.

K.C.: — *Czy zaobserwował Pan jakieś cechy charakterystyczne „drugiego obiegu”?*

D.W.: — Bardziej formalne niż treściowe. Wszystkie wydawnictwa, z wyjątkiem „Okienka”, przeznaczonego dla dzieci, mają bardzo zmniejszony druk ze względu na oszczędzanie papieru. Pomijając też periodyki o zacięciu intelektualnym, pisma „drugiego obiegu” mają bardzo małą objętość. Na przykład *Tygodnik Mazowsze* jest czterostronicowy, a „kioskowa” gazeta codzienna ma osiem stron i każda strona jest większa niemal od całego *Tygodnika*. No i są, żeby być czytelnymi, bardzo starannie wydrukowane. Rynek wymusza dobrą robotę.

K.C.: — *Od strony merytorycznej zaś?*

D.W.: — Jest to prasa antykomunistyczna. Inne dyktatury, inne totalitaryzmy właściwie w ogóle nie wchodzi w obszar jej zainteresowania. Z tym, że komunizm — wspólny wróg — jest opisywany w bardzo różny sposób, raz jako pewien system polityczny, raz jako wytwór pewnego narodu. Na przykład prasa KPN-owska jest antykomunistyczna, ponieważ jest antyrosyjska. Z kolei na przykład w wielu gazetkach zakładowych komunizm, to pijany majster, durny dyrektor, niesprawne maszyny. Często zresztą wiąże się to z nieuświadomioną akceptacją różnych elementów realnego socjalizmu, co trafnie zauważył Kisiel, zwracając uwagę na postawę, że „obywatelowi od państwa należy się” itd.

K.C.: — *Premier Rakowski też to kiedyś zauważył, mówiąc do delegacji „Solidarności”: „Wszyscy jesteśmy dziećmi systemu — niestety”.*

D.W.: — Jest to jego najmądrzejsze zdanie.

Ale wracając do naszego tematu. Spoiwo antykomunistyczne przestało wystarczać. Stało się to, co — nie przymierzając — z prasą pornograficzną. Tak długo jak samo pokazanie czy opisanie aktu seksualnego było czymś ekscytującym, łączyło ono prasę pornograficzną w jedną całość. Otóż antykomunizm mało kogo w Polsce podnieca w tej chwili jako taki, jako „odkrycie”, że komunizm jest brzydki i my go nie chcemy, w związku z tym wspólna płaszczyzna „drugiego obiegu” zaczyna się powoli kruszyć. Ona gdzieś tam jest, ale — jak już mówiłem — rynek nie pozwoli na to, żeby gazetki monotonna powtarzały jedną i tę samą melodię.

K.C.: — *Czy to znaczy, że „drugim obiegiem” nie ma powinności propagandowych? Że jest to prasa niezależna?*

D.W.: — To nie jest całkiem tak. Niezależność jest słowem dość dwuznacznym. Różne gazety są organami różnych instancji czy grup politycznych i nie ukrywają tego — czytelnik ma jasno na etykiecie pisma napisane: KPN, PPS, „Solidarność” itd.

Część prasy nie reprezentuje żadnej struktury czy organizacji, ale jest emanacją ruchu umysłowego, jak np. *Krytyka*, *Arka* albo *Przegląd Wiadomości Agencyjnych*, które reprezentują, po prostu, dobre dziennikarstwo.

K.C.: — *Jako całość „drugim obiegiem” jest niezależny. Jako poszczególne tytuły — niekoniecznie?*

D.W.: — Dokładnie tak. W „drugim obiegu” odnajdzie się każdy nurt polityczny czy umysłowy. Temu służy wielość tytułów. Żaden jednak konkretny tytuł nie jest całkowicie niezależny. Podkreślam to, żebyśmy nie ulegali nadmiernej mitologizacji tego modnego terminu.

K.C.: — *Co zatem, dobrego i złego, można powiedzieć o „drugim obiegu”?*

D.W.: — Przełamanie państwowego monopolu informacyjnego to zasługa podstawowa, o wielorakich konsekwencjach. Fakt, że niesłuszne ukaranie robotnika w Zduńskiej Woli może się znaleźć na łamach prasy „drugiego obiegu”, ma niezwykle wpływ wychowawczy na majstrów w tej fabryce, zwłaszcza, jeżeli później tę informację cytuje radio zagraniczne. Znane były przypadki zupełnie niezwykłych, nagłych konwersji pod wpływem „opisania w gazecie” i zacytowania przez RWE. Majstrowie przychodzili z kwiatami do domów przepraszać niesłusznie ukaranych. „Byłe by mnie po radiach nie włączyli...”

K.C.: — *Zwiększa to jednak odpowiedzialność za podawane informacje.*

D.W.: — Jak na warunki anonimowości, w których ta prasa funkcjonuje, było niesłychanie mało pomyłek czy świadomych krzywd z zemsty osobistej czy głupoty.

Najważniejsze jest, że jeżeli czytelnik chce się czegoś dowiedzieć, to się dowie. Informacja przestała być zastrzeżona dla wybranych. Ba, prasa oficjalna zaczęła swoistą rywalizację z „drugim obiegiem” — ukazują się w niej takie teksty, o których kiedyś nie można było nawet marzyć; takie, których „drugim obiegiem” (być może), przed sierpniem, nie wydrukowałyby z obawy, że to prowokacja (np. o zbrodniach stalinowskich).

Od kilku też lat komuniści drukują rewelacyjne źródła historyczne na temat swojego ruchu, nie bacząc nawet na różne kompromitujące ich fakty. Zapewne krew ich zalała, że nie dosyć, że wróg polityczny drukuje ich różne „słodkie tajemnice”, to jeszcze zarabia na tym pieniądze.

K.C.: — *Samo przełamanie monopolu jest skutkiem pozytywnym.*

D.W.: — Pod warunkiem, że nie jest to przełamanie monopolu innym monopolu. Gdyby na przykład podziemie było jednolite i przedstawiało swoją jedną prawdę do wierzenia...

Na szczęście, przełamanie miało charakter pluralistyczny i czytelnik nie tylko dowiadywał się, że komuniści kłamią, ale także i tego, że poglądy na temat prawdy są rozbieżne. Wpływu wychowawczego tego nie sposób przecenić.

Ogólnie można powiedzieć, że jest dużo rzetelnej, ciekawej informacji. Sporo niezłej publicystyki, ot jak np. teraz przy okazji dyskusji o „okrągłym stole”. *Krytyka* i *Arka* to są pisma intelektualne na poziomie europejskim.

K.C.: — *Plusów jest więc dużo, a minusów?*

D.W.: — Zasadniczo dwa. Brak reportażu. Prasa jest „sucha”, przypomina nieraz dziennik urzędowy. Na przykład każdy numer *KOS*-a zaczyna się od jakiegoś oficjalnego oświadczenia. Nikt tego nie czyta. Ale cóż, dziennikarz, który nie ma oficjalnej legitymacji prasowej, nie ma wejścia. Nie może więc napisać reportażu. I druga poważna wada — głuchota na świat. Trochę się jeszcze pisze o bloku, acz wrywkowo i nieregularnie, z jednym chwalebny wyjątkiem *Tygodnika Mazowsze*. To, co się dzieje poza blokiem, jest *terra incognita* i można o tym wypisywać naj-

bardziej bałamutne androny. Skutek tego jest zresztą taki, że wzmaga się polonocentryzm. Jednak brakuje papieru — i nie ma miejsca na wiele tematów.

Acha, i jeszcze jedno. Wielu publicystów piszących w „drugim obiegu” ma kompletnie nieuzasadnione poczucie — pisząc komentarz o sprawach bieżących — że tworzy historię. Piszą więc z namaszczeniem, podając prawdy do wierzenia, są chodzącymi „organami” („S”, partii, ugrupowań). Nie można np. napisać, że Wałęsa zachował się durnie, ponieważ jest to „osłabianie jedności”. Ba, ale jeżeli się już tak napisze, to już zaraz potem się dorzuca, że np. Kuroń jest prowokator, Michnik kolaborant — albo na odwrót — itd. — ponieważ przełamanie pewnej bariery od razu rzuca człowieka w drugą stronę, od ściany do ściany. Publicystyka *Niepodległości* z lat 1983-1984 była nie do czytania z powodu inwektyw, a szkoda, gdyż była w niej sensowna, dowcipna myśl.

Ale i „powaga” i „buńczuczność” równo źle wychowują czytelnika: w przekonaniu, że polityka dzieje się poza nim, że gdzieś siedzą i decydują jakieś sztaby, a czytelnik nie powinien na nie wpływać, ba, nie powinien wiedzieć, dlaczego robią to, co robią, ma wierzyć, że wybrały najlepszy wariant. No, nieco prawdy może się czytelnik dowiedzieć, w rok po kłęsce.

K.C.: — „*Drugi obieg*” jest bardziej propagandowy niż niezależny.

D.W.: — Drugi obieg powstał w kontekście ostrej walki politycznej. Ta walka trwa. I prasa musi być jej podporządkowana. Zatem jest ona uzależniona od wspólnego celu, jaki mają redaktorzy i czytelnicy „drugiego obiegu”. W tym rozumieniu jest to prasa propagandowa. Ale na pewno nie jest to prasa propagandowa w węższym rozumieniu: manipulacyjna czy kłamliwa. To, to nie!

K.C.: — Czyli Pana ocena jest w sumie pozytywna?

D.W.: — Bezsprzecznie. Przez pierwsze dwa lata stanu wojennego mieliśmy do czynienia z prasą propagandową, mniej lub bardziej delikatną, raczej mniej. Nasza strona ma całkowicie rację, a tamta jest pozbawiona jakichkolwiek ludzkich cech. Pamiętamy te porównania z okupacją hitlerowską, sam pisałem takie „kawalki”, po latach wstyd mi, jak to czytam... Ale to się zmieniło. Rynek, jak mówiłem, przywołał gazety do porządku.

Jeszcze coś innego zapobiega propagandyzacji „drugiego obiegu”. Otóż, gazety robią głównie amatorzy, którzy pracują na

co dzień w swoich „normalnych” zawodach. Ryzyko „oderwania się od mas” jest zatem stosunkowo niewielkie. Prasę zakładową robią w dużym stopniu sami robotnicy — i jeżeli zajmują się geopolityką, to tracą czytelnika, gdyż w *Tygodniku Mazowsze* i druk jest lepszy, i informacja pewniejsza. Ale gdy piszą o swojej fabryce, to całkiem co innego — wtedy mają wielu wiernych odbiorców. Teraz ta prasa odradza się.

K.C.: — *Ciąży jednak na niej to, że „nie należy odbierać nadziei prostemu człowiekowi”?*

D.W.: — Nie pisać o świństwach i draństwach, dziejących się po naszej stronie? Tak, to jest nader krótkowzroczne. Jestem przeciwnikiem takiej postawy. Przypominam sobie tekst Słonimskiego, w którym odpowiadając na zarzut czarnowidztwa napisał, że owszem docenia budowę COP-u czy Gdyni i może nawet w każdym tekście pisać, że „mimo, że Gdynia się rozbudowuje, to...”, w skrócie m.ż.g.s.r.t. Takie „mżgstr” przydałoby się w części naszej prasy. To znaczy „komunizm jest be, my są cacy oraz...”, żeby było wiadomo, że to jest nasze. A następnie pisać już do rzeczy.

K.C.: — *Ale „drugi obieg” to nie tylko prasa.*

D.W.: — Prasa, książka, kasety magnetofonowe, radio, video... Nie jestem już w stanie tego ogarnąć, np. z video nie mam w ogóle żadnej styczności.

I tutaj znowu, podobnie jak w prasie, ważna jest obecność, jaką zapewnia „drugi obieg” (informacji, autora, dzieła itd.). Jedną z pierwszych rzeczy wydanych przez „NOW-ą” na powielaczach były wiersze Miłosa. Tak samo zaistnieli w Polsce Herling-Grudziński i Czapski. Ileż to było wydań „Na nieludzkiej ziemi” Czapskiego? Dziesięć, piętnaście? I sprawiło to, że „Czytelnik” podpisuje teraz umowę z autorem — ponieważ jest już „po ptokach”. Nie ma już co cenzurować. Koniec, przepaść.

Niedawno Polskie Towarzystwo Socjologiczne podziękowało oficjalnie Społecznemu Komitetowi Nauki „Solidarności” za subwencjonowanie wydawania w „drugim obiegu” prac niezbędnych nauce polskiej; poczynawszy od Poppera. Była taka słynna historia, kiedy wpadł cały nakład „Nędzy historycyzmu”. W MSW są specjalne japońskie, supernowoczesne maszyny do mielenia papieru — i Popper tam trafił, rzecz jasna. PTS wystąpił wówczas o to, żeby Poppera nie mielić, ale rozdać bibliotekom, gdyż jest potrzebny.

K.C.: — *Jak to się skończyło?*

D.W.: — Przemiałem. Ale wydrukowano kolejne nakłady. Popper trafił do studentów. Mam nadzieję, że te maszyny ocaleją dla potomności i można je będzie kiedyś oglądać w jakimś muzeum.

Nie wiem, jak jest na innych uniwersytetach, ale na warszawskim jest zjawiskiem normalnym, że studenci są odsyłani do lektury z „drugiego obiegu”. Ostrożny pracownik naukowy poda wówczas źródło oryginalne i powie: podobno jest też wydanie polskie, proszę sobie poszukać.

Myszę, że zdołano wypełnić te największe, podstawowe luki w piśmiennictwie historycznym i społecznym. A o jakości „drugiego obiegu” świadczy i to, że mało było pozycji całkiem niedanych. Oczywiście, jest ten wspaniały „Umarli, zmartwychwstałi”, o ile nie przekręcą tytułu — i ta właśnie książka została zgrabnie wybrana przez *Politykę* do ośmieszania w obiegu oficjalnym. Innych pozycji ta „liberalna” redakcja nie zauważyła.

K.C.: — *Może nie stać ich było na kupno? Ceny książek przekraczają możliwości polskich inteligentów.*

D.W.: — To jest ich podstawowa wada: są za drogie dla klientów, do których adresuje je wydawca. Przeciętny inteligent lub robotnik nie może sobie pozwolić na systematyczne uzupełnianie swojej biblioteki.

K.C.: — *Wróćmy jednak do gazet jako głównego tematu naszej rozmowy.*

D.W.: — Jeszcze tylko kilka słów o kasetach magnetofonowych. Robiliśmy kasety edukacyjne i cieszyły się one dużym wzięciem w tych środowiskach, gdzie były koła samokształcenia. Teraz te koła się rozpadły, więc i kaset nie ma po co robić. I nie zapomnijmy o „galanterii”: znaczkach, drukach okazjonalnych. Galanteria jest istotna z dwóch powodów. Po pierwsze stanowi poletko doświadczalne dla poligrafii, po drugie przynosi trochę koloru i radości w ten świat szarzyzny zadrukowanych „maczkami” placht gazetowych czy książkowych.

K.C.: — *Kto i dla kogo robi „drugi obieg”?*

D.W.: — O odbiorcach można chyba powiedzieć więcej niż o nadawcach.

K.C.: — *Zacznijmy jednak od nadawców. Kto robi „drugi obieg”?*

D.W.: — Ci sami ludzie, którzy robili „Solidarność”. Obecnie

pokolenie 30-40-latków. W znakomitej większości nie są to zawodowcy, to znaczy nie są to dziennikarze, redaktorzy, drukarze. Są to jednak inteligenci, nadto — wszyscy mieszkają w miastach. Nie znam nikogo, kto mieszkałby na wsi, nawet ludzie z redakcji pism wiejskich. Wydaje mi się, że jest przewaga ilościowa kobiet w prasie „drugiego obiegu”, a na pewno jest przynajmniej równowaga płci.

K.C.: — *A kto drukuje?*

D.W.: — Prawie wyłącznie młodzi mężczyźni. Jest to praca wymagająca znacznego wysiłku fizycznego. Młodzi robotnicy, studenci.

Z kolei w kolportażu biorą udział praktycznie wszyscy, emeryci, studenci, młodzi robotnicy i ktokolwiek tam jeszcze.

K.C.: — *Czy podobnie jest z odbiorcami?*

D.W.: — Są to głównie ludzie w wieku średnim i młodzi. Drobny druk praktycznie uniemożliwia lekturę ludziom starszym. Czytelnicy „drugiego obiegu” wywodzą się, rzecz jasna, ze wszystkich środowisk, z tym, że częściej są to mieszkańcy miasta niż wsi, i częściej inteligenci niż robotnicy — choć nie wykluczam, że po ostatnich strajkach sytuacja w tej dziedzinie zmieniła się.

K.C.: — *Myszę, że należą do osób o stosunkowo łatwym dostępie do publikacji „drugiego obiegu”, a przecież wiele pism do mnie nie dociera, o wielu tytułach nie mam w ogóle pojęcia. Czyż więc nie jest tak, że pisma funkcjonują w dosyć zamkniętym układzie, nie wychodząc poza najbliższe ich twórcom środowiska?*

D.W.: — Nakłady są ograniczone, to prawda. Z tego jednak co najmniej połowa jest kolportowana w fabrykach. Nie ma mowy o robieniu gazet tylko dla własnego kółka. Niech pan także pamięta, że pokupność tej prasy jest bardzo duża, a zatem nie czeka ona na klienta, tylko klient musi uganiać się za nią. Są też ograniczenia wynikające z nielegalnego charakteru tej prasy.

K.C.: — *Jakie są nakłady?*

D.W.: — Mogę powiedzieć o KOS-ie. Mamy 10 tysięcy nakładu podstawowego, warszawskiego, do tego dochodzi kilka tysięcy z mutacji regionalnych, o których wiemy i zapewne drugie tyle, o których nie wiemy. Zatem w dobrych momentach dochodzimy do 20 tysięcy. Jest to nakład wysoki jak na „drugi obieg”.

K.C.: — *„Drugi obieg” nie poszerza swojego terytorium?*

D.W.: — Rzeczywiście brakuje ekspansywności. Kto ma do nas dostęp — ten ma. Ale nowi czytelnicy zdarzają się rzadko.

K.C.: — *Może coraz ciekawsza prasa kioskowa odbiera wam czytelników?*

D.W.: — Dopóki istnieje cenzura, to nam nie grozi. Poza tym niech pan nie zapomina, że gdyby nie „drugi obieg”, cenzura nie byłaby skłonna do takiego „liberalizmu”.

Moglibyśmy drukować trzy razy tyle *KOS-a*, a i tak nie sprostaliśmy zgłaszanym przez kolportaż zapotrzebowaniom. Niestety, brak papieru i mocy przerobowych.

K.C.: — *Kto was czyta?*

D.W.: — Ludzie aktywni w „Solidarności”, w opozycji, to pierwszy krąg. Drugi to ludzie z zewnątrz. Otóż lata 1980-1982, wraz z początkiem stanu wojennego, wciągnęły w sprawy publiczne olbrzymią grupę osób, które przedtem w ogóle się do tego nie garnęły. Ludzie ci, gdy już opadł dramatyzm wydarzeń, odsunęli się znowu na bok. I często ich jedynym kontaktem jest kupowanie i czytanie gazety podziemnej. Znam wiele takich osób. Oni nigdzie nie działają, nawet nie interesują się, czy u nich w zakładzie pracy istnieje jeszcze „Solidarność” — jedyne, co zachowują z przeszłości, to wąta nitka łącząca ich z kolportażem. Nieraz udostępniają nam mieszkania, stają się przyjaciółmi redakcji, ba, ich głos jest o wiele bardziej znaczący niż normalnie głos czytelnika, ponieważ jest głosem jedynym. Wiadomo przecież, że to, co nas szczególnie frustruje, to brak odzewu na to, co piszemy, brak kontaktu z czytelnikami.

I trzeci krąg czytelnicy, to są ludzie szukający konkretnych treści, np. zwolennicy KPN czy PPS-u czy innych ugrupowań. Albo np. badacze społeczni, historycy itd., itp.

K.C.: — *Dlaczego pisze Pan w „drugim obiegu”?*

D.W.: — To zabrzmia głupio, ale jakoś tak wyszło. Z dziennikarstwem nie miałem nigdy nic wspólnego. Na pierwszym spotkaniu komisji zakładowej „Solidarności” w pracy w stanie wojennym podzieliliśmy się robotą. Ponieważ ja nie miałem żadnego pomysłu, zaproponowałem, że będę ganiał po mieście i zbierał informacje. Potem informacje te przepisywałem na maszynie. Rozdawałem je, rozlepiałem. I tak ganiając, spotykałem innych ludzi, zbierających informacje. Więc najpierw wymienialiśmy się informacjami, a później zmontowaliśmy biuletyn. Z czasem, obok informacji, zacząłem pisać króciutkie komentarze. Któryś się spodobał w *KOS-ie*, poproszono mnie o dalsze — i tak już zostało.

K.C.: — *Czuje się Pan publicystą niezależnym?*

D.W.: — „Drugi obieg” robią publicyści niezależni. A że czasem jakiegoś tekstu koledzy nie puszcza? Owszem, irytuje mnie to, gdyż uważam zwykle, że jest to tekst bardzo ważny w danym momencie. Później nieraz zmieniam zdanie — a to, co naprawdę może mnie irytować, to lektura niektórych moich własnych tekstów, które koledzy, niestety, puścili.

Prawdziwie dotkliwy w tej publicystyce jest brak odzewu (i czytelnika, i innego publicysty). To jest ciężkie do zniesienia.

K.C.: — *A mimo to zachowuje Pan pseudonim. Dlaczego? W „drugim obiegu” coraz więcej osób pisze pod własnym nazwiskiem.*

D.W.: — Nie mam jasności w tej sprawie. Ale, po pierwsze, nie jestem zwolennikiem szczypania niedźwiedzia, a po drugie istnieję wyłącznie pod pseudonimem. Gdybym się ujawnił, to byłbym kimś nieznanym. Kto to jest Dawid Warszawski wie trochę osób, ale kto to jest Pipsztycki — nie wie nikt poza najbliższą rodziną.

A jest i trzeci powód, o którym trochę ambarasująco jest mówić, gdyż to teraz taka niemodna poetyka. Mam poczucie, że kiedyś zaczynaliśmy tę działalność — „drugi obieg” — wspólnie: drukarze, kolporterzy, autorzy, redaktorzy, wszyscy. I ten mój pseudonim należy także do tych ludzi, jest i ich pseudonimem. Dlaczego ja mam go nagle zawłaszczać tylko dla siebie? To jest przecież tylko fragment szerszego, większego przedsięwzięcia.

K.C.: — *Ale nie jest Pan przeciwnikiem ujawniania się części „drugiego obiegu”?*

D.W.: — Skądże znowu! Chęć jawnego działania jest naturalna. Nie należy tylko robić z niej ideologii. Można wydawać gazetę podziemną albo legalną, byle była dobra.

K.C.: — *A jak Pan sądzi, w którą stronę posteruje „drugi obieg”? Legalizacja? Konspiracja? Komercjalizacja?*

D.W.: — Myślę, że we wszystkie po trochu. To jest normalny rynek wydawniczy i będzie podlegał procesom naturalnym, będzie odpowiadała na zapotrzebowanie czytelnicze. Na przykład nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek porozumienia między „Solidarnością” i władzą, które nie zawierałoby punktu o legalizacji prasy związkowej. Wówczas np. *Tygodnik Mazowsze* musiałyby wyjść

na powierzchnię. Ale przecież część gazet zostałaby w podziemiu, choćby dlatego, żeby był zaczyn na czasy, „gdy się znowu odważnie”.

Myszę, że zawsze będzie co drukować pod ziemią i że społeczeństwo nie da sobie odebrać „drugiego obiegu”.

K.C.: — „*Drugi obieg*” będzie więc trwał i Pan razem z nim. Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiał Krzysztof CZABAŃSKI

Agencja „MOST” (Warszawa)

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

**W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Michaił Gorbaczow znów — po raz który już! — pokazał, że jest mistrzem intrygi politycznej. Na nadzwyczajnym plenum KC, zwołanym na 25 kwietnia, zdymisjonowano 110 członków najwyższej instancji partyjnej. Na własną prośbę! Tak masowej czystki — za jednym zamachem — nie było nawet za czasów Stalina. Naturalnie wypada odnotować pewne różnice: ofiary zachowują pewne przywileje, pozwolono im przemówić na plenum, a generalny sekretarz osobiście im podziękował.

Czystka przygotowana została fachowo. Zgodnie z obecnymi zasadami, służyć miała na użytek wewnętrzny i zagraniczny. Na użytek wewnętrzny ukazała się w lutowym numerze nowego czasopisma partyjnego *Izwestia KC KPZS* lista członków KC z małymi notkami biograficznymi. Mniej więcej co piąta zaczynała się od słów „personalny emeryt”. Tak określono osoby pozostawione w KC, ale nie piastujące już żadnych funkcji partyjnych ani państwowych. Główny ideolog Wadim Miedwiediew nazwał ich elegancko „martwymi duszami”. Takie „dusze” jak Gromyko, Tichonow i inni mogłyby jednak stanowić mocne oparcie dla przeciwników Gorbaczowa.

Na użytek zewnętrzny sięgnięto do tradycyjnego chwytu: straszenia, że Gorbaczow jest zagrożony. „W ZSSR obawiają się nowej ofensywy konserwatystów. Na Kremlu napięcie” — brzmi tytuł korespondencji z Moskwy Bernarda Guetty (*Le Monde* z 23-24 kwietnia 1989). Z jaką ulgą zaniepokojeni losem Gorbaczowa czytelnicy *Monde*'u przeczytali trzy dni później, że „Gorbaczow odniósł kolejne zwycięstwo nad obozem konserwatystów” (*Le Monde* z 27 kwietnia 1989).

Nadzwyczajne plenum jest ciekawe nie tyle z uwagi na łatwość, z jaką Gorbaczow rozprawił się z „martwymi duszami”, ile ze względu na treść przemówień, poświęconych sytuacji w ZSSR po czterech latach *pieriestrojki* i po wyborach, które generalny sekretarz nazwał „referendum na rzecz *pieriestrojki*”. Przemó-

wienia świadczą o tym, że spora część aparatu partyjnego (przede wszystkim sekretarze obwodowych komitetów partyjnych — średni szczebel sowieckiego aparatu zarządzania) doskonale zrozumieli, na czym polega sens wyborów. W odróżnieniu od zachodnich komentatorów uznali je za epizod w „walce poszczególnych osób i grupek nie tyle o ideę *pieriestrojki*, ile o kierownicze pozycje polityczne”. Tak właśnie wyraził się burmistrz Moskwy W. T. Sajkin, który przepadł w wyborach. Głos zabierali i inni skreśleni kandydaci. W latach 20-tych Stalin chętnie dopuszczał do głosu przegranych opozycjonistów. Wszystko, co tacy ludzie mówią, nawet jeśli jest stuprocentową prawdą, nosi piętno przegranej.

W przemówieniach dominowały dwa tematy. Po pierwsze katastrofa ekonomiczna, która wyraża się w zdecydowanym, dramatycznym spadku poziomu życia ludności. „W kraju powstał i co więcej pogłębia się chroniczny deficyt towarów przemysłowych i żywności, rośnie inflacja, wyraźnie odczuwamy niezadowolające rozwiązania problemu mieszkaniowego, trudności ekologiczne, wzrost przestępczości i inne negatywne zjawiska”, powiedział sekretarz leningradzkiego obwodowego komitetu partyjnego Jurij Sołowiow, zastępca członka Biura Politycznego, który przepadł w wyborach, chociaż nie miał kontrkandydata. Sołowiow jest typowym gorbaczowskim aparatczykiem. W Leningradzie wyborcy skreślili wszystkich sześciu partyjno-państwowych działaczy miasta i obwodu. Na powyborczym plenum kandydaci ci doszli do wniosku, że przegrali z trzech powodów: 1. złej pracy agitatorów, 2. własnej fałszywej skromności i 3. „desantu z Moskwy”, tj. dywersji gorąco zaprzędanej Gorbaczowowi grupy pisarzy, uczonych i dziennikarzy, świetnych mówców. Tym niemniej Sołowiow dobrze wyłożył na plenum swoje (i innych) pretensje pod adresem Gorbaczowa. Przede wszystkim fakt, że *pieriestrojka* bije w robotników. Leningradzki sekretarz powiedział, że w jednej z fabryk zapytano go wprost, „jak długo jeszcze robotnicy będą dostawać pensje w biletach tramwajowych — do tego wszystkiego skasowanych”.

Gorąca troska sekretarzy partyjnych o los proletariatu (także inni mówcy dawali jej wyraz) zasługiwałaby na szacunek, gdyby nie fakt, że jeszcze większą troskę budzi w nich sytuacja partii. To właśnie było drugim dominującym akcentem przemówień na plenum. Jurij Sołowiow z wielkim niepokojem odnotował, że KPZS zaczyna uchodzić za „partię błędów i wypaczeń”, że słyhać już wystąpienia przeciwko „awangardowej roli partii w społeczeństwie” i za „przekształceniem partii czynu w partię klubów dyskusyjnych”. Krasnodarski sekretarz Połozkow straszył, że winę za wszystkie zbrodnie Stalina przypisuje się partii, „słyhać apele o wieszanie komunistów” i „likwidację KPZS”. Połozkow ostrzegł przed upadkiem autorytetu partii. Aleksander Mielnikow (sekretarz z Kemerowa) mówił, że uderzenie w biurokrację było w gruncie rzeczy uderzeniem w partię. Porażkę partyjnych przywódców z Syberii nazwał porażką milionowej klasy robotniczej tego rejonu. Pierwszy sekretarz moskiewskiej orga-

nizacji partyjnej, W. Miesiac, skarżył się, że „uwypukla się skompromowanie aparatu partyjnego, jego rzekome uprzywilejowane położenie, nieznanomość sytuacji w terenie, niekompetencję”. Wszystko to prowadzi do utraty autorytetu kadr partyjnych i administracyjnych. Dla zwiększenia ich autorytetu moskiewski sekretarz proponuje podnieść płace działaczy partyjnych.

Najostrzej przemówił Władimir Mielnikow, pierwszy sekretarz obwodowego komitetu partyjnego w republice Komi. W czerwcu ubiegłego roku na XIX konferencji partyjnej Mielnikow wzbudził sensację apelem o czystkę na najwyższych szczeblach partii. Na prośbę Gorbaczowa wymienił cztery nazwiska — Gromyki, Sołomiencewa, Arbatowa i Afanasjewa. Pierwszych dwóch wkrótce potem posłano na emeryturę, a obecnie usunięto z KC. Teraz z kolei Mielnikow zaskoczył plenum zarzutami po adresem niesprawnych ideologów i aparatu KC, który „otwarcie ukrywa przed generalnym sekretarzem napiętą sytuację w terenie”. W ten delikatny sposób Mielnikow dał Gorbaczowowi do zrozumienia, że nie zdaje sobie sprawy z sytuacji w kraju. Zagroził, że na następnych wyborach — do terenowych organów władzy — „sekretarze miejskich i rejonowych komitetów partyjnych nie staną do wyborów, bo będą mieli stuprocentową pewność, że nie zostaną wybrani...”. Z sali rozległ się głos: „Słusznie!”. Na co padła ostra odpowiedź Gorbaczowa: „Słusznie? Czyli partia powinna uchylić się od uczestnictwa we władzy i wyborach?”. Mielnikow odparł na to: „Należy szukać, w jaki sposób doprowadzić do tego, by sekretarze miejskich i rejonowych komitetów stawali do wyborów, oczywiście z kandydaturami alternatywnymi, ale na równi z nimi, bez tych uprzedzeń, że są z aparatu partyjnego, w którym upatruje się teraz tylko negatywne cechy”.

Przyczyna spadku autorytetu partii była dla wszystkich mówców oczywista: jest nią fakt, że wszystko wolno. Korzystają z tego środki masowej informacji, dziennikarze prasy, radia i telewizji. Pierwszy sekretarz KC Azerbejdżanu Wiezirow ze zgrozą informował zebranych, że „w kraju pojawiają się gazety, których zasadą jest unikanie materiałów o charakterze sowieckim... W gruncie rzeczy chodzi im o to, by pozbawić naród obrony przed dywersją ideologiczną, zarazić naszych ludzi swojego rodzaju ideologicznym *aids*”. Akurat w przeddzień plenum światem wstrząsnęło pewne wydarzenie. 21 kwietnia br. w audycji telewizyjnej „Pogląd” padła „szokująca wiadomość”. Ludowy artysta ZSSR Mark Zacharow zaproponował, by spalić ciało Lenina i przekształcić mauzoleum w panteon. Liczni mówcy nie mogli znaleźć dość ostrych słów dla wyrażenia swojego oburzenia, po czym prezes radia i telewizji Aksjonow uderzył się w piersi, ale nie zapomniał dodać, że feralnego dnia audycji przebywał w szpitalu. „Nikt się czegoś takiego nie spodziewał” — wykrzyknął ze zgrozą. „Do czego to doszło...”, jak wyraził się towarzysz Połozkow.

Winna jest *głasność*. Wszyscy mówcy proponowali, żeby ją ograniczyć, zlikwidować, lepiej kontrolować. Sądząc po przemówieniach na plenum, w Związku Sowieckim dawno już mówi się

wszystko, nie ma żadnych sekretów ani żadnej kontroli. Sądząc po artykule znanego dziennikarza, jednego z „heroldów *pieriestrojki*”, komentatora spraw międzynarodowych, Aleksandra Bobina, rzeczy mają się zupełnie inaczej. Artykuł nosi tytuł „*Głasnost* w małych dawkach” (*Moskowskije nowosti* z 7 maja 1989). „To, co udało nam się osiągnąć — pisze Bobin — trudno nazwać jawnością w pełnym sensie tego słowa. Pół-jawność? Być może. Cwierć-jawność? Ciepłej, ciepłej... Nasza jawność jest wielce umowna i wszystko lub prawie wszystko zależy od widzimisię kierownictwa. Oficjalna cenzura zrobiła się nieśmiała, bojaźliwa, czego bynajmniej nie można powiedzieć o aparacie partyjnym i innych”.

Sprzeczność między opinią mówców na plenum a zdaniem Bobina jest pozorna. Problem „jawności” należy rozpatrywać w kategoriach walki o władzę. *Głasnost* jest starannie kontrolowana, zdarza się jednak, że ten i ów utraci kontrolę, inni z kolei kontrolują zbyt ostro, chcąc utrzymać cugle w rękach.

Głównym kontrolerem *głasnosti* jest Michaił Gorbaczow. Po raz pierwszy generalny sekretarz bezpośrednio steruje środkami masowej informacji. Ważnym instrumentem *głasnosti* są spotkania kierowników sowieckich mass-mediów, które zwołuje sam Gorbaczow. *Gensek* nie ogranicza się jednak do konferencji prasowych. Redaktor działu zagranicznego w piśmie *Nowoje wriemia* Witali Ignatienko udał się na staż do pisma *Time*, gdzie opowiadał, że ma na biurku telefon z bezpośrednią linią „na samą górę”, że Gorbaczow zna z imienia wszystkich redaktorów i „regularnie się z nimi spotyka” (*Time* z 8 maja 1989). Gorbaczow oczywiście nie kontroluje jeszcze *głasnosti* na sto procent, ale wykorzystuje nawet ataki na *głasnost*, tj. naruszenie swoich instrukcji. Zresztą jego instrukcje zawsze są dwuznaczne, z jednej strony zachęca do jawności, z drugiej ostrzega, że wykorzystują ją ekstremiści. Tak samo mówił też na kwietniowym plenum.

Przestraszeni „jawnością” sekretarze partyjni doskonale rozumieją, czego chce Gorbaczow. Mówią, że niepokoi ich los partii, ale w rzeczywistości boją się o swój własny los. Historia daje po temu niemało podstaw. Na początku 1939 roku ZSSR liczył około półtora miliona członków partii i dwa i pół miliona byłych członków partii. Stalin zlikwidował (w dosłownym tego słowa znaczeniu) starą partię i stworzył na jej miejsce nową. Do starej beczki nalał młode wino. Michaił Gorbaczow postawił sobie podobne zadanie, z tą jednak bezsporną różnicą, że czystka ma — na razie — humanitarny charakter. Jest to czystka o ludzkim obliczu. Obecnego generalnego sekretarza — podobnie jak jego poprzednika — nie niepokoją uboczne skutki czystki — chaos gospodarczy, upadek prestiżu partii. Najważniejszy jest główny cel — władza. Mao Tse-tung rzucając młodzież na „sztaby generalne”, tj. na partię, też nie myślał o skutkach rewolucji kulturalnej. Walczył o władzę.

Gorbaczow potrzebuje nowej partii, ściślej — kadr partyjnych nowego typu. Pierwszy sekretarz komunistycznej partii Kazach-

stanu, Kołbin, mówił na plenum, że „czuje się zatrważająco nie-swojo”. Poczucie to wynika — jego zdaniem — z faktu, że „nawyki roboty partyjnej” przyswoił sobie w „okresie zastoju”, a dziś „dawne metody i styl się nie nadają”.

Gorbaczow wierzy w swoje zwycięstwo. Ma ku temu podstawy. Jak wiadomo, wśród wybranych deputowanych ludowych jest 87,6 % członków partii. Znaczy to, że przypadli nieliczni przedstawiciele starego aparatu, który generalnemu sekretarzowi jest niepotrzebny, który przeznaczył na złom. Znaczy to, że istnieją komuniści, którzy wiedzą, jak przemawiać do narodu, żeby zostać wybranym. Ci przychodzą na zmianę poprzednich, którzy nie wiedzą i nie chcą się nauczyć.

Wystarczy popatrzeć i posłuchać komunistów z „gorbaczowskiego poboru”, ażeby zrozumieć że są to przywódcy nowego typu. Posłuzmy się jako modelem Borysem Jelcynem. Jego triumf w Moskwie zrobił wielkie wrażenie na świecie jako wyraz zwycięstwa narodu nad partią. Mało kto zwrócił uwagę na fakt, że mury stolicy ZSSR były oklejone plakatami wyborczymi Jelcyna. Nie muszę przypominać, że w ZSSR przydziału papieru są surowo reglamentowane, a każda publikacja wymaga zezwolenia. Dobra wróżka czuwa nad Jelcynem od dnia jego niełaski. Usunięty ze stanowiska pierwszego sekretarza Moskwy i z Biura Politycznego, został w KC i otrzymał posadę ministra. W marcu 1989 roku przemawiał w Swierdłowsku. Opowiedział tam m.in., jak trafił na XIX konferencję partyjną, gdzie jego spór z Ligaczowem zyskał mu szeroką popularność: „Ostatniego dnia, kiedy została już tylko jedna organizacja [do wystawiania kandydatów — A.K.], Karelia, skierowano mnie tam na godzinę przed wyborami, jak desant, i natychmiast zostałem wybrany” (dodatek do pisma *Za industrialnyje kadry*, 3-15 marca 1989). Jak wiadomo, Borys Jelcyn przemawiał na plenum KC w marcu i plenum powołało specjalną komisję dla oceny niektórych jego wypowiedzi. Posiedzenia plenum — jawność obowiązuje! — transmitowała telewizja. Przypadek sprawił, że dialog Jelcyna z Gorbaczowem na trybunie zjazdowej (ściślej byłoby nazwać go przesłuchaniem Jelcyna) został wycięty. O zajściu opowiedział uczestnik plenum, elektryk uralskiej fabryki wagonów kolejowych Tichomorow, odpowiadając na pytania korespondentów gazety *Niżnietagilskij raboczij* (22 marca 1989). Niewykluczone, że *Niżnietagilskij raboczij* nie cieszy się jeszcze popularnością *Ogonka*, faktem jest jednak, że w żadnym innym piśmie nie ukazało się ani słowo o dialogu Gorbaczowa z Jelcynem. Najpierw moskiewski robotnik Tichomorow, elektryk i członek KC, oświadczył uczestnikom plenum, że choć Jelcyn dużo mówi o walce z biurokracją, on, Tichomorow, czekał w poczekalni Jelcyna godzinę. „Wtedy Michaił Siergiejewicz poprosił Borysa Nikołajewicza na trybunę i zadał mu kilka pytań. — Borysie Nikołajewicz, powiedzcie uczciwie, jesteście za systemem jednopartyjnym? W tym momencie J. K. Ligaczow wstał, machnął ręką i wyszedł. A Jelcyn odpowiedział: Jestem po prostu za tym, żeby ludzie wypowiedzieli się w tej sprawie. Wtedy Michaił Siergiejewicz przeczytał

fragmenty stenogramu z zebrania przedwyborczego w Instytucie Marksizmu-Leninizmu, gdzie Jelcyn spotkał się z wyborcami. Fragmenty świadczyły o tym, że odpowiedź Jelcyna nie jest całkiem szczerą. — Jakie macie kontakty ze Związkiem Demokratycznym? — spytał Gorbaczow [Związek Demokratyczny wprowadzał ulotki z apelem, żeby głosować na Jelcyna — A.K.J.] — Zadnych — odparł Jelcyn. — Jak doszło do tego, że tow. Tichomorow czekał na was godzinę w poczekalni? — Późno mnie poinformowano — odparł Borys Nikołajewicz. — Czy ludzie, którzy was późno poinformowali, nadal pracują w Gosstroju? — dopytywał dalej Gorbaczow. — Tak — odparł Jelcyn”.

Na kwietniowym plenum nie było już mowy o sprawie Jelcyna. W marcu Jelcyn mówił w Swierdłowsku, że „ten i ów próbuje przedstawić mnie jako jakąś alternatywę Gorbaczowa. Mówi się to po to, by mnie odsunąć”. Jelcyn zapewnił, że „w kwestiach strategicznych, kwestiach polityki zagranicznej i wewnętrznej całkowicie popieram towarzysza Gorbaczowa i nie zamierzam w żadnym przypadku mu się przeciwstawić”. Na pewno nikt w to nie wątpi.

Gdyby Gorbaczow mógł rozwiązać wszystkie problemy Związku Sowieckiego równie łatwo i zgrabnie, jak dokonuje zmian kadrowych, można by go uznać za genialnego polityka. Bieda w tym, że poza polityką zagraniczną wszystkie posunięcia Gorbaczowa kończą się fiaskiem. O gospodarce nie warto nawet mówić. Ogłaszane w sowieckiej prasie listy czytelników świadczą o tym, że gorzej ludzie żyli tylko po wojnie. „Czy jest do pomysłenia — pisze *Komsomolskaja prawda* z 19 kwietnia 1989 — że miarą sukcesu jest dziś skrawek szarego mydła, pudełko proszku do prania, paczka żyletek?”. Półśrodki, stosowane dla rozwiązania konfliktowych sytuacji politycznych, szybko okazują się bezskuteczne. *Prawda* przyznała 10 maja br., że sytuacja w Górnym Karabachu znów się zaogniła. Wymyślone przez Gorbaczowa „rozwiązanie” — przekazanie władzy specjalnej komisji — nie dało rezultatów. Na ulice Stepanakertu wróciły czołgi.

Nad wydarzeniami w Tyflisie nadal wisi nieprzenikniona zasłona kłamstw. Moskiewskie władze z najwyższym wysiłkiem dawają po kropelce informacje, które zna dobrze cała Gruzja. Na początku KC KPZS, Prezydium Rady Najwyższej i Rada Ministrów oświadczyły, że „w zbitym tłumie zginęło 16 osób” (11 kwietnia 1989). Tego samego dnia *Prawda* oskarżyła o wszystko „ekstremistów”. Do Tyflisu przyjechał Szewardnadze, oskarżył o śmierć 19 osób (obecna oficjalna liczba ofiar) miejscowe władze i zażądał czystki (*Prawda* z 16 kwietnia 1989). Powoli zaczęły się pojawiać informacje o oddziałach specjalnych, sprawdzonych z Moskwy albo z Gorkiego (dokładnie nie wiadomo), o pałkach, łopatkach saperskich i gazach trujących. Dowództwo kaukaskiego okręgu wojskowego odmówiło podania składu chemicznego gazu, którym zabito spokojnych demonstrantów, nikt jednak nie ma dziś wątpliwości, że rozkaz zdławienia pokojowej demonstracji i zastraszania w ten sposób ludności ZSSR wydała Moskwa. Oficjalnie nie powiedziano o tym jeszcze ani słowa.

Miałem już okazję pisać o licznych dziś w ZSSR ankietach socjologicznych. W *Moskowskich nowościach* ukazały się 7 maja br. wyniki kolejnej ankiety na temat jakości pracy organizacji, ministerstw i zarządów sowieckich (poprzednie badania na ten temat przeprowadzono we wrześniu 1988 i lutym 1989).

Najciekawsza wydała mi się odpowiedź na pytanie „jak obywatel ocenia pracę KGB?”. W 1988 roku 46 % indagowanych odmówiło odpowiedzi na to pytanie. W 1989 — 53 %. Wiele osób po pytaniu o KGB w ogóle odmówiło odpowiedzi na dalsze pytania ankiety.

Co to może oznaczać?

Adam KRUCZEK

15 maja 1989

Kronika niemiecka

Krakowskie Muzeum Lotnictwa ujawniło, że odnaleziono po 45-ciu latach 20 zabytkowych maszyn latających. Stały sobie spokojnie w jakiejś szopie-hangarze. Maszyny, warte kilka milionów dolarów, będą teraz restaurowane w warsztatach Muzeum Komunikacji i Techniki w... Berlinie Zachodnim. Zupełnie tak, jakby w Polsce nie było znakomitych mechaników, blacharzy i restauratorów. Koszty prac nad Szprewą zostaną zrekompensowane w ten sposób, że krakowskie muzeum użyje strony niemieckiej odnowionej ekspozycji do roku 2015. Takich przykładów skandalicznego marnotrawstwa jest coraz więcej. ■ PRL-owska firma Remex (wyroby ze srebra) na tegorocznych 41 Międzynarodowych Targach Rzemiosła w Monachium wynajęła stoisko o powierzchni 130 metrów kwadratowych (m² — 200 marek) i sprzedała towar za około 90 tysięcy marek, natomiast konkurent *Pol-Arts** — również oferując biżuterię artystyczną — lokując się na skromnych 70 m², zainkasował ponad 160 tys. marek. Remex sporą część wynajętej powierzchni poświęcił na przestronne zaplecze — z myślą o odwiedzianych znamienitych gości. ■ Karl Dedecius przełożył i wydał *Gedichte (Wiersze)* Adama Zagajewskiego (Carl Hanser Verlag, Monachium 1989). Tomik poezji znanego polskiego poety omówił życzliwie Harald Hartung na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ W Monasterze (Westfalia) odbyła się jubileuszowa 50-ta wystawa indywidualna prac Roberta Szczówki (Rathausgalerie Münster). Dla znanego jako ROBS, a mieszkającego od trzech lat w Hamburgu polskiego cartoon-isty była to piąta wystawa na terenie RFN. Robs publikuje swe *cartoons* w prasie nie tylko niemieckiej. ■ Na Śląsku przebywał przewodniczący grupy roboczej PRL-RFN w Bundestagu Hans Koschnick. Omawiał sprawy pomocy technicznej RFN w wyposażeniu placówek służby zdrowia w nowoczesną aparaturę i sprzęt medyczny. ■ Na aukcji antykwarycznej w Łodzi anonimowy nabywca z Wrocławia zapłacił za biblię Antona Kobergera** z 1473 roku 46,9 mln złotych (ok. 28 tys. marek). ■ Muzeum Sztuki w Łodzi pokazało ostatnio piękną wystawę malarstwa, rzeź-

* Niemiecko-polska spółka handlowa z siedzibą w Monachium.

** Niemiecki drukarz, wydawca i księgarz w Norymberdze, Krakowie i Lwowie.

by i rysunków słynnego Hansa Arpa. Arp, francusko-niemiecki plastyk, poeta, teoretyk sztuki był jednym z tych wybitnych twórców, którzy w 1929 roku wspomogli wysiłki twórców łódzkiego muzeum. Wystawa została zorganizowana przez bońską Fundację Hans Arp, Sophie Taeuber-Arp. ■ Polscy aktorzy hamburskiej grupy teatralnej *Pantheater*, Marek Włodarczyk oraz Henryk Nalewajka, otrzymali bardzo dobre krytyki (*Die Welt*, *TAZ*, *Hamburger Abendblatt*, *Morgenpost*) za inscenizację *Emigrantów* Mrożka. Przedstawienie w hamburskiej *Kampnagel* reżyserował gościnnie Mikołaj Grabowski. Podczas gdy bardzo dobrze przyjęto wersję w języku niemieckim — na polskiej pustyni kulturalnej Hamburga przedstawienia w ogóle nie zauważono. ■ Prof. Klaus Zernack (Berlin Zachodni), znany historyk niemiecki, został wyróżniony przez *Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu* tytułem doktora *honoris causa* za szczególne zasługi w dziele porozumienia niemiecko-polskiego. Prof. Zernack jest przewodniczącym *Komisji UNESCO PRL i RFN d/s Podręczników Szkolnych*. ■ Zadłużenie Polski wobec RFN wyniosło pod koniec 1988 roku 24,3 mld marek. ■ W kwietniu bież. roku 2.471 obywateli PRL zwróciło się do władz zachodniemieckich z prośbą o azyl. ■ Michael Fortuin jest nauczycielem historii i... języka polskiego w szkole w Meppen k. Dortmundu. Tamtejsze gimnazjum nawiązało współpracę z I Liceum Ogólnokształcącym w Toruniu. Jej ramy zakładają m.in. wymianę młodzieży na letnie obozy. W Toruniu przebywała już 45-osobowa grupa, w której znaleźli się także nauczyciele. ■ *Wojevodzki Zespół Wspierania Inicjatyw Gospodarczych* w Szczecinie zabiega o uruchomienie stałego, szybkiego połączenia helikopterowego pomiędzy Berlinem Zachodnim i Szczecinem. Już są pierwsze sprzeciwy ze strony NRD. ■ Podczas jednej z majowych sobót zachodniobierliński celnicy odnotowali ponowny najazd handlarzy z PRL. Na przejściach granicznych zarejestrowano 35 autobusów i 680 samochodów osobowych. Polscy szmuglerzy (ok. 5.000) koncentrowali się przed kościołem św. Marcina w dzielnicy Tiergarten oraz w Parku im. Mendelssohna-Bartholdy'ego w dzielnicy Kreuzberg. Handlarze oferowali głównie żywność, spirytualia, porcelanę i tekstylia. Policja zatrzymała za przemyt papierosów 7 obywateli PRL. Najwerniejszymi klientami polskich „turystów” są tureccy robotnicy. Trudno przypuszczać, aby gorszące opinie niemiecką i miejscowych Polaków masowe przypadki handlu na czarno zniknęły z berlińskich ulic. ■ 130 samochodów znanych marek ukradli złodzieje w Berlinie w 1988 roku i sprzedali je do Polski — piszą *Volksblatt* i wielki tygodnik *Der Stern*. Według rozpoznania policji kryminalnej złodziejami byli wyłącznie Polacy, którzy sprzedawali kradzione wozy za ok. 12 tys. dolarów. Straty ocenia się na ok. 4,5 mld marek. W Berlinie Zachodnim działały trzy grupy. Zatrzymano już pięciu podejrzanym. ■ W Warszawie zmarła Anna M. Linke, znana tłumaczka prozy artystycznej z języka niemieckiego. Przełożyła m.in. *Johannesa Bobrowskiego* *Litewskie klawikordy*, *Symultanę* Ingeborg Bachmann, *Przygody Simplicissimusa* i *Wybrańca* Tomasza Manna oraz *Hamleta czyli okres długiej nocy* Alfreda Döblina. ■ Zbliżona do CDU Fundacja im. *Konrada Adenauera* (St. Augustin k/Bonn) uruchomi w Warszawie własne przedstawicielstwo (stypendia, wspólne konferencje naukowe, wymiana publikacji itp.). ■ W kolonim wydawnictwie *Du Mont Verlag* ukazał się ilustrowany przewodnik po Polsce z zakresu historii sztuki. Do przewodnika załączona jest też bardzo ważna dla turysty część informacyjna o podróży waniu po Polsce. Autorami są Ivan Bentchev, pracownik *Urzędu d/s Ochrony Zabytków* w Bonn, Dorota Leszczyńska, współpracowniczka rozgłośni *Deutschlandfunk* w Kolonii, dr Michaela Marek z *Instytutu im. Johanna Gottfrieda Herdera* (Marburg) i Reinhold Vetter, dziennikarz, korespondent kolonij rozgłośni *Westdeutscher Rundfunk* w Warszawie. ■ *Dziesięciu sprawiedliwych. Wspomnienia okupacyjne*. Zebrane i wstępem poprzedzone przez Jana Turnau (Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1986) ukazały się w

języku niemieckim (tłum. Wolfgang Grycz) nakładem oficyny *Mathias Grünewald* w Moguncji. Antologia zawiera wspomnienia ok. 80 Polaków, którzy zachowali w pamięci przyjazne gesty, zachowania i czyny Niemców w latach hitlerowskiej okupacji. ■ Po raz pierwszy zachodniemieccy turyści mogą załadować samochód na pociąg i udać się w podróż z Hanoweru do Poznania. Cena biletu w obie strony — 498 DM. ■ Franz-Xaver Grünland, właściciel przedsiębiorstwa przebudowującego nowe samochody we Fryburgu Bryzgowijskim, podarował jednej z instytucji kościelnych w Częstochowie kompletnie wyposażoną w sprzęt reanimacyjny karetę pogotowia. Obecnie zbiera pieniądze na zakup lekarstw i urządzeń medycznych dla szpitali w Częstochowie. ■ Prof. dr. Tadeusz Pawłowski (Uniwersytet Łódzki) prowadzi gościnne wykłady z dziedziny estetyki, teorii sztuki i filozofii na uniwersytecie w Monasterze (Westfalia). Prace prof. Tadeusza Pawłowskiego zostały przełożone na wiele języków. ■ *Der Spiegel* ogłosił wyniki ankiety, która pokazuje, że 65 % społeczeństwa RFN godzi się z granicą na Odrze i Nysie, a 34 % — nie. ■ Choć podczas tzw. godziny aktualności poświęconej stosunkom z Polską w bońskim *Bundestagu* nie padło zbyt wiele konkretnych, to w sumie debata dostarczyła serię deklaracji dobrej woli wobec Polski i zapewnień, że wszystko będzie w właściwym torze i zmierza do pomyślnego końca. Mnożą się głosy, że zaciągnięty w 1975 roku przez Polskę w RFN kredyt (1 mld marek) zostanie całkowicie umorzony lub PRL będzie spłacać dług w złotychkach. Bawarska *GSU* jest przeciwna tego rodzaju rozwiązaniom. Tymczasem strona polska naciska na dogodniejsze rozłożenie spłat starych i nowe kredyty na specjalnych warunkach. Władze PRL sygnalizują jednocześnie gotowość do ustępstw w sprawach, na których zależy Bonn, w tym m.in. zgodę na otwarcie *Instytutu Goethego* w Warszawie, nowych konsulatów w Krakowie i Hamburgu, zwiększenie wymiany młodzieży, używanie niemieckich obok polskich nazw miejscowości w dokumentach dwustronnych porozumień. Mimo wielu niezadowolonych spraw Bonn w dalszym ciągu podtrzymuje możliwość przyjazdu kanclerza Helmuta Kohla do Polski w połowie lipca bież. roku. ■ *Exlibrisy* i miniatury graficzne Zbigniewa Janeczka wystawiono w zachodniobierlińskiej *Galerii Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK)*, prowadzonej przez Helenę Szacką-Bohle. ■ W krakowskim *Ośrodku Kultury i Informacji NRD* prezentowano turystyczne i podróżnicze książki z Niemiec Wschodnich. Wystawa nie wzbudziła żadnego zainteresowania. ■ Jedną z najcięższych polskich grup zawodowych mieszkających w RFN, mianowicie lekarze i farmaceuci, liczy według szacunków grubo ponad 4 tysiące osób. Ambasada PRL w Kolonii zorganizowała spotkanie z lekarzami polskiego pochodzenia (obecnych ok. 100 osób). Rada ambasady PRL, Zbigniew Przybyszewski, mówił że Polska jest dla nich „zyciowym domem” i tłumaczył nową politykę paszportową i wizową zupełnie jak przybyłszy z innej planety. Później poszło, oczywiście, o pieniądze. Ambasador Ryszard Karski skłaniał zebranych do większego zaangażowania na rzecz pomocy dla PRL-owskiej służby zdrowia, co polscy lekarze i farmaceuci dawno już skutecznie czynią, ale omijają polską placówkę dyplomatyczną. Organizatorzy nie zapomnieli o koncercie *e-moll Chopina* i *Fantazji polskiej Paderewskiego*. Utwory odegrała Urszula Krysta, która akurat koncertowała w RFN. ■ Nowe organizacje polskie w Niemczech, założone przez najnowszymi uchodźców, którzy w ten sposób chcą uzyskać azyl lub wizy do USA lub Kanady: *Ruch Niepodległej Polski* (Ziegelstrasse 95, D-2360 Bad Segeberg); *Grupa Robocza „Solidarność”* (Stiftstrasse 32, D-7056 Weinstad-Aalen). Wymienione organizacje proszą o książki emigracyjne. ■ *Polskie Towarzystwo Kulturalne w Badenii-Wirtembergii* (Schönbühlstrasse 77, D-7000 Stuttgart 1) prowadzi działalność klubową, sobotnią *Szkołę Polską* dla dzieci, kursy języków niemieckiego i angielskiego. Czynną jest również biblioteka. *PTK* organizuje prelekcje i odczyty. Ostatnio dr J. Cichocka wygłosiła odczyt na temat: *Pro-*

blemy psychiczne emigracji polskiej. ■ Anna i Antoni Romaszewscy wystawiali collage, akwarele i grafiki w Kinderhanser Bürgerhaus w Monasterze. Kolońska galeria *Grosse Bachem* urządziła wystawę obrazów Sabiny Lonty, a kolońska *Galeria Cezary* (wł. C. Sokolowski-Abram) zaprezentowała prace w szkłe Kazimierza Trygara z pantomimicznym „wstępem” Zbigniewa Kusia. Ponadto płaskorzeźby ścienne polskiego artysty Jacka Wesolowskiego oglądać było można w *Galerii Nawrocki* (Kolonia). Wymienić jeszcze trzeba pastele Wojciecha Bieleckiego pokazane w *Simultanhalle* (Kolonia). ■ W Warszawie obradował I ogólnopolski zjazd *Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką*. Podobno organizacja liczy ok. 1 mln członków, według innych źródeł ok. 600 tys. Na zjeździe domagano się „utworzenia solidarnego frontu narodowego w wysuwaniu roszczeń o odszkodowania”. Prezesem stowarzyszenia został prof. Jerzy Ozdowski, na czele rady programowej stanął prof. Alfons Klafkowski (obaj z Poznania). Sprawa odszkodowań na nowo odżyła. Komuś potrzebne są na gwałt pieniądze. Dotąd władze w Warszawie nie wywierały nacisku ani w Berlinie, ani w Bonn w kwestii odszkodowań dla swoich obywateli. Mało, Polska zrezygnowała z reparacji wojennych w 1953 roku. I teraz dla przypomnienia: w połowie lat 50-tych nadeszły do Polski dziwnymi kanałami poważne sumy z koncernów *IG Farben* i *Kruppa* (sumy o nieznanej wysokości „rozgospodarował” premier Cyrankiewicz; niebagatelne odszkodowania otrzymali Polacy żyjący na Zachodzie (ok. 300 mln marek), głównie dzięki zabiegom mec. Chmielewskiego z Londynu. W 1972 roku RFN przekazała Polsce kwotę 100 mln marek (plus 10 mln marek na koszty administracyjne!) tytułem odszkodowań dla osób, które padły ofiarą hitlerowskich eksperymentów medycznych (sporą część kwoty sprzeniewierzył premier Jaroszewicz). Pieniądze wypłacano w złotówkach po oficjalnym kursie i do tego z wieloletnimi przerwami. Dokładne rozliczenie nie zostało nigdzie opublikowane. Niemcy Zachodnie w 1975 roku wypłaciły PRL kwotę 1,3 mld marek na zaopatrzenie emerytalne, niezależnie od niskoprocentowanego miliardowego kredytu. Od wielu lat zapomogi b. kacetowcom wysyła *Fundacja im. Maksymiliana Kolbego* (Fryburg Bryzgowijski); wysyłane są protezy, wózki inwalidzkie, aparaty słuchowe itp. Prywatne paczki w latach 1978-1987 osiągnęły wartość ok. 1 mld marek. W tym samym czasie wysłano z RFN do Polski leki i sprzęt medyczny o łącznej wartości ok. 500 mln marek. Na koniec trzeba jeszcze przypomnieć o odszkodowaniach wypłaconych obywatelom polskim, którzy musieli opuścić PRL po marcu 1968 roku. Niechętnie zestawiam te liczby, ogrom zbrodni hitlerowskich i bezmiar ludzkiego cierpienia są zbyt wielkie, ale czterdzieści cztery lata po wojnie trzeba zdać sobie jasno sprawę, że w kwestii odszkodowań całkowitą winę ponosi reżim komunistyczny, dla którego podtrzymywanie wizerunku „złego Niemca” było ważniejsze od losów ofiar wojny. Teraz znów naciskają „złych Niemców” — w pośredni sposób — bo kto inny może przyjąć Polsce z pomocą... ■ Urzędy zatrudnienia w RFN dysponują ponad 200 tys. wolnych miejsc do pracy. Poszukiwani są wysoko wykwalifikowani specjaliści: mechanicy precyzyjni i samochodowi, pracownicy przemysłu chemicznego i elektronicznego. Bez tych fachowców moce przerobowe przemysłu zachodnoniemieckiego pozostają częściowo niewykorzystane. ■ Marek Nowakowski, znany polski prozaik, przebywał z wizytą w Niemczech Zachodnich. W *Institucie Literackim* w Paryżu wydał: *Raport o stanie wojennym*, cz. I i II, 1982; *Notatki z codzienności*, 1983; *Dwa dni z Aniołem*, 1988. *Wschodnioeuropejskie Centrum Kulturalne IGNIS* (Kolonia) i *Klub Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego* (Monachium) urządziły polskiemu pisarzowi wieczory autorskie, które cieszyły się sporą frekwencją.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

Świadectwo obecności

Szczegółowe sprawozdania już napisano. Świetne nazwiska, nienagannie skonstruowane, efektowne przemówienia, deklaracje o niezależności kultury („nie ma kultury innej niż niezależna” — powiedział Jerzy Turowicz w programowym wystąpieniu), o jedności i niepodzielności kultury polskiej we wszystkich jej nurtach i odmianach, w całej różnorodności i wielości ognisk jej kształtowania. Niezależne Forum Kultury, zwołane przez Komisję Kultury Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie pod przewodnictwem Andrzeja Wajdy odbyło się 1 kwietnia w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego i stanowić miało próbę zamknięcia Kongresu Kultury Polskiej, przerwane gwałtownie wprowadzeniem stanu wojennego. Gustaw Holoubek wygłosił nawet przemówienie, przygotowane na ostatni dzień Kongresu, 13 grudnia 1981. Dla wielu z nas zadźwięczało ono dość pusto; było gestem z innej epoki wobec sceptycznej i niezbyt ufnej widowni. Kongres odbywał się w gorącej atmosferze wielkiego sporu, w przeczcuciu narastającego zagrożenia. Wypowiadało na nim słowa i myśli tłumione dotąd, zakazywane, ścigane z wielką zaciekiłością przez jawne i tajne policje. Słuchającym wtedy aż dreszcz czasem przebiegał po plecach, tak bardzo byliśmy wytresowani w milczeniu czy kunsztownych systemach zawitych aluzji, mówiących o sprawach elementarnych. Dzisiaj, po 8-letnim stażu w stanie zimnej wojny domowej (jak mówi Stefan Bratkowski), po wielotygodniowym serialu publicznych dyskusji wokół obrad „okrągłego stołu”, staliśmy się dość wzbredni i patetyczne deklaracje czy wezwania do narodowej jedności nie czynią na nas spodziewanego wrażenia. Drugi obieg, o którym mówił na Forum Jacek Bocheński, sprawił, że cenzura utraciła już kły; nawet legalna prasa ustępuje pod presją coraz swobod-

niejszego obiegu informacji i opinii, wyrażanych bez skrępowania i kamuflażu.

Można chyba powiedzieć, że Forum było formalnością, niezbędną dla zamknięcia Kongresu sprzed ośmiu lat i zarazem deklaracją praw i obowiązków kultury w nowych warunkach politycznych (może z przewagą praw nad obowiązkami). Deklaracją zresztą nieco spóźnioną, bo ogromna większość obecnych na sali — i cała rzesza nieobecnych, bo niezauważonych i niezaproszonych — nie mogła żywić wątpliwości, że podstawowym tworzywem kultury jest prawda i że nie może ona, z samej swojej natury, stanowić instrumentu w rękach polityka o jakimkolwiek zabarwieniu ideowym. Przez wiele lat społecznym sprawdzianem autentyczności artysty była w Polsce jego niezależność od komunistycznej inżynierii dusz ludzkich. To wystarczało, przynajmniej w pewnej mierze, dla zdobycia i zachowania pozycji wśród opozycyjnych elit. Ale przez całe dziesięciolecie kultura była w Polsce ostoją oporu i niezależności myślenia, czy choćby schronieniem przed monstrualną presją propagandowego frazesu. Zadanie to wypełniła skutecznie i jest to wielki powód do chwały. Ale na pięknoduchowskie deklaracje i uroczyste akademie ku czci heroicznej niezależności trochę chyba za wcześnie. Mówił o tym Czesław Bielecki, niepospolity publicysta opozycyjny i szef zastępowanej niezależnej oficyny wydawniczej „CDN”, którą to funkcję ujawnił przy okazji swojego wystąpienia. Znaleźliśmy się w sytuacji, której rozwoju w najbliższych nawet tygodniach nie potrafi przewidzieć nikt, nawet ci, którzy — być może — układają już warianty scenariuszy działań na rozmaite okoliczności. Dlatego podniosłe deklaracje brzmią dziś trochę pustawo, trochę fałszywie i trochę irytująco. Słucha ich społeczeństwo ponad miarę udręczone, apatyczne, coraz mniej zainteresowane grą polityczną, jaka się teraz toczy, nie tyle może zalęknione przyszłością, co zniechęcone do jej perspektyw. Tuż po zakończeniu obrad okrągłego stołu posypały się kolejne podwyżki cen. W opinii ulicy istnieje ścisły związek między jednym i drugim. Rola opozycji staje się coraz trudniejsza.

Z niedostatków dyskusji na Forum najdotkliwszy wydaje się brak próby dokładniejszej diagnozy istniejącego stanu: nowe pokolenie artystów nie przemówiło jeszcze pełnym głosem; intensywny przed laty puls życia artystycznego wyraźnie słabnie; niszczenie materialna baza kultury, braknie nawet środków dla zachowania tego, co jeszcze jest. Dramatyczny list sędziwego Stanisława Lorentza, byłego dyrektora Muzeum Narodowego, pozostał właściwie bez echa, bo już przywykliśmy, że kraj zamienia się w ruinę. W zawrotnym tempie drożeją książki i czasopisma, w obu zresztą obiegach; niedługo już staną się trudno dostępne ze względów finansowych, tak jak do teraz wszystko, co bardziej

wartościowe, jest mało osiągalne przez szczupłość nakładów, regulowanych przez odpowiednie służby państwowe. Marnieje teatr, do niedawna tak twórczy i bogaty; staje się ubogi zupełnie dosłownie, nie w metaforycznym sensie, jakiego używał Jerzy Grotowski. Ubogi nie tylko w pieniądze, również i w idee artystyczne. Ale skoro o pieniądzech mowa, to warto wyjaśnić, że dzieje się tak nie tylko dlatego, że po prostu jesteśmy biedni. Są w Polsce instytucje fasadowe, na które hojny rząd łoży wiele miliardów, jak Teatr Wielki w Warszawie, dowodzony przez generała, który nigdy nie zdążył być szeregowcem czy nawet podporucznikiem, Roberta Satanowskiego. Księgarnie pełne są wysokonakładowych wznowień innego generała, który z kolei nie musiał odbywać stażu w stopniu pułkownika — Jana Dobraczyńskiego. Oczywiście, są służby, regulujące przepływ pieniędzy, przeznaczonych na rozwój i upowszechnienie kultury. Są i powody, dla których się tak dzieje. A biblioteki publiczne ograniczają, bądź w ogóle rezygnują z rozszerzania i odnawiania zbiorów.

Nie umiem się powstrzymać przed zacytowaniem opinii z listu przewodniczącego Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Janusza Majewskiego. ... „największym ciosem zadany przez system stalinowski naszemu narodowi było dopuszczenie do głosu głupoty. Zbrodniarze stalinowscy zeszli w niesławie ze sceny historii, ale ich wychowankowie... zostali wśród nas... całe to pokolenie wieloletniej negatywnej selekcji... Oni stworzyli dzisiejsze normy i hierarchie wartości, oni dyktują obyczaje, oni wytwarzają atmosferę pogardy dla kultury, nauki i sztuki”. List nieobecnego na Forum Majewskiego odczytał wiceprezes Stowarzyszenia, Juliusz Burski. Od siebie dodał kilka zdań za ledwie, w tym jedno z najważniejszych z ogółu wypowiedzianych w ciągu całonocnych obrad: brakuje nam organizacji naszego życia. A organizacja jest dzisiaj sprawą najważniejszą. Jest sprawą moralności.

O tym jednak mówiono niewiele. Kilka trzeźwych i może nawet nieco surowych głosów, jak wystąpienia Bieleckiego i Burskiego, jak głęboka przestroga ks. prof. Józefa Tischnera, do której wróć, było lekkim zgrzytem w atmosferze triumfu niezależnej cnoty nad koniunkturalnym występkiem. Zbigniew Bujak, przywódca „Solidarności” w regionie mazowieckim, oznajmił, że nigdy dotąd nie odczuł tak wielkiego poczucia jedności narodowej jak teraz, kiedy i ścigani i ścigający zasiedli przy jednym stole. Może właśnie kultura, ta reprezentowana na Forum, stanie się drogowskazem, który ukaże i władzy i społeczeństwu cywilizowaną drogę do reform. W wystąpieniu Bieleckiego znalazła się bezpośrednia replika na głos Bujaka. Bielecki wyobraził sobie sytuację z niedalekiej przyszłości. Syn pyta go, co to jest komunizm. Bo wszyscy mówią, że był jakiś komunizm, a nikt nie umie wyjaśnić, co to właściwie znaczy. Szef „CDN” boi się,

że będzie musiał odpowiedzieć w ten sposób: Widzisz, synku, było to coś tak inteligentnego i perfidnego, że ty nawet nie widzisz, że to nadal jest.

Julian Strykowski przejmując mówił o swoim żydowskim rodowodzie i „powołaniu ku polskości”, o misji postawienia literackiego pomnika swojemu narodowi. O niemożności bycia Żydem, kiedy się jest komunistą. Przestrzegł: „Radujmy się rozważnie”. Upomniął nas surowo Jan Plater Gajewski (od 1988 roku w Polsce, od 1939 w łagrach, potem w Kazachstanie), gorąco zresztą witany przez salę. Nie zrobiliśmy wszystkiego, by podtrzymać świadomość narodową w Polakach pozostawionych poza wschodnią granicą. Tchórzliwie milczeliśmy o nich przez ponad czterdzieści lat i nie naszą zasługą jest, jeśli zachowali w tamtych warunkach poczucie swojej przynależności narodowej. To był także głos poza głównym nurtem dyskusji. Na swoją obronę mogliśmy powiedzieć, że nasza niezależność od niedawna dopiero zalsniła takim blaskiem. I przytoczyć parę żenująco skromniutkich liczb: trochę książek, wysłanych przez paru szlachetnych zapaleńców do polskich parafii i szkółek w Związku Sowieckim dopiero w ostatnim roku, i parę daremnych prób fundowania stypendiów polskim studentom stamtąd. Ale nie przytoczyliśmy i tego. Nie podjęliśmy nawet tego tematu.

Nasza pamięć zbiorowa jest wybiórcza. Trzymamy się kurczowo kilku wątków przeszłości, o wielu jednak rzeczach i wydarzeniach całkiem niedawnych zapominamy dość łatwo. Przy okrągłym stole w ogóle nie mówiono o sprawach kultury i stratach, jakie poniosła po wprowadzeniu stanu wojennego (pomijając już doświadczenie całego półwiecza). Przemilczano oszczercze kampanie propagandowe, prowadzone przez ludzi z kręgu bądź co bądź kultury, jak np. Janusz Przymanowski, który z trybuny sejmowej oskarżał „Solidarność”, że szykowała noc św. Bartłomieja dla nomenklatury i jej rodzin (z wyłączeniem dzieci do lat sześciu). Nie mówiono o dyskryminacji autorów, o dziełach, czekających latami na wydanie, o rozproszeniu środowisk i wypędzeniu wielu młodych twórców, którzy musieli porzucić swoje aspiracje, by się utrzymać przy życiu.

Nie mówiono o tym również na Forum. Ostatnie głosy zostały zresztą ograniczone przez brak czasu i w nerwowej dość krzątaninie wokół ceremonii zakończenia umknął nieco uwadze zebranych ważny głos Macieja Kłowieckiego o środkach masowego przekazu — filarze władzy i instrumencie umysłowego zniewalania społeczeństwa. Roli i wagi tych środków opozycyjne elity wciąż nie dostrzegają wśród ideałów i form kultury tzw. wysokiej. A statystyczny odbiorca styka się z kulturą wyłącznie niemal za pośrednictwem okienka telewizora.

Myszę, że Forum było przede wszystkim wpisaniem kultury na listę obecności w wielkim polskim konflikcie. Uczestniczyła w nim i wcześniej, ale należało jakby tę obecność zaznaczyć w sposób formalny, po właściwej stronie konfliktu. Stanowiło też chyba symboliczne nieco zamknięcie dyskusji wokół zasad. Najbliższe miesiące przeniosą tę dyskusję na płaszczyznę praktyki, na której ukształtują się na nowo środowiska twórcze, już według zasad pluralizmu, zreformuje się drugi obieg wobec powstawania legalnej prasy opozycyjnej, a wszelkie niezależne myślenie weźmie udział w sporze o nowy model ustrojowy kraju. Warto jednak pamiętać o przestrożę ks. Tischnera, który mówiąc o tym, że kultura polska zasadza się na dialogu, wskazał na niebezpieczeństwo urzeczenia przeciwnikiem, niebezpieczeństwo toczenia z nim dyskusji na wyznaczonej przez niego platformie. Przeciwnik jest marny. W sporze z nim marnieją talenty i aspiracje, znikają z pola widzenia wartości uniwersalne.

Jarosław SZYMKIEWICZ

O błyskach promieniowania gamma

ROZMOWA Z PIOTREM LASOTĄ

Pod koniec lutego tego roku ukazała się w angielskim *Nature* krótka, niespełna dwustronicowa praca zatytułowana „A model for soft v-ray burst repeaters”, tzn. model źródła powtarzających się błysków miękkiego promieniowania gamma. Jej autorami są M. Boer z Tuluzy oraz J. M. Hameury i J. P. Lasota z Meudon koło Paryża. Redakcja *Nature* poprosiła profesora Uniwersytetu w Princeton, Bohdana Paczyńskiego¹, o napisanie całostronicowego redakcyjnego omówienia tej pracy. Londyński *Times* poświęcił jej trzyszpaltowy komentarz, który ukazał się równocześnie z publikacją pracy w *Nature*. W ciągu następnych dni i tygodni o pracy trzech francuskich autorów pisały także *Science News* i inne periodyki. To natychmiastowe i powszechne zainteresowanie ekspertów związane jest nie tylko z doniosłością samego problemu błysków gamma, lecz przede wszystkim z zupełnie nowym i jednocześnie prostym i przekonującym sposobem jego rozwiązania zaproponowanym w tej pracy.

¹ Krótką notkę o jego pracy naukowej zamieściła listopadowa (11/482) *Kultura* w 1987 roku.

Wkrótce po opublikowaniu w *Nature* pracy o błyskach gamma rozmawiałem z jednym z jej autorów, Piotrem Lasotą, moim dawnym kolegą z Centrum Astronomicznego Mikołaja Kopernika w Warszawie, a obecnie dyrektorem Departamentu Astrofizyki Relatywistycznej i Kosmologii Obserwatorium Paryskiego. Jest on także profesorem (*directeur de recherche*) we francuskim CNRS. Zapis tej rozmowy poprzedzony jest krótkim wprowadzeniem, przedstawiającym historię odkrycia błysków gamma.

Krótkie, bardzo intensywne błyski promieniowania gamma docierają do nas ze wszystkich stron nieba. Killkanaście sztucznych satelitów i stacji międzyplanetarnych rejestruje mniej więcej jeden taki błysk na dwie doby. Mimo ogromnej ilości zgromadzonych obserwacji ciągle nie wiadomo, gdzie znajdują się źródła tych błysków ani co je powoduje. Wielu astronomów uważa, iż błyski gamma stanowią jeden z najtrudniejszych i zarazem najciekawszych problemów współczesnej astronomii.

Odkryto je przypadkiem. W roku 1963 John Fitzgerald Kennedy i Nikita Siergiejewicz Chruszczow podpisali w Moskwie układ o częściowym zakazie doświadczeń z bronią nuklearną, rozpoczynając w polityce światowej okres *détente*. Dziś, ponad ćwierć wieku później, mało kto pamięta ówczesny optymizm zachodniej prasy, tak bardzo zresztą podobny do obecnego entuzjazmu wywołanego *pieriestrojka*. Mało kto pamięta także, iż wielu ówczesnych amerykańskich polityków wcale nie podzielało tego optymizmu. Byli nieufni, żądali dokładnej, rzetelnej kontroli podpisanego układu. To właśnie stało się powodem wystrzeżenia przez Amerykanów satelitów serii *Vela*, których jedynym zadaniem było sprawdzanie, czy Rosjanie nie przeprowadzają potajemnie prób z bronią nuklearną. Zasada działania polegała na możliwości zarejestrowania promieniowania gamma powstającego przy wybuchu nuklearnym przez bardzo czułe detektory umieszczone na satelitach.

Technikę wykrywania wybuchów stale udoskonalano. Satelity *Vela IV* wyposażono z myślą o wykrywaniu wybuchów, które Rosjanie mogliby ukrywać za sztuczną lub naturalną osłoną (np. inną planetą). W tym przypadku dwa satelity umieszczone po przeciwnych stronach Ziemi zarejestrowałyby prawie równocześnie błysk promieniowania gamma.

„Szukaliśmy takich prawie równoczesnych rejestracji na taśmach z danymi przekazanymi na Ziemię przez satelity”, wspomina R. W. Klebesadel z Los Alamos National Laboratory, jeden z głównych specjalistów programu *Vela*, „ponieważ zakładaliśmy, że żadne zjawisko naturalne nie jest w stanie ich wywołać w przypadku gdy sygnał szybko narasta, tak jak to ma miejsce podczas wybuchu nuklearnego”.

„Jednak, ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, znaleźliśmy kilka niemal równoczesnych rejestracji błysków promieniowania gamma. Jedna z nich związana była z błyskiem tak silnym, że mogliśmy zbadać dokładnie przebieg zmienności natężenia promieniowania gamma w czasie. Był on inny niż spodziewany przebieg w przypadku wybuchu za osłoną. Prawie nie mieliśmy więc wątpliwości, że obserwowany błysk nie był spowodowany doświadczalnym wybuchem nuklearnym w przestrzeni kosmicznej”.

Prawie, lecz nie całkowicie. Błysk, o którym mowa, został zarejestrowany 2 czerwca 1967 roku. Przez sześć następnych lat nowe satelity serii *Vela* wykryły setki podobnych błysków. Gdy nie było już żadnych wątpliwości, że błyski te pochodzą z kosmosu, całą sprawę ujawniono. Pierwszy artykuł o błyskach gamma, napisany przez R. W. Klebesadela, I. Stronga oraz R. Olsona, ukazał się w 182 tomie amerykańskiego *The Astrophysical Journal Letters* w roku 1973. Podano do wiadomości wszystkie istotne szczegóły, także dane techniczne satelitów *Vela*. Jedynym rezultatem początkowo ściśle tajnej pracy dla wojska okazało się doniesienie i najzupełniej pokojowe odkrycie astronomiczne. Zainteresowanie astronomów błyskami gamma było tak wielkie, że już w końcu lat siedemdziesiątych ich badaniem zajmowały się odbiorniki umieszczone na pokładach ośmiu amerykańskich i trzech sowieckich satelitów krążących wokół Ziemi, Słońca i Wenus. Była to cała międzyplanetarna sieć satelitów, gdyż dane opracowywano wspólnie. Pozwoliło to na wprowadzenie pewnej odmiany triangulacji, dzięki której ustala się obecnie kierunki (miejsca na niebie), z których dochodzą błyski gamma, z dość znaczną dokładnością. Jednak ani ta, ani inne metody nie są w stanie nawet w przybliżeniu określić odległości od źródeł tych błysków.

Promieniowanie gamma, jak każde inne, składa się z fotonów, to znaczy małych, niepodzielnych porcji energii. Fotony gamma są bardzo „twarde”. Mówiąc to mamy na myśli fakt, iż (nieco rzecz upraszczając) energia fotonów gamma jest co najmniej milion razy większa niż energia fotonów w świetle widzialnym i tysiąc razy większa niż energia fotonów w promieniowaniu Roentgena. Z tego powodu promieniowanie gamma powstaje w bardziej ekstremalnych warunkach: w bardzo wysokich temperaturach (ponad miliarda stopni, powierzchnia Słońca ma temperaturę sześciu tysięcy stopni), w bardzo silnych polach magnetycznych, lub przy zderzeniach z ogromnymi szybkościami. Promieniowanie gamma jest więc domeną pasjonującej astrofizyki wielkich energii, do której należą też wybuchy gwiazd supernowych, kwazary, pulsary, czarne dziury. Można było spodziewać się niespodzianek. I rzeczywiście, były niespodzianki.

Z obserwacji wynikało, że długość błysku gamma wynosi od dziesiątej części sekundy do około tysiąca sekund, lecz niekiedy pojedyncze pulsy z jakich składa się błysk trwają znacznie krócej

niż tysięczna część sekundy. Można z tego wnioskować, że rozmiar świecącego obszaru jest mniejszy niż około trzysta kilometrów. (Taką odległość przebywa światło w ciągu trwania pulsu). Jednocześnie ilość energii produkowana w tym małym obszarze musi być ogromna. Można ją wyliczyć z dokładnej zmierzonej energii docierającej na pokład satelity i *złożonej*, bowiem rzeczywista nie jest znana, odległości do źródła błysku. Ponieważ miejsca, z których dochodzą do nas błyski, rozłożone są dość równomiernie na niebie, źródła błysków muszą znajdować się albo stosunkowo blisko, albo bardzo daleko. Nieco podobnie jest z błyskami piorunów: gdy jesteśmy blisko, w środku małej burzy, widzimy je dokoła, we wszystkich kierunkach, tak samo jak błyski wielu bardzo odległych burz widzianych nocą z pokładu statku na pełnym morzu lub z wysoko lecącego samolotu. Burza przechodząca bokiem, ani bardzo blisko ani bardzo daleko, widziana jest tylko po jednej stronie nieba.

Jeśli przyjąć ostrożniejszą hipotezę, że mianowicie źródła błysków znajdują się *bardzo blisko*, gdzieś w naszej galaktyce, to znaczy w odległościach wynoszących typowo około tysiąca lat świetlnych, to i tak prowadzi to do szokującego wniosku, że obiekt o rozmiarach małego województwa może nagle błysnąć najtwardszym promieniowaniem i przez dziesiątą część sekundy świecić silniej niż milion Słońc. W dodatku ten niezwykły obiekt może przeżyć kataklizm i błysnąć powtórnie! Obserwuje się bowiem, wśród setek miejsc na niebie, z których dotarły pojedyncze błyski gamma, aż trzy takie, z których dochodzą powtarzające się błyski.

MAREK ABRAMOWICZ: — *Dlaczego praca, której jesteś współautorem, wzbudziła takie zainteresowanie?*

PIOTR LASOTA: — Błyski gamma odkryto przeszło dwadzieścia lat temu, setki obserwowano od tego czasu, lecz ich przyczyna pozostaje ciągle nieznaną. Nie wiemy nawet, czy ich źródła znajdują się blisko, czy bardzo daleko, na krańcu wszechświata. Zaproponowano wiele, zapewne zbyt wiele różnych wyjaśnień tego zjawiska. Przez jakiś czas zupełnie oszałamiająca ilość tych wyjaśnień budziła ogólną wesołość. Te, które i dzisiaj mogą być poważnie brane pod uwagę, mają jedną wspólną cechę: nie mogą być przetestowane, przynajmniej przy obecnym stanie techniki. Podejrzewam, że niektóre były specjalnie tak konstruowane, by wykluczyć możliwość rychłej weryfikacji.

Nasza praca nie wyjaśnia wszystkich typów obserwowanych błysków gamma, lecz tylko te, które są stosunkowo „miękkie” (to znaczy mało energetyczne) i powtarzają się w tym samym miejscu nieba. Wyjaśnienie jest proste, nie wymaga postulowania nieznanych dotąd niezwykłych obiektów lub procesów. Podlega

ono także prostemu, dającemu się przeprowadzić w najbliższej przyszłości, testowi obserwacyjnemu.

Myślę, że prostota naszego wyjaśnienia i perspektywa szybkiej weryfikacji jest tym, co przyciągnęło uwagę zarówno ekspertów jak i dziennikarzy. Proste idee są zawsze popularne.

M.A.: — *Dlaczego nikt nie wymyślił tego przedtem?*

P.L.: — Ja sam wpadłem na ten pomysł przypadkiem. Mój młodszy kolega, Michel Boer, pokazywał mi widma² miękkich błysków gamma. Przeglądając się im pomyślałem nagle, że przecież widziałem już takie widma! Były one bardzo podobne do widm białych karłów z silnymi polami magnetycznymi. (Przypomnę, że białe karły są to niejako gwiazdy na emeryturze: zakończyły one swoją ewolucję i powoli stygną). To podobieństwo sugerowało, że obiektem błysku może być namagnesowany biały karzeł. Przyczyna błysku powinna wiązać się z jakimś zewnętrznym czynnikiem, na przykład upadkiem komety. Upadki komet na Słońce były przecież obserwowane. To był, oczywiście, tylko pomysł. Potem, z innym kolegą, Jean-Marie Hameury, opracowaliśmy szczegóły. Policziliśmy, jakiego rodzaju błyski promieniowania gamma powoduje upadek komety na białego karła. Dokładny rachunek jest niezwykle trudny, a jego wyniki niepewne, gdyż procesy fizyczne wchodzące w rachubę nie są dobrze poznane. Nie jest to jednak istotne: przewidywania modelu mogą być łatwo sprawdzone i są niezależne od szczegółów.

M.A.: — *Kiedy i jak wasza teoria będzie sprawdzona?*

P.L.: — Myślę, że bardzo niedługo, być może za kilka miesięcy. Są dwa miejsca na niebie, z których dochodziły miękkie, powtarzające się błyski gamma. Niestety, w obu jest bardzo dużo gwiazd, tak iż stwierdzenie, czy znajduje się wśród nich magnetyczny biały karzeł może być trudne w praktyce i wymagać, na przykład, dokładnego zmierzenia bardzo drobnych ruchów własnych gwiazd. W zasadzie jednak takie pomiary są proste i na pewno zostaną dokonane. Ponieważ prawdopodobieństwo *przypadkowego* znalezienia dwóch magnetycznych białych karłów w z góry określonych miejscach na niebie jest niezwykle małe, fakt ich odnalezienia będzie dowodem na słuszność naszej teorii. Jeśli nie zostaną one odnalezione, będzie to oznaczać, że nasza teoria jest fałszywa.

Rozmawiał Marek ABRAMOWICZ

Monachium, 8 marca 1989

2. Widmem nazywamy rozkład promieniowania jakiegoś obiektu na wszystkie długości fali.

KONKURS IM. TOLI KORIAN NA PIEŚŃ LUB PIOSENKĘ

Dla upamiętnienia 30stej rocznicy zgonu znakomitej artystki, piosenkiarki i aktorki (†1983), grono jej kolegów, przyjaciół i wielbicieli postanowiło zorganizować konkurs na utwór piśmiowy.

Konkurs pragnie pobudzić oryginalną twórczość.

Warunki uczestnictwa są następujące:

1. Mogą w konkursie uczestniczyć osoby pochodzenia polskiego lub w inny sposób związane z polskością — bez względu na miejsce zamieszkania.
2. Utwory nadsyłane na konkurs powinny zawierać tekst i partyturę muzyczną. Te elementy składowe mogą być albo jednego autorstwa, albo stanowić wynik współpracy autora słów i autora muzyki.
3. Tematyka i charakter muzyczny są niczym nie ograniczone. Jest pożądane, aby utwory w jakiś sposób odzwierciedlały moment i los historyczny wspólnoty polskiej w Kraju i poza Krajem, ale w ocenie utworów stojących do współzawodnictwa będą ważyły przede wszystkim wartości artystyczne.
4. Utwory należy nadsyłać w dwu egzemplarzach na adres organizatorki konkursu: Szczęsna Michałowska, 50 Lambert Road, London, SW2 5BE, Great Britain. Tam również można zasięgnąć informacji, listownie lub telefonicznie (nr tel. 01-274-2356) w poniedziałki, wtorki, środy, godz. 11.00 - 13.00).
5. Termin nadsyłania utworów upływa z ostatnim dniem bież. roku. Ogłoszenie wyników nastąpi w styczniu 1990 roku.
6. Jury przyzna kilka nagród dla autora tekstu i kompozytora muzyki. Do konkursu dopuszczone będą również utwory oparte na tekstach dawnych lub posługujące się muzyką nieoryginalną. W tych przypadkach nagroda przypadnie tylko części (tekstom lub muzyce) oryginalnej.
7. Jury zastrzega sobie prawo udzielenia utworów nagrodzonych i wyróżnionych do ich pierwszej publicznej prezentacji teatrom Z.A.S.P. i Pro Arte w Londynie. Wszystkie dalsze wykonania będą wymagały zgody autorów.
8. Jury konkursu stanowią dwie piosenkiarki, dwaj muzycy (jeden z nich przyjaciół Czech), śpiewak operowy, dwaj pisarze o zainteresowaniach teatralnych i muzycznych. Są to (w porządku alfabetycznym: Renata Bogdańska, Zdzisław Broncell, Bernard Czaplicki, Irena Delmar, Franciszek Fiszer, Marian Nowakowski (przewodniczący) i Tymon Terlecki).

Organizatorzy proszą polską społeczność na całym świecie i prasę w Kraju o poparcie konkursu im. Toli Korian na pieśń lub piosenkę.

Katyn

O konsekwencjach prawnych Katynia

Nad katyńską mogiłą zbiorową wznosi się dzisiaj krzyż. W Katyniu odprawiane są msze święte. Z Katynia sprowadza się do Polski urny z nie ludzką ziemią. W sprawie Katynia odbywają się manifestacje publiczne. O Katyniu mówi się i pisze w Polsce z całkowitą niemal otwartością. Dzieje się tedy tak, jak się dzieć powinno w imię narodowej pamięci, która, tłumiona przez dziesiątki lat, znajduje wreszcie swój wyraz.

Wydaje się jednak, że wśród wszystkich tych manifestacji symbolicznych i werbalnych nie podniósł się dotychczas żaden głos, ani w Kraju ani na emigracji, dotyczący aspektów prawnych sprawy. Aspektów tych nie wolno pominąć, nawet jeśli materia jest sucha i może tylko słabo — jeśli w ogóle — zadośćuczynić narodowym emocjom. Artykuł niniejszy jest próbą wypełnienia tej luki.

Sprawa katyńska wprowadza nas w samo serce międzynarodowej odpowiedzialności państw, jednego z najtrudniejszych zagadnień prawa międzynarodowego. Może ono tutaj być co najwyżej najogólniej dotknięte, niemniej odnośne rozważania muszą odpowiedzieć na dwa pytania: 1) jakie są podstawy odpowiedzialności Związku Sowieckiego za mord katyński i 2) jakie z tej odpowiedzialności płyną konsekwencje.

1. U podstaw międzynarodowej odpowiedzialności państwa leży akt bezprawny, czyli akt dokonany z pogwałceniem istniejących norm prawa międzynarodowego. Kwalifikacja aktu jako bezprawnego wymaga tedy w każdym konkretnym wypadku identyfikacji norm, które zostały pogwałcone. Wobec ogromu zbrodni katyńskiej i nie podlegającej dyskusji oceny moralnej czynu,

tego rodzaju identyfikacja może wydać się czystą pedanterią. Tak nie jest. Akty moralnie odrażające nie są *ipso facto* pogwałceniem prawa międzynarodowego. Zbrodniarze hitlerowscy nie zostali przez Trybunał Norymberski skazani za przedwojenne akty bestialstwa wobec niemieckich opozycjonistów i Żydów, z motywacją, że akty te zostały dokonane przed wojną, a bez związku z planowaną agresją. Prawnik musi więc zarzut pedanterii przyjąć ze spokojem i podjąć rozumowanie mniej oczywiste niż reakcja i ocena moralna. Jakie więc normy prawa międzynarodowego zostały pogwałcone przez mord katyński?

a) Przypomnijmy przede wszystkim normę podstawową: suwerenność terytorialna pociąga za sobą obowiązek ochrony na własnym terytorium praw państw obcych i ich obywateli, zarówno w pokoju jak w wojnie. Sprawa jest dostatecznie ważna, aby nie wahać się przed przytoczeniem jej klasycznego sformułowania przez wielkiego prawnika szwajcarskiego, Maxa Hubera. Sformułowanie to jest tym bardziej miarodajne, że figuruje w sentencji międzynarodowego procesu przed Stałym Trybunałem Rozjemczym:

„*Territorial sovereignty... involves the exclusive right to display the activities of a State. This right has as corollary a duty: the obligation to protect within the territory the rights of other States, in particular their right to integrity and inviolability in peace and in war, together with the rights which each State may claim for its nationals in foreign territory*”¹.

Każdy odbiorca środków masowego przekazu napotyka niemal codziennie przykłady tego obowiązku w postaci ochrony placówek dyplomatycznych, ochrony przebywających na własnym terytorium szefów obcych państw, ministrów spraw zagranicznych, uczestników konferencji międzynarodowych etc., przed jakąkolwiek próbą zamachu ze strony poszczególnych jednostek, grup czy tłumów. Państwo terytorialne, które zaniedba takiego obowiązku, staje się odpowiedzialne, albowiem popełnia akt bezprawny *per omissionem*, przez zaniechanie.

Skoro więc państwo terytorialne musi chronić prawa państw obcych i ich obywateli, skoro brak takiej ochrony stanowi akt bezprawny przez zaniechanie, to jasne jest *a fortiori*, że nie może samo tych praw naruszać; innymi słowy, nie wolno mu dokonać aktu bezprawnego *per commissionem*, przez działanie.

1. Tłumaczenie: „Suwerenność terytorialna... oznacza wyłączone prawo sprawowania działalności państwowej. Odpowiednikiem tego prawa jest obowiązek: obowiązek ochrony na terytorium praw innych państw, w szczególności ich prawa do integralności i nienaruszalności w pokoju i w wojnie, wraz z prawami jakich każde państwo może domagać się dla swych obywateli na obcym terytorium”.

Mord katyński nie był dziełem jednostek, grup czy tłumów, dokonany w braku ochrony ze strony państwa terytorialnego. Mord katyński był dziełem samego państwa, popełnionym *per commissionem*, z rozkazu najwyższych władz państwowych przez organy państwowe. Akt bezprawny został popełniony bezpośrednio przez organy państwowe. Akt bezprawny został popełniony bezpośrednio przez samo państwo. Odpowiedzialność państwa terytorialnego nie jest odpowiedzialnością za zaniechanie, ale za działanie.

b) Ofiarami mordu katyńskiego byli jeńcy wojenni, kategoria szczególnie chroniona przez prawo międzynarodowe. Dotykamy tu prawa wojny, w szczególności tej jego części, która dotyczy ochrony ofiar wojny, a którą nazywamy prawem humanitarnym.

Prawo wojny kształtowało się przez całe wieki jako prawo zwyczajowe, przebywając długą a mozolną drogą od rozpasania i barbarzyństwa do coraz większej humanizacji i precyzji. W swoich głównych zarysach osiąga bardzo już wysoki stopień krystalizacji w 18-tym wieku. Tzw. „doktryna Rousseau-Portalis” jest zarazem stwierdzeniem osiągniętego stopnia rozwoju i wyznaczeniem drogi na przyszłość.

Pisał Rousseau:

„*La guerre n'est donc point une relation d'homme à homme, mais une relation d'Etat à Etat, dans laquelle les particuliers ne sont ennemis qu'accidentellement, non point comme hommes, ni même comme citoyens, mais comme soldats; non point comme membres de la patrie, mais comme ses défenseurs. Enfin, chaque Etat ne peut avoir pour ennemis que d'autres Etats*”²...

Doktrynę Rousseau przejął w płaszczyźnie oficjalnej Portalis, najsławniejszy prawnik ery napoleońskiej i jeden z głównych architektów kodeksu cywilnego. Nad koncepcją obu unosi się duch monteskjuszowski:

„*Le Droit des gens est naturellement fondé sur ce principe que les diverses nations doivent se faire dans la paix le plus de bien, et dans la guerre le moins de mal possible, sans nuire à leurs véritables intérêts*”³.

2. *Contrat social*, liv. I, ch. IV. Tłumaczenie: „Wojna nie jest więc stosunkiem człowieka do człowieka, ale państwa do państwa; jednostki są w niej nieprzyjaciółmi tylko przypadkowo, nie jako ludzie, nawet nie jako obywatele, ale jako żołnierze; nie jako członkowie ojczyzny, ale jako jej obrońcy. Wreszcie, nieprzyjaciółmi państwa mogą być tylko inne państwa...”.

3. *Esprit des lois*, liv. I, ch. III. Tłumaczenie: „Prawo narodów opiera się w naturalny sposób na tej zasadzie, że różne narody winny czynić sobie w czasie pokoju jak najwięcej dobra, zaś w czasie wojny jak najmniej zła, bez szkody dla ich prawdziwych interesów”.

Wyrosła z ducha Oświecenia doktryna Rousseau-Portalis nie jest prywatną mrzonką dwóch wybitnych jednostek. Jest wyrazem narosłej świadomości cywilizowanej ludzkości. Rzutuje na wszystkie aspekty prawa wojny, w tym na status jeńców wojennych. Może warto, w jubileuszowym roku Rewolucji Francuskiej, przytoczyć dekret Zgromadzenia Narodowego z 4 maja 1792, oddający jeńców wojennych pod opiekę narodu francuskiego („*Les prisonniers de guerre sont sous la sauvegarde et protection de la nation*”) i przewidujący sankcje karne za wszelkie popełnione wobec nich akty brutalności, gwałtu czy obrazy w tej samej mierze, jak gdyby akty te były popełnione wobec obywateli francuskich. („*Toute rigueur, violence ou insulte commises envers un prisonnier de guerre, seront punies comme si ces excès avoient été commis contre un citoyen français*”).

Czym zatem jest, a czym nie jest niewola wojenna w koncepcji i praktyce świata cywilizowanego?

Otóż nie jest ani karą ani zemstą. Jest tylko i wyłącznie środkiem pozbawienia przeciwnika rezerw wojskowych. Ta właśnie koncepcja leży u podstaw takich zjawisk, jak wymiana czy wręcz zwalnianie ciężko rannych i chorych, jako nienadających się do służby wojskowej, jak również zwalnianie jeńców „na słowo”, czyli w zamian za obietnicę nieuczestniczenia w przyszłości w działaniach wojennych. Niewola wojenna ogranicza się zatem do uniemożliwienia jeńcom wszelkiej dalszej akcji wojennej przeciw państwu, które ich pojmało. Dopuszcza więc wszystko, co temu celowi służy — przede wszystkim internowanie — wykluczając wszelki element represyjny jako nie mający nic wspólnego z jej celem i sensem. Stąd już stare prawo zwyczajowe chroni wszystkie dobra, które nawet w niewoli ochronić można nie naruszając jej racji bytu: życie jeńców, ich zdrowie, bezpieczeństwo i godność oraz powrót do ojczyzny po zakończeniu działań wojennych.

Postępująca od drugiej połowy XIX wieku stała i coraz bardziej pogłębiona kodyfikacja prawa wojny we wszystkich jej aspektach nie uchyla w najmniejszej mierze mocy obowiązującej prawa zwyczajowego, nadając mu tylko wyraz bardziej precyzyjny. W procesie norymberskim obrona usiłowała usprawiedliwić popełnione na jeńcach sowieckich zbrodnie niemieckie argumentem, że Rosja sowiecka nie była stroną konwencji genewskiej o jeńcach z 1929 roku, że więc konwencja nie obowiązywała żadnej ze stron. Można skądinąd mieć najdalej idące zastrzeżenia wobec norymberskiego przedsięwzięcia, ale nie sposób nie przyznać racji wyrokowi, kiedy odrzuca ten argument jako bezwartościowy wobec istnienia ogólnie obowiązującego prawa zwyczajowego w tej dziedzinie. Jeszcze raz wróci wyrok do tej sprawy odnośnie konwencji haskiej z 1907 roku, stwierdzając: „*En 1939,*

ce règles, contenues dans la Convention, étaient admises par tous les Etats civilisés et regardées par eux comme l'expression, codifiée, des lois et coutumes de la guerre...”. Tym samym Trybunał Norymberski poprawnie stwierdza uniwersalną moc obowiązującą prawa zwyczajowego, niezależnie od stosunków traktatowych między państwami. W swoim obszernym votum odrębnym sędzia sowiecki nie zgłosił żadnych zastrzeżeń odnośnie tej, jedynie słusznej, tezy, wyrażając tym samym jej akceptację.

Podsumowując: zwyczajowe prawo wojny — jak każde prawo zwyczajowe — obowiązuje wszystkie bez wyjątku państwa, niezależnie od zobowiązań traktatowych. Obowiązywało więc w krytycznym okresie Związek Sowiecki.

Inaczej ma się rzecz z prawem traktatowym, które w zasadzie obowiązuje tylko strony. Wypada tu rozprawić się z dość rozpowszechnionym mniemaniem, jakoby Związek Sowiecki nie miał w tej materii żadnych zobowiązań. Tak nie jest. Prawdą jest — o czym już była mowa — że Związek Sowiecki nie przystąpił do konwencji genewskiej o ochronie jeńców wojennych z 1929 roku. Ale równie prawdą jest, że Rosja carska była stroną IV-tej konwencji haskiej z roku 1907, z jej regulaminem normującym prawa i zwyczaje wojny lądowej, którego rozdział II zawiera przepisy chroniące jeńców wojennych. Jeśli regulamin z roku 1907 jest niewątpliwie mniej szczegółowy niż konwencja z roku 1929, to przecież zawiera wszystkie fundamentalne postanowienia dotyczące statusu i ochrony tych jeńców.

Zgodnie z zasadą ciągłości państw, Związek Sowiecki był zatem w krytycznym okresie związany IV-tą konwencją haską i jej regulaminem. To nie jest teoretyczno-akademicka konstrukcja, ale oficjalne stanowisko rządu sowieckiego. 8 sierpnia 1941 roku ówczesny komisarz ludowy do spraw zagranicznych, Wyszynski, telegrafował do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża:

„...*le Commissaire du Peuple aux Affaires étrangères a l'honneur, d'ordre du Gouvernement soviétique, de vous faire part que le Gouvernement soviétique a déjà informé par sa note du 17 juillet a.c. le Gouvernement de Suède, qui représente les intérêts de l'URSS en Allemagne, que l'Union soviétique considère obligatoire pour soi les règles de la guerre qui sont exposées dans la quatrième Convention de La Haye du 18 octobre 1907*”

4. *Procès des grands criminels de guerre devant le Tribunal militaire international. Nuremberg, 14 novembre 1945 — 1^{er} octobre 1946. Edité à Nuremberg, Allemagne, 1947. Texte officiel en langue française. Tome I, Documents officiels, str. 343 i 267. Tłumaczenie: „W roku 1939 normy te, zawarte w konwencji, były przyjęte przez wszystkie państwa cywilizowane i traktowane przez nie jako skodyfikowany wyraz praw i zwyczajów wojny...”*

concernant les lois et coutumes de la guerre sur terre, sous condition obligatoire que les règles susmentionnées soient observées dans la guerre par l'Allemagne et ses alliés⁵...".

Telegram Wyszyńskiego stanowi dokument kluczowej wagi odnośnie sowieckich zobowiązań traktatowych w sprawie ochrony jeńców wojennych. Jasno, wyraźnie i bez zastrzeżeń — poza arcyrozsądnym zastrzeżeniem wzajemności — uznaje moc obowiązującą konwencji haskiej dla Związku Sowieckiego⁶. Oczywiście, deklaracja sowiecka odnosi się bezpośrednio do będącej w toku wojny sowiecko-niemieckiej. Niemniej przekracza te ramy. Jeśli bowiem IV-ta konwencja haska obowiązywała Sowiety w sierpniu 1941 roku, to obowiązywała je również w latach poprzedzających tę datę, konkretnie: od roku 1907 bez przerwy. Na pewno można sobie wyobrazić wygaśnięcie konwencji w jakiś prawem przewidziany sposób: natomiast nie można sobie wyobrazić, aby wygasła w tajemniczy, nigdy i nigdzie nie ujawniony sposób konwencja zmartwychwstała nagle na nowo, bez żadnej czynności prawnej odnośnej strony. Stąd wniosek, że konwencja haska z 1907 roku, oficjalnie uznana za obowiązującą w sierpniu 1941, nigdy nie przestała obowiązywać Związku Sowieckiego i obowiązywała go zatem w okresie krytycznym.

Odpowiedź na nasze pierwsze pytanie brzmi przeto: w płaszczyźnie prawa międzynarodowego mord katyński stanowi: po pierwsze, pogwałcenie podstawowej normy łączącej suwerenność terytorialną z obowiązkiem ochrony państw obcych i ich obywateli; po drugie, pogwałcenie humanitarnego prawa wojny, zarówno zwyczajowego jak traktatowego. Stąd płynie międzynarodowa odpowiedzialność Związku Sowieckiego za mord katyński. Nie zachodzi żadna z przewidzianych prawem okoliczności wyłaczających tę odpowiedzialność.

2. Z odpowiedzialności międzynarodowej wynikają konkretne konsekwencje. Są to konsekwencje ciężące na państwie w jego

5. Durand, *Histoire du Comité International de la Croix-Rouge — De Sarajevo à Hiroshima*. Institut Henry-Dunant, Genève, 1978, str. 436. Tłumaczenie: „... z polecenia rządu sowieckiego, komisarz ludowy do spraw zagranicznych ma zaszczyt zawiadomić Panów, że rząd sowiecki, notą z 17 lipca br., poinformował już rząd Szwecji, reprezentujący interesy ZSSR w Niemczech, że rząd sowiecki uważa za obowiązujące go normy prawa wojny, wyłożone w czwartej konwencji haskiej z 18 października 1907, dotyczącej praw i zwyczajów wojny lądowej, pod obowiązującym warunkiem, że wyżej wspomniane normy będą przestrzegane w wojnie przez Niemcy i ich sojuszników...”. Podkreślenia moje.

6. Dla porządku dodać należy, że mimo tego względnie obiecującego początku i mimo niezamordowanych wysiłków Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, nie udało się objąć opieką jeńców w wojnie sowiecko-niemieckiej, w wyniku zdecydowanie złej woli obu stron.

ciągłości; nie może ich uchylić ani zmiana systemu, ani tym mniej zmiana ekipy rządzącej.

Leżące u podstaw odpowiedzialności pogwałcenie prawa pociąga za sobą obowiązek reparacji. Ta ostatnia może przybierać różne formy.

Idealną formą reparacji jest tzw. restytucja *ad integrum*, czyli przywrócenie sytuacji, która by istniała, gdyby akt bezprawny nie został dokonany. W świecie realnym taka możliwość jest rzadka, w naszym wypadku w ogóle nie wchodzi w rachubę: pomordowanym w Katyniu nikt życia nie wróci.

Wszędzie tam, gdzie restytucja jest niemożliwa, reparacja przybiera formę odszkodowania. Jest oczywiście coś bolesnego w przeliczaniu ludzkiego cierpienia na pieniądze — Nadieżda Mandelsztam pisze z gryzącą ironią o tym, ile w przeliczeniu na ruble wart jest zamordowany poeta — ale nie ma tu innego wyjścia. Odszkodowanie pozostaje formą reparacji przyjętą w całym cywilizowanym świecie. Dodajmy, że obowiązek odszkodowania za pogwałcenie regulaminu ustala *expressis verbis* artykuł 3 obowiązującej Sowiety konwencji haskiej. Żyją jeszcze liczne rodziny ofiar katyńskich. Należy im się od Związku Sowieckiego odszkodowanie i to w jak najpoważniejszej skali.

Obok odszkodowania, prawo międzynarodowe zna jeszcze inną formę reparacji, mianowicie satysfakcję. Odszkodowanie ma charakter materialny; satysfakcja ma charakter moralno-symboliczny. Przybierała w historii różne formy: uroczyste przeproszenie, specjalne honory oddane sztandarowi państwa pokrzywdzonego, misja ekspiacyjna, religijna uroczystość ekspiacyjna etc. Jakiś gest tego uświęconego tradycją zwyczaju należy się Polsce od Sowietów, niezależnie od odszkodowania i równoległe z nim. Treści tego gestu nie sposób w tej chwili przesądzać: niechby to był na przykład pomnik ekspiacyjny.

Pozostaje wreszcie sprawa ukarania winnych. Nie żyją już główni inicjatorzy zbrodni, podówczas najwyższe organy państwowe ZSSR. Jest natomiast wysoce prawdopodobne, że przeżyło wielu wykonawców. Jest obowiązkiem Związku Sowieckiego tych ludzi odszukać i oddać w ręce sprawiedliwości.

Na taką operację nie jest za późno. Jak wiadomo, do dziś dnia ciągną się procesy przeciw zbrodniarzom wojennym drugiej wojny światowej — wystarczy przypomnieć niedawny proces we Francji kata Lyonu, Klausego Barbie. Powodem tak wielkich opóźnień były trudności czy to w odnalezieniu winnych, czy to w postawieniu ich przed sądem. Podstawą prawną było — i jest nadal — zniesienie przedawnienia zbrodni wojennych. W płaszczyźnie prawa wewnętrznego przedawnienie takie zostało uchylone przez ustawodawstwo całego szeregu państw, w tym przez

Związek Sowiecki dekretem z 4 marca 1965 roku. W płaszczyźnie prawa międzynarodowego przedawnienie zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości zostało uchylone konwencją z 26 listopada 1968, ratyfikowaną przez ZSSR 22 kwietnia 1969.

Należy w końcu rozpatrzyć sprawę kompetentnego sądu. Trybunał Norymberski — jak zresztą i Trybunał Tokijski, który nas z oczywistych względów nie dotyczy — był instytucją *ad hoc* i przestał istnieć po wydaniu wyroku. Nie istnieje międzynarodowy trybunał karny⁷. W tym stanie rzeczy wszystkie następujące po Norymberdze procesy zbrodniarzy wojennych toczyły się przed sądami wojskowymi alianckimi w okresie okupacji Niemiec, zaś po zakończeniu tej okupacji albo przed sądami państw alianckich, albo przed sądami niemieckimi. Także w sprawie Katynia nie ma innego wyboru: kompetentne tutaj mogą być tylko sądy sowieckie albo polskie; sowieckie jako państwa, które dokonało zbrodni, polskie jako państwa, na którego obywatelach zbrodni dokonano. Pomijając nawet ogromne trudności, jakie nasuwałaby sprawa ekstradycji, wydaje się słuszne, aby były to sądy sowieckie, aby Związek Sowiecki wziął sam na siebie przytłaczający ciężar sprawy i sam rozprawił się z własną przeszłością na oczach świata i własnego społeczeństwa.

Podsumowując: w sprawie Katynia strona polska musi domagać się: odszkodowania, satysfakcji i ukarania winnych.

Używałam w tym artykule konsekwentnie słowa „Katyń”. Używałam go skrótowo, symbolicznie i zastępczo, jako *pars pro toto* na określenie całości zbrodni popełnionej na wszystkich bez wyjątku jeńcach polskich zaginionych w ZSSR. Zakładam, że tak właśnie używamy go wszyscy, w Kraju i na emigracji. Nie dopuszczam nawet myśli, aby mogło być inaczej.

Może jednak warto by na przyszłość zrewidować tę przyjętą skrótowo-symboliczną terminologię wobec niebezpieczeństw, które może ze sobą nieść. Bowiem zawężona do słowa „Katyń”, może na przestrzeni czasu okazać się złowroga dla naszej własnej świadomości, zwłaszcza dla świadomości młodego pokolenia, która

7. Zdarza się słyszeć głosy, sugerujące jakąś bliżej niesprecyzowaną rolę Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. Jest to niebotyczne nieporozumienie. Zasadniczą funkcją Trybunału jest rozstrzyganie sporów między państwami i wyłącznie państwa mogą być stronami przed Trybunałem, przy czym poddanie sporu pod jego jurysdykcję wymaga zgody stron. Dla porządku dodać należy, że Trybunał Haski jest także kompetentny do udzielania opinii doradczych Zgromadzeniu Ogólnemu i Radzie Bezpieczeństwa ONZ oraz innym upoważnionym organom ONZ i organizacjom wyspecjalizowanym. W żadnym wypadku nie ma kompetencji karnej.

może doznać przerażającej amputacji, dla opinii światowej, dla naszego dalszego dialogu z Sowietami, dla naszych postulatów.

Wiemy wszyscy: w Katyniu zginęli jeńcy polscy wyłącznie z obozu w Kozielsku. Co stało się z jeńcami z Ostaszkowa i ze Starobielska, o których czasie i miejscu kaźni do dziś dnia nic nie wiadomo? Katyń jest w jakimś koszmarnym sensie miejscem uprzywilejowanym: został odkryty, zbadany, sfotografowany, udokumentowany, miał swoich świadków, przebadały go fachowe komisje i doczekał się oceny historycznej, politycznej i literackiej. Nad miejscami straceń jeńców z Ostaszkowa i Starobielska zapadła cisza. Nie odkryto miejsca zbrodni, nie znalazł się ani jeden świadek, nie istnieje żadna dokumentacja, nie działała żadna komisja, nie wypowiedziała się żadna instancja. A przecież jest to ta sama sprawa.

Nie wolno nam zadowolić się jedną trzecią prawdy. Los ofiar katyńskich nie może przesłonić losu ofiar z tamtych dwóch obozów. Nie możemy akceptować rozwiązań kalekich i wysuwać kalekich postulatów. Maksymalne nawet zadośćuczynienie za Katyń nie może stanowić zadośćuczynienia za dwa inne, nieznanne Katynie. W imię prawdy historycznej, w imię długu wobec ofiar, w imię powagi i wiarygodności naszych własnych żądań, jesteśmy ofiarom z Ostaszkowa i Starobielska winni to samo, co winni byliśmy i jesteśmy ofiarom z Kozielska. W ich sprawie więc strona polska musi domagać się tego wszystkiego, czego domaga się w sprawie Katynia: ujawnienia prawdy, ustalenia odpowiedzialności i wyciągnięcia konsekwencji, o których była tu mowa.

Krystyna MAREK

Wrzesień 1939, Starobielsk

(WSPOMNIENIE ŻOŁNIERZA)

Rolnik ze wsi Batorz w województwie tarnobrzeskim, Franciszek Grela, powołany jako szeregowiec do służby wojskowej w sierpniu 1939 roku, został przydzielony do kompanii, mającej pełnić funkcję osłonową w rejonie Kut, czyli tak zwanego mostu rumuńskiego. Po wzięciu do niewoli przez oddział Armii Czerwonej zostaje wywieziony do obozu w Starobielsku, jednak po niedługim czasie zostaje przekazany na linię Bugu władzom niemieckim w ramach wymiany jeńców. Za Lublinem wyskakuje z pociągu wiozącego jeńców do Niemiec. Wspomnienia swoje z tych dni i tygodni spisał kilka lat temu, ciężką spracowaną ręką starego człowieka, który dobrze jednak zapamiętał tamte dni. Zachował ortografię, pisownię i wymowę fonetyczną oryginału, pięknie zaświadczaając autentyczność wspomnienia czło-

wieka, który ukończył dwie klasy szkoły powszechnej. Nie do oddania jest tylko sam dukt pisma, a piszę o tym dlatego, że jako człowiek, który wiele dni i godzin spędził nad odczytywaniem relacji i listów z Koziełska, Ostaszkowa i Starobielska — nauczyłem się widzieć w dukcie pisma coś bardzo ważnego, chociaż nieprzekazywalnego w druku. W sytuacji, w której publikuje się przede wszystkim wspomnienia inteligentkie (wspomniałem wyjątkiem jest książka Grossów *W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali*) warto przypomnieć, co przeżywał prosty polski żołnierz, wierny syn tej ziemi. Dwadzieścia stron rękopisu Franciszka Greli uzyskałem dzięki staraniu i uprzejmości pana Tadeusza Stolarza z Warszawy.

Jacek TRZNADEL

WSTĘP DO MOICH WSPOMNIENI

Jusz po wojnie czterdzieści lat i ani w radju ani w telewizji nie jes ogłoszone prawdy jak się zaczęła druga wojna światowa. Otusz ja pamiętam że było tak: Chitler ze Stalinem zmuwili się żeby rozebrać Polskę. Niemcy uderzyli od zachodu za kilka dni bolszewiki uderzyli od wschodu. Polacy bronili się przed Niemcami i nawet stawiali opór a gdy od wschodu zaatakowały bolszewiki to Polaki zrezygnowały z walki ponieważ nie było racji oddać życia bo i tak się nie obroni. Żołnierze Polscy uciekali zagranicę lub się kryli w domach i lasach, kurzy nie zdążyli ucieknąć to dostali się do niewoli do Niemiec albo do Rosji. Jusz przez czterdzieści lat w środkach masowego przekazu mówi się o ziemiach odzyskanych na zachodzie ale nigdy nie wspomina się ile straciliśmy na wschodzie. Otusz na wschodzie straciliśmy mniej jak pół dawnej przedwojennej Polski a więcej jak jedną trzecią. Na północy Polska graniczyła z Łotwą w województwie Wilińskim a południu z Węgrami woj. Lwowskie.

Moje wspomnienia naświetlają początki wojny.

WSPOMNIENIA Z WOJNY

26 sierpnia 1939 roku zostałem powołany do wojska do Sarn tam zostałem umundurowany, była to kompania graniczna 600 żołnierzy na zasilinie straży granicznej na granicy bolszewickiej. Mieszkaliśmy w koszarach gdy nadchodziły samoloty to uciekaliśmy do lasu ktury był obok koszar. Po kilku dniach przyszedł rozkaz żeby jechać w głąb kraju przyjechała ciuchcia i cała kapanja załadowała się na wagony, było za ciężko wagony kilka razy spadały z torów, w ciągu pół dnia przejechalśmy 10 kilometrów. W ty czasie przyszedł rozkaz żeby wracać spowrotem. Wruci-

liśmy ale już nie do koszar tylko do granicy na strażnice do obiektów. (Obiekt jest to bunkier zbudowany z betonu i żelaza pół w ziemi pół na wierzchu). Do obiektu weszliśmy pod osłoną nocy. Było nas 30 dowudca był porucznik ale zginął przy wejściu. Został zastępca podporucznik rezerwy. Jak dochodziliśmy do obiektu to jusz Rusiny były przy obiekcie rzuciliśmy granatami i weszliśmy do obiektu. W obiekcie nic nam nie mogli zrobić, rzucali granaty pod drzwi ale nas to nie raziło. W obiekcie jedni płakali, drudzy przeklinali a trzeci położyli się i spali. Na ostatku po kilku godzinach zaczęliśmy z rusinami rozmawiać. Bolszewiki namawiali żeby się poddać, gwarantowali że krzywdy nam nie zrobią, żeby zostawić płaszczce broń i amunicję, wyjść w mundurach i grozili że nas podminują. My w obiekcie dyskutowaliśmy czy się poddać czy nie. Jak się poddamy to niewiadamo co może być a jak się nie poddamy to napewno śmierć. Najgorzej nie godził się dowódca podporucznik, rozkazywał nam żeby się nie poddawać, a jak nie słuchaliśmy, to prosił muwił: żołnierze Polacy przecież przysięgaliście że dotrzymacie wierności oczynnie a teraz chcecie się poddać i zdradzić ojczyzne. Ostatecznie dowódca też musiał się zgodzić.

Wychodziliśmy pojedynczo z obiektu, kazali stawać w dwuszeregu. Wokół obiektu leżały rusiny z maszynowymi karabinami. Gdy już wszyscy wyszli dowódca ruski powiedział: oficerowie wystap, nasz dowódca wystąpił pięć kroki od szeregu. Rusin jeszcze kilka razy powtarzał oficerowie wystap. Gdy jusz nikt nie występował wziął jednego żołnierza z czoła dwuszeregu i powiedział: skazuj oficera, jak nie skarzesz to ciebie zastrzelę. Prowadził go przed frontem dwuszeregu i pytał się, wskazując na żonieży czy ten, czy ten, żołnierz na każdego muwił przecząc że nie jest oficerem. Ponieważ był tylko jeden oficer ktury jusz wystąpił. Wtenczas ruski dowódca sam wybrał z szeregu jeszcze czterech żołnierzy. Byli to dwóch kaprali i dwóch zwykłych żołnierzy. Dowódca kazał im dołączyć do porucznika ktury stał pięć kroki od szeregu. Wszyscy prosili żeby ich nie zabijać, każdy prosił na swój sposób. Porucznik tłumaczył że on nie jest zawodowym oficerem tylko jest w cywilu że go powołano do rezerwy, prosił towarzysze nie odbierajcie mi życia, ja będę pracował razem z wami. Ja nigdy nie byłem przeciwko komunizmowi. Znał język rosyjski i wszystko tłumaczył po rusku. Następny żołnierz tłumaczył że jest kowalem nie jest panem i pokazywał ręce jakie ma odciski. On także umiał mówić po rosyjsku. Następni trzej żołnierze mało muwili tylko płakali. Ruski dowódca mało ich słuchał tylko krzyczał: małczyj, zawołał pięciu żołnierzy z karabinami i pokazał: ty tego ty tego a ty tego. Powiedział jakoś po rosyjsku w imieniu Stalina i rewolucji, strzelaj i strzelili. Widziałem jak zabitym żołnierzom uginają się nogi puźniej się prze-

wracali. Jak już wszyscy leżeli to żaden się nie ruszał. Następnie dowódca przychodził do każdego i na leżąco strzelał do każdego do którego strzelił to każdy podskoczył i upadł.

Nas pozostających odprowadzili do lasu i kazali siadać, gdy siedzieliśmy na ziemi posterunki naokoło pilnowały. Za godzinę przyszedł oficer ruski w randze Majora i muwił tak: między wami jeszcze jest dwóch oficerów, wskażcie ich. Chodził koło nas i pytał, może ten, może ten, my tłumaczyli że nie ma oficera, jakiś czas pochodził i popytał i odszedł. Za godzinę przyszedł spowrotem i powiedział: wskażcie oficerów, jak nie wskażecie to wystrzelamy wszystkich. I tak dłuższy czas chodził koło nas i muwił, namyślcie się dopuki nie za późno. Ostatecznie odszedł i więcej nie przychodził.

Po kilku godzinach kazali nam wstać i przyprowadzili do następnego obiektu który był zminowany, wychodzili z niego żołnierze pokaleczeni i poparzeni. Kturzy nie mogli wyjść to wynosili i wyprowadzali ruskie sanitariusze i sanitariuszki zaraz bandażowali im rany i załadowali na samochody. Zdrowi dołączyli do nas, zdrowych było dwunastu, wszystkich w obiekcie było trzydziestu, więc prawie dwie trzecie było zabitych i rannych. Nas prowadzili pieszo za frontem od południa do wieczora. Gdy słońce było już nisko przyprowadzili do lasu i kazali siadać. Była ładna trawa, jak żeśmy siadli to od razu usnąłem, obudziłem się na drugi dzień jak już słońce zeszło. Ponieważ dwie noce nie spaliśmy wcale. Następnie przyprowadzili nas do kuchni polowej i dali nam kapusty miskę na pięciu. Była bardzo dobra ponieważ dość nie jedliśmy. Po siadaniu dali nam po bochenku chleba i po bryle cukru, podjechały samochody, powsiadaliśmy w głąb rosji. Były to samochody ciężarowe odkryte, były w nich ławki. Rusiny używały tych samochodów jako osobowe.

Za dzień i noc przyjechaliśmy do obozu. W obozie mieszkaliśmy w wielkim budynku, nazywał się klub, spaliśmy na drzewianej podłodze. Codzień przyjeżdżały transporty z jeńcami. Były różne budynki, były magazyny, różne baraki, była cerkiew. W cerkwi była posadzka to do spania dali słomiane maty. W cerkwi w wielkim ołtarzu był namalowany wielki na całą ścianę Stalin. W pierwszym tygodniu przywozili samych żołnierzy, w drugim tygodniu przywieźli transport tysiąc pięćset samych oficerów, drugi transport samej policji. Oficerowie i policja mieszkali w barakach. Żołnierzy nie brali do roboty a oficerowie i policja codzień śli na robotę. Przykro było patrzeć jak polscy oficerowie takie staruszki codzień stali na zbiórce. Z rana drżeli z zimna, niekturzy mieli płaszcz a niekturzy mieli koce którymi przykrywali ramiona a niekturzy w mundurze drżeli z zimna. Połowa oficerów to byli doktorzy. Wszystkie ambulanse cofały się przed frontem na wschód, rusiny weszły i zabrały do niewoli.

Kierownicy obozu robili nam wykłady polityczne przy okazji pytaliśmy czy nas zwolnią. Powiedzieli tak że wy wkrótce pojedziecie do domu. Pytaliśmy czy oficerowie też pojadą to powiedzieli że oficerowie i policja nigdy nie pojadą do domu że będą u nas rabotać do śmierci. Przynosili gazety dla niewolników drukowane po polsku. W pewnej gazecie była mapa Polski na kturzej była wyrysowana linja na wiśle i było napisane: lenja demakracyjna pomiedzy rosją a niemcami na wiśle. Za tydzień na gazecie znów jest mapa Polski i jest narysowana linja ale na Bugu i jest napisane linja demakracyjna pomiedzy Rosją a Niemcami na Bugu.

Jedzenia było trochę za mało na dzień dawali osiemset gram chleba i raz na dzień zupy na oleju było trochę za mało. Gdy muwiliśmy że mało nam dają jedzenia to muwili że jest to norma dla wojenno plennych. Przychodzili pisarze i spisywali wszystkich imię i nazwisko stopień wojskowy i miejsce zamieszkania. Po tych spisach wyczytali tych kturzy mieszkali za bugiem, zabrali na pociąg i powieźli. Po dwóch tygodniach my mieszkańcy na zachód od Bugu do łagrze wyjechali. Załadowali nas do wagonów towarowych po czterdziestu do jednego wagonu, dali nam deski żeby zrobić sobie ławki, gdy zrobiliśmy ławki to wagony pozamykali i transport ruszył. Było nas około półtora tysiąca. W jednym wagonie jechały kobiety i dzieci kturze przyjechały do obozu z oficerami. Gdy Niemcy zaatakowali Polskę to oficerowie razem z wojskiem cofali się na wschód. Niekturzy z całą rodziną z żonami i dziećmi, byli to przeważnie doktorzy. Gdy bolszewiki weszły w głąb Polski to zabrali bez walki oficerów i policje i zawieźli do obozu.

Jeżeliśmy dziesięć dni przez jakie miejscowości nie wiem, wiem tylko że przez Kijów ponieważ transport stał godzinę w Kijowie. Po dziesięciu dniach dojechaliśmy do rzeki Bóg, na rzece most był zminowany tylko był most zastępczy z gumowych rur nadętych powietrzem. Niemcy z Rusinami robili wymianę jeńców Polskich żołnierzy kturych zabrali podczas inwazji na Polskę od zachodu Niemcy od wschodu Rusiny. Niemcy oddawali tych kturzy mieszkali za Bógiem a Rusiny oddawali tych kturzy mieszkali na zachód od Bóga. Na moście stali oficerowie, na jednym boku rusin, na drugim boku niemiec a środkiem śli jeńcy i liczyli obaj. Najprzód Niemcy prowadzili i oddali rusinom, jak Niemcy skończyli to Rusiny prowadzili nas z każdego wagonu osobno a było nas w wagonie czterdziestu. Prowadzili dwujkami a naokoło straż piętnastu z karabinami w rękach a na karabinie trzykantowy bagnet. Na moście także rachowali.

Gdy prześliśmy przez most to stał Niemiec, pokazał nam żeby iść zanim pokazał na migi że w Lublinie będziemy jeść kazał wejść do wagonu, zamknął i odszedł. Gdy wszyscy weszli do

wagonów pociąg ruszył, dojechał do Chełma. Gdy stanął to się ludzie zeszli i nanieśli żywności, mleko herbatę rozmaite ciasta, Niemcy nie bronili, jeszcze porostwierali drzwi. Tyle ludzie nanieśli, że się wszyscy najedli cały transport. Gdy pociąg ruszył to zatrzymał się w Lublinie na stacji towarowej. W Lublinie Polski czerwony krzysz dał nam obiad, Niemcy poodmykali wagony i wychodziliśmy z wagonu po czterdziestu i wchodziliśmy do sali gdzie dawali obiad przy wejściu, dawali talerz i łyżkę i stawialiśmy w kolejce do okienka gdzie rozdawali zupę. Po zjedzeniu zostawialiśmy talerze na stole. Kobiety które obsługiwały prosiły żeby nie zabierać naczyń ze sobą. Po kolei zchodziliśmy zpowrotem do wagonów. Pytaliśmy ludzi kturzy tam przychodzili, czy nas puszczą czy puszczają jeńców do domu. Jedni nie chcieli muwić tylko kiwali głowami, niekturzy mówili półgłosem: puszczą tego kto ucieknie. Wagony towarowe w kturzych jechaliśmy były różne, u jednych były okna duże i zakratowane, inne miały okna wąskie długie i zasiatkowane i były takie co były nie zakratowane. Ja i moi koledzy z jednego wagonu wybraliśmy taki wagon ktury był nie zakratowany z zamiarem ucieczki gdy się ściemni. Pomiędzy jeńcami krążyła taka bajka że Niemcy zawiozą nas do Radomia i rozpuszczą. Byli tacy co uwierzyli ale nie wszyscy. Kturzy weszli do wagonów zakratowanych to pojechali do Niemiec i powrucili w 45 roku za pięć lat.

Pociąg dysząc ciężko ruszył z Lublina na zachód, słońce było nad zachodem. A było tak że nas dwóch którzy mieszkaliśmy na południe od Lublina, reszta mieli miejsce zamieszkania na zachód od Lublina. Więc ja i kolega Michał jechaliśmy od domu a reszta jechali w kierunku domu więc jeszcze nie chcieli uciekać. Z Michałem umuwiłiśmy się że ja skoczę pierwszy i będę szedł po prawej stronie toru do przodu. Jak nie będzie strzału to Michał skoczy i będzie szedł do tyłu arz się spodkamy. Koledzy kturzy jechali dalej muwili że tesz będą wyskakiwać jak dojadą bliżej swojego domu. Wszyscy mi radzili żeby wyskoczyć, podsadzali mnie do okna ponieważ okna były wysoko. Wcisnąłem się przez okno, gdy jusz wyszedłem do połowy, to przytrzymałem się ręką za brzek okna, opuściłem się z gury i wyjąłem z okna nogi i opuściłem zgóry trzymając się okna ręką. Spojrzałem jak daleko do ziemi, czy nie ma jakich przeszkód, odepchnąłem się nogami od wagonu i skoczyłem na ziemię. Położyłem się twarzą do ziemi i czekałem aż przejdzie pociąg, gdy pociąg jusz przejechał wstałem i rozejrzałem się gdzie jestem. Był to las koło toru wycięty. Poczujęm się bardzo szczęśliwy że jestem wolny na ziemi. Był las, w górze świeciły gwiazdy a ja stoję na ziemi i jestem wolny i mogę iść gdzie chcę. Pierwszy raz w życiu odczułem co to jest wolność.

Franciszek GRELA

Książki

O słownikach biograficznych

„Zaraz po śmierci Stalina — wspomina Jan Nowak w pierwszym tomie *Wojny w eterze* — Bierut postanowił przemianować Katowice na Stalinogród. Niedaleko Monachium proboszczem parafii polskich uchodźców był przedwojenny burmistrz Katowic, w czasie wojny wyświęcony na księdza. Sprowadziłem ks. Kocura do studia, aby powiedział co myśli o przemianowaniu nazwy swego rodzinnego miasta. Były burmistrz wypowiedział się w sposób bardzo jedyny i dosadny, używając słów zaczerpniętych z gwary śląskiej:

Byli tacy — powiedział — którzy ZABRZE przemianowali na HINDENBURG.

No i co? Mamy dziś z powrotem ZABRZE. Te drugie gizdy też pójdą precz”.

Dalej Nowak opowiada o tym, jak dowiedział się, co znaczy w gwarze śląskiej słowo gizdy. Zostało ono potraktowane jako obraza narodu niemieckiego i radiostacja miała bardzo poważne kłopoty. Ja natomiast przypominałem sobie, że znam biografię ks. Kocura i że ona także zasługuje na powiedzenie.

Przed rokiem 1914 Adam Kocur studiował teologię katolicką na Uniwersytecie Wrocławskim. Po wybuchu wojny został wcielony do armii niemieckiej. Z końcem wojny miał stopień podporucznika. Wziął udział w I i II powstaniu śląskim. Następnie został skierowany do policji plebiscytowej. W nocy z 2 na 3 maja 1921 kierował akcją rozbrojenia Niemców w Katowicach, dzięki której w chwili wybuchu III powstania miasto znalazło się w rękach polskich bez rozlewu krwi. Brał udział w organizowaniu policji państwowej w polskiej części Górnego Śląska. W latach 1922-1926 studiował i ukończył prawo w Krakowie. W roku 1926 objął stanowisko komendanta policji państwowej w Kato-

wicach. W roku 1928 uzyskał doktorat prawa w Krakowie. W tym samym roku został prezydentem Katowic. Sprawował ten urząd do wybuchu drugiej wojny światowej. W czasie wojny znalazł się na Zachodzie. W randze majora dowodził pociągiem pancernym na wybrzeżu Anglii. W roku 1942 wobec nadmiaru oficerów został zwolniony ze służby czynnej. Ukończył wtedy studia ekonomiczne w Edynburgu. Po wojnie z ramienia UNRRA zajmował się uchodźcami polskimi w Niemczech. Wreszcie w roku 1949 wrócił na studia teologiczne — Gregorianum w Rzymie. Święcenia przyjął w roku 1951. Został mianowany proboszczem w Rosenheim koło Monachium i tajnym szambelanem Jego Świątobliwości.

Biografię ks. Kocura przeczytałem — chyba przypadkiem — w Polskim Słowniku Biograficznym, wtedy gdy się ukazał, w roku 1968. Od tamtego dnia nabrałem upodobania do systematycznej lektury kolejnych zeszytów słownika.

Wydawnictwo to ma długą historię. Tom I (ABAKANOWICZ Bruno — BEYNART Wojciech) ukazał się w roku 1935 pod redakcją prof. Władysława Konopczyńskiego. Rocznie miało się ukazywać 5 zeszytów, składających się na jeden tom. Rzeczywiście do wybuchu wojny zdołano wydać cztery pełne tomy i trzy zeszyty. Tom V jest datowany 1939-1946. Tom VI nosi datę 1948. Tu nastąpiła kolejna przerwa, choć Konopczyński żył jeszcze do roku 1952. Prace redakcyjne wznowiono dopiero w roku 1956; tom VII ma daty 1948-1958. Za cenę tej przerwy ciągłość wydawnictwa została ocalona. Wydaje się prawdopodobne, że pozwolono by istnieć słownikowi pod warunkiem zmiany zasad: ustalenia dopuszczalnego procentu biskupów, zapewnienia przewagi zawodowych rewolucjonistów. Nastąpiła jednak przerwa, dzięki której wydane przed wojną i po wojnie, w czasie stanu wojennego i w zeszłym miesiącu zeszyty można ustawiać obok siebie. Różnią się coraz większą długością życiorysów. Bezwzględnie przestrzegane są zasady, zarówno ogólne („Słownik ma na celu wyłącznie informację..., nie wystawia ani znieśławia”) jak i szczegółowe („W granicach jednakowej nazwy idą naprzód święci i błogosławieni, dalej królowie i książęta krakowscy, książęta dzielnicowi, lenni, królewiczowie i dzieci książąt dzielnicowych lub lennych, biskupi, a na końcu wszystkie inne osoby”). Może nieco mniej ściśle przestrzegana jest reguła przedwojennej instrukcji, zalecająca „przytaczać źródła dosłownie tylko w razie wyjątkowej potrzeby”. Emanuel Rostworowski — redaktor naczelny słownika od roku 1964 — w biografii Marii Karoliny z Lubomirskich Radziwiłłowej cytuje list R. swoim zwyczajem z rękopisu (już Paweł Jasienica zauważył, że jest to autor, który dla opracowania hasła w słowniku prowadzi badania archiwalne, nie zadowolając się tym co pisali jego poprzednicy) list z roku

1739 (autorka miała wówczas lat 9): „lepi się ucze, alem swy-wolna zawsze”. U Andrzeja Biernackiego w życiorysie Marii Róży z Branickich Radziwiłłowej można przeczytać: „O przygodach Biszety w jej młodości mówiono tak wiele, że dziś w ogóle wspomnianie o nich nie jest już obmową” — pisze kanonik bazyliki św. Piotra, Walerian Meysztowicz”.

W ciągu dwudziestu lat lektury PSB zdołałem rozpoznać tylko jedną informację fałszywą: w hasle REJEWSKI Leon, dziennikarz — t. XXXI, zesz. 128, str. 53 mowa jest o tym, że „R. studiował socjologię na Uniw. Warsz.; końcowe egzaminy zdał w r. 1955, nie zdążył jednak otrzymać dyplomu z powodu likwidacji studiów socjologicznych. Po ich wznowieniu uzyskał w r. 1969 magisterium”. Akurat odwrotnie — socjologia na UW była zlikwidowana co najmniej od r. 1951, profesorów zaproszono z powrotem w roku akademickim 56/57, studentów na pierwszy rok socjologii przyjęto znowu w r. 1957. Między 1951 a 1957 istniały studia pod nazwą materializm historyczny. W r. 1969, a właściwie od roku akademickiego 68/69, utworzono przy Wydziale Filozoficznym przemianowanym na Wydział Nauk Społecznych sekcję nauk politycznych, a i w samym świeżo zorganizowanym Instytucie Socjologii pod dyrekcją WESOŁOWSKIEGO Włodzimierza istniał może nieco bardziej życzliwy klimat dla absolwentów materializmu historycznego. Autor hasła opierał się na nekrologach w tyg. *Motor* i *Trybunie Ludu* oraz informacjach rodziny. Ja polecam książkę Jakuba Karpińskiego *Taternictwo nizinne*, rozdział „Uniwersytet”.

W PSB nie uniknięto określeń wartościujących. Używa się ich bardzo oszczędnie. „Nic nie usprawiedliwia — orzeka Jan Józef Lipski, autor hasła REINSTEIN Franciszek (1856-1925) — parokrotnego użycia wobec R. określenia warszawski Mark Twain. Natomiast znaczna część utworów R. — szczególnie tych o charakterze felietonowym — ma dużą wartość jako dokument obyczajowy i językowy”. Omawiając obfitą twórczość R., podając tytuły pism i lata, w których R. z nimi współpracował, Lipski wskazuje tylko jeden ściśły adres bibliograficzny: *Pieszko do Antwerpii* — *Kurier Warszawski* 1894, nr 110-162 (reportaż z pieszej wycieczki z Warszawy do Antwerpii). Mam wielką ochotę na tę lekturę.

Mimo powściągliwości sądów, na podstawie samego opisu czynów i prac niemal w każdym wypadku możemy sobie wyrobić poglądy na to, jakim Polakiem była omawiana osoba.

Był więc dobrym Polakiem Aleksander Reszczyński, podpułkownik policji państwowej, w czasie okupacji niemieckiej komendant policji granatowej w Warszawie, współpracujący bezinteresownie i lojalnie z kontrwywiadem AK, przekazujący wiele

informacji i ostrzeżeń przed planowanymi akcjami niemieckimi, zamordowany 4 marca 1943 przez grupę specjalną Gwardii Ludowej bez żadnego wyroku i przy braku jakichkolwiek zarzutów. Słowa „zamordowany” używam dla skrócenia opisu; tekst w słowniku nie pozostawia żadnych wątpliwości, że jest ono zasadne. Opowiadając te żywoty skracam je i upraszczam. Używam jednak zwrotów i całych zdań zaczerpniętych z PSB, gdy zbędne wydaje mi się szukanie innych słów tam, gdzie biografie zostały opowiedziane ściśle i krótko. W czasie wojny, ze względów konspiracji, obrona dobrego imienia zamordowanego była niemożliwa. Równie niemożliwe było to przez wiele lat po wojnie.

Gdzieś około roku 1969 ukazał się w *Życiu Warszawy* gwałtowny atak na PSB pióra PRZYMANOWSKIEGO Janusza, pułkownika. Oskarżenia dotyczyły zamieszczania życiorysów reakcyjnego kleru, wielkich obszarników i kapitalistów oraz notorycznego pomijania generałów Ludowego Wojska Polskiego. Tego rodzaju zarzuty brzmiały groźnie. Właśnie wtedy w Państwowym Wydawnictwie Naukowym po usunięciu z redakcji filozoficznej Ireny Krońskiej zaniechano wydania przygotowywanego od lat Słownika Filozofów, materiały rozrzucono, a wydrukowany właśnie wielki zeszyt próbny sprzedawano na ulicy przed paroma warszawskimi księgarniami po 5 zł, czego na ogół nie praktykowano wobec książek świeżo wydanych.

Było przy tym oczywiste, że Przymanowski nie wie i nie umie się domyślić, że warunkiem koniecznym, choć nie wystarczającym znalezienia się w słowniku jest przeniesienie się do wieczności. I to co najmniej na trzy lata — dodaje prof. Rostworowski — przed ukazaniem się stosownej litery. Tak więc ocalony przez wprowadzenie stanu wojennego od zamordowania wraz z dziećmi działaczy partyjnych przez „Solidarność” (Patrz *Kadencja* J. J. Szczepańskiego, str. 121 wyd. paryskiego), przeżywszy pogardę czytelników i literatów PRZYMANOWSKI Janusz 28 maja 1982 bezpowrotnie utracił miejsce w słowniku pomiędzy PRZYŁUSKIM Tadeuszem a PRZYMUSIŃSKIM Franciszkiem.

Franciszek Przymusiński był przedwojennym oficerem policji państwowej. Podczas okupacji niemieckiej służąc w granatowej policji w indywidualnych wypadkach udzielał pomocy osobom zagrożonym. Od marca 1942 był niepłatnym współpracownikiem wywiadu AK. Po zamordowaniu podpułkownika Reszczyńskiego objął jego stanowisko i zajmował je do wybuchu Powstania Warszawskiego. Po powstaniu znalazł się w Łowiczu, gdzie w chwili wkroczenia Rosjan został przez nich aresztowany i wywieziony. Ścisła data śmierci jest nieznana. Już w roku 1949 został zrehabilitowany.

Dotychczas słownik zawiera nie mniej niż 20.300 życiory-

sów. Po roku 1958 każdy tom składa się z 4 zeszytów. 30 tomów i 2 zeszyty tomu XXXI objęło 72% alfabetycznego rozkładu polskich nazwisk. Istnieją bowiem pewne stałe dane; w każdej długiej liście, np. w książce telefonicznej dowolnego dużego miasta polskiego, nazwiska na „S” zajmują około 13%, nazwiska na „T” 3%. Na liście angielskiej „T” niemal dorównuje „S”. Odwołując się do statystyki, prof. Rostworowski w roku 1970 przypuszczał, że wydawnictwo będzie liczyło 37 tomów i zostanie ukończone około roku 1992. Tymczasem coraz dłuższym życiorysom towarzyszy przyrost zmarłych w ostatnim dwudziestoleciu (inaczej mówiąc, średnia długość życia w Polsce jest coraz krótsza). Selekcja osób kwalifikowanych do słownika jest nieco szersza. W roku ubiegłym (1988) po wydaniu XXX tomu redaktor wyraził pogląd, że przybędzie jeszcze 16, a może nawet 19 tomów. Zawodzi też regularność. W latach 1982-1985 w miejsce zamierzonych 4 tomów ukazały się tylko 2.

Istnieją oczywiście i mnożą się słowniki specjalistyczne. Wychodzi Słownik Artystów Polskich i w Polsce Działających. Wydano Słownik Muzyków Polskich, Słownik Biologów Polskich, Słownik Adwokatów Polskich, bardzo dobry Słownik Biograficzny Teatru Polskiego, Słownik Polskich Teologów Katolickich — 7 tomów. Pojawiają się słowniki regionalne: Słownik Biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla, Śląski Słownik Biograficzny — 3 tomy, Katowice 1977-1981. Wielkopolski Słownik Biograficzny, mający już dwa wydania — 1981 i 1983. Z tego ostatniego dowiedziałem się, że ojcem jednego z najpoważniejszych wydawców polskich ubiegłego stulecia, Jana Konstantego Żupańskiego, był osiadły w Poznaniu kupiec grecki Ioanides Zupanos. Jest też biografia filologa Hipolita Cegielskiego, zasługująca na powtarzanie nawet gdyby polski Plutarch zawierał nie więcej niż sto żywotów. Urodzony w 1813 roku, po studiach filologii klasycznej w Uniwersytecie Berlińskim i doktoracie filozofii nauczał polskiego i języków starożytnych w poznańskim gimnazjum Marii Magdaleny, ogłaszając *Gramatykę grecką* i rozprawy na temat poezji polskiej. W roku 1846 nie podporządkował się zarządzeniu pruskich władz szkolnych w sprawie przeprowadzania kontroli mieszkań uczniów. Usunięty ze szkoły, założył z pomocą przyjaciół sklep narzędzi rolniczych, z którego niebawem wyrósł warsztat naprawczy, potem mała fabryczka pługów, duża fabryka maszyn i narzędzi rolniczych, wreszcie Zakłady Cegielskiego. Już jako przemysłowiec nadal wydawał swoje książki, na przemian *O maszynach rolniczych* i *O słowie polskim*. Był też współtwórcą i prezesem Towarzystwa Gospodarczego oraz wiceprezesem Towarzystwa Naukowej Pomocy, któremu filozofowie polscy tego okresu wiele zawdzięczają.

KOŃCZAL Czesław (1924-1978), członek egzekutywy komi-

tetu partyjnego w Zakładach H. Cegielski, zajmuje jednak w Wielkopolskim Słowniku Biograficznym niemal tyle miejsca, co sam Cegielski, a więcej od Żupańskiego i paru Koźmianów. Kończal niczego nie zbudował, nie założył, nie opublikował, ale działał społecznie jako członek Rady Narodowej m. Poznania i członek Rady Naczelnej ZBoWiD. Był sekretarzem KW, potem KM, a potem znowu KW. Został też wybrany posłem na sejm i był przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych oraz członkiem prezydium CRZZ. Przywiązywał dużą wagę do poprawy — zapewne dalszej poprawy — warunków socjalno-bytowych dużych zakładów przemysłowych. Dowiadujemy się więc, że Kończal działał w ZBoWiD-zie, ale nie dowiemy się, że Stanisław Egbert Koźmian, chociaż wymieniono nieco tytułów jego prac, był autorem *Podróży Renem i do Szwajcaryi*, zapomnianej, jednej z najpiękniejszych polskich książek XIX wieku, która zresztą zawiera jeszcze drugą książkę — przekład *Przedziwnej historii Piotra Schlemihla* Adalberta von Chamisso, o którym najwyraźniej nie wiedzieli Maria Kurecka i Witold Wirp-sza, dokonując nowego dobrego przekładu.

W PSB nawet życiorysy komunistów zasługują na bardzo uważną lekturę.

REICHER Gustaw, Stefan Baum, Stefan Krüger, Gustaw Michalczyk, Gustaw Rupiewicz (1900-1938), ur. 5. II w Łodzi, syn litografa, właściciela małej drukarni, wykształcenie średnie. W latach 1917-18 członek zarządu dzielnicy Staromiejskiej SDKPiL w Łodzi. W połowie r. 1918 na własną rękę przedostał się do Rosji. Wszedł do zarządu moskiewskiej grupy SDKPiL i wziął udział w III konferencji SDKPiL w Moskwie 11. XI. 1918. Na początku 1919 wrócił do kraju i działał w Komitecie Wykonawczym Zagłębiowskiej Rady Delegatów Robotniczych, był członkiem egzekutywy Komitetu Okręgowego Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Od lata 1919 działał w Komitecie Warszawskim. W czasie demonstracji bezrobotnych na Placu Saskim został po raz pierwszy aresztowany. W wyniku wymiany więźniów politycznych z Rosją Radziecką znalazł się w Moskwie, gdzie pod nazwiskiem Gustaw Rupiewicz był członkiem Biura Polskiego Komitetu Moskiewskiego Komunistycznej Partii Rosji (bolszewików). W lipcu-sierpniu 1920 był pełnomocnikiem Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski przy III Armii i w czasie ofensywy organizował komitety rewolucyjne na zajętych terenach Polski. Wysłany z Mińska 10. IX. 1920 przez Moskwę - Gdańsk - Hamburg - Berlin przyjechał na Górny Śląsk, gdzie był jednym z przywódców Komunistycznej Partii Górnego Śląska. Reprezentował górnośląską organizację w Radzie Partyjnej KP Niemiec (KPD). Wziął udział w III kongresie Międzynarodówki w Moskwie. Po przyjeździe do Polski został pod nazwiskiem

Michalczyk aresztowany z transportem literatury przewożonej z Niemiec. Skazany przez Sąd Okręgowy w Sosnowcu na 3 lata więzienia. Sąd Apelacyjny zmniejszył wyrok do 2 lat i 6 miesięcy. Został po raz drugi objęty wymianą więźniów z ZSSR i znalazł się tam ponownie 15. III. 1923. Niebawem wyjechał do znajdującej się pod administracją niemiecką części Górnego Śląska, gdzie został sekretarzem politycznym KPD. Brał udział we frankfurckim zjeździe KPD w roku 1924 i w V kongresie Międzynarodówki w Moskwie, gdzie wystąpił na plenum i wszedł do Komisji Polskiej, zajmującej się pod przewodnictwem Stalina oceną KPP. Poparł stanowisko Stalina wobec dotychczasowych przywódców, Adolfa Warskiego i Marii Koszutskiej-Wery, odsuniętych od kierowania partią. Wrócił w ten sposób do działalności w KPP. Aresztowany jako S. Baum na posiedzeniu Sekretariatu KC 8. V. 1925, został skazany na 6 lat ciężkiego więzienia. Sąd Apelacyjny zatwierdził ten wyrok. Został po raz trzeci wymieniony do ZSSR. Pracował w Kom. Wyk. Międzynarodówki, wykładał też w szkole wojskowo-politycznej KPP. Jesienią 1929 wyjechał do Berlina, gdzie działał w zagranicznym przedstawicielstwie KC KPP i KC KP Zachodniej Białorusi. Od października 1929 był członkiem Biura KC KPZB. W październiku 1932 wziął udział w VI zjeździe KPP pod Mohylewem. Wygłosił referat oceniający jako fałszywe poglądy przeciwstawiające demokrację burżuazyjną faszyzmowi, twierdząc, że są to dwa oblicza tego samego wroga. Po roku 1933 przeniósł się z Berlina do Pragi czeskiej, gdzie mieściła się baza KC KPP, działał też w Biurze Politycznym KC KP Zachodniej Ukrainy. Na VII kongresie Międzynarodówki zgodnie z nowym kursem wygłosił przemówienie, opowiadając się za koncepcją antyfaszystowskiego frontu ludowego. W kwietniu 1937 wyjechał do republikańskiej Hiszpanii jako przedstawiciel — tym razem — KPP przy KC KP Hiszpanii. W grudniu 1937 wezwany z zagranicy jako jeden z ostatnich przywódców KPP przyjechał do ZSSR. W roku 1956 został pośmiertnie zrehabilitowany.

REIFER Ignacy, ur. 1909 w Chrzanowie, syn właścicieli drogerii, w latach 1926-31 studiował chemię na niemieckiej Politechnice w Brnie i otrzymał dyplom inżyniera, a w roku 1932 stopień doktora. Od roku 1926 należał do KPP, będąc członkiem KD w Chrzanowie. W latach 1930-32 był w KP Czechosłowacji. Wydalony z Czechosłowacji, przeniósł się do Austrii. Pod pseudonimem Marek był kierownikiem propagandy ideologicznej w Wiedniu. Był tam również asystentem Uniwersytetu. Wobec groźby wchłonięcia Austrii przez Niemcy R. emigrował przez Anglię do Nowej Zelandii, gdzie pracował jako biochemik. W latach 1938-48 był członkiem Komitetu Komunistycznej Partii Nowej Zelandii pod pseudonimem Drew. W roku 1942 założył

Wszesłowiński Związek Nowej Zelandii i był jego sekretarzem do 1948. Po powrocie do kraju, tj. do Polski, został członkiem PPR, a potem PZPR. Rok służył jako rzeczoznawca chemiczny VIII Oddziału Sztabu Generalnego w randze podpułkownika. W roku 1949 habilitował się w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Od tego czasu do śmierci w roku 1971 zajmował się biochemią w SGGW, w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nic nie wskazuje na to, że jego badania nie były poważne i pożyteczne. Nie jestem zresztą do końca pewien, czy rzeczywiście — jak podejrzewam — na str. 17 wiersz 20 zeszytu 128 w opisie osiągnięć naukowych R. występuje błąd składniowy, a mianowicie niezgodność przypadków, tak bardzo ten opis jest specjalistyczny.

ROBB-NARBUTT Ignacy (poprzednie nazwisko Ignacy Rosenfarb), ur. 1912, syn urzędnika prywatnego. Mając lat 16 opuścił gimnazjum i odtąd uczył się sam. Mając 23 lata zdał maturę jako ekstern. Odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie, w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu i w 4 pułku Ułanów (Wilno). Służbę ukończył w stopniu kaprała z cenzusem. Mając 20 lat przez krótki okres pracował w Polskim Radio jako sprawozdawca i reporter. Wydał nakładem Biblioteki Robotnika poemat sceniczny *Sacco i Vanzetti*. Od 1929 należał do OM TUR i ZNMS. W roku 1935 został wciągnięty do KPP. Drukował i pracował w różnych lewicowych pismach i pisemkach. Był związany z zespołem literackim „Przedmieście”. Brał udział w kampanii wrześniowej. W grudniu 1939 znalazł się we Lwowie w redakcji *Czerwonego Sztandaru*. W styczniu 1940 po aresztowaniu Władysława Broniewskiego i innych pisarzy (czyli Aleksandra Wata) publicznie zaprotestował, co tylko dzięki wpływowi Wandy Wasilewskiej skończyło się jedynie usunięciem go ze związku pisarzy i z redakcji. Pracował potem jako robotnik w fabryce wyrobów cukierniczych. Wat najwidoczniej nie wiedział o owym proteście. W „Moim Wieku” wspomina tylko z aprobatą, że „N., komunizujący literat, potem bohater podziemia AL, uciekł ze Lwowa. Był we Lwowie w *Czerwonym Sztandarze* i uciekł”. Po dotarciu do Warszawy był jednak członkiem PPR i GL. W latach 1942-1943 dowodził oddziałem w Kieleckiem. We wrześniu 1943 mianowano go majorem. W rezultacie konfliktu z Franciszkiem Józwiakiem — m.in. na tle sprawy godła, jakiego należy używać na czapkach (R. był zwolennikiem orła) został decyzją Sztabu Głównego AL zdegradowany ze stopnia majora i zawieszony w czynnościach. Faktyczną przyczyną były różnice między Bierutem i Józwiakiem a Gomułką. R. był zapewne kandydatem Gomułki na szefa sztabu w miejsce Józwiaka. Józwiak, późniejszy pierwszy Zasłużony Milicjant PRL, wydał też rozkaz zlikwi-

dowania R. Uratował go Gomułka. Został z kolei kapitanem i wysłano go w Lubelskie. Po wkroczeniu armii ze wschodu powołany do wojska w stopniu podpułkownika, a wkrótce pułkownika. We wrześniu 1944 został zastępcą d-cy dywizji do spraw liniowych. Już w grudniu tego roku wysunięto przeciw niemu zarzut niewłaściwego stosunku do oficerów radzieckich i ulegania wpływom byłych akowców. Wniosek o aresztowanie wprawdzie odrzucono, ale postanowiono przenieść go do rezerwy. Znowu broniła go W. Wasilewska. W styczniu 1945 został pełnomocnikiem rządu na m. st. Warszawę. 1-go listopada 1945 został zastępcą II wiceministra obrony narodowej (Karola Świerczewskiego). Autor biogramu w PSB odnotowuje, że trzy miesiące później był już Komendantem Służby Ochrony Kolei; słuchając opowieści samego R. w czasie długich spacerów po warszawskich ulicach w połowie lat pięćdziesiątych, spacerów, których chętnym towarzyszem i słuchaczem bywał Marek Hłasko, odnosiłem wrażenie, że stanowisko w ministerstwie zajmował nie dłużej niż tydzień. W 1948 opuścił Służbę Ochrony Kolei. Między 1952 a 1955 miał pół etatu w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, gdzie jego żona malarka uczyła rysunku w Liceum Kenara. Rok 1956 pokazał ostatecznie, że R. był przywiązany do pewnej idei, a nie do osoby Władysława Gomułki. Nadal więc borykał się z ogromnymi kłopotami materialnymi, mając dwoje dzieci. Zmarł w lipcu 1958. Pośmiertnie Wyd. MON wydało wybór prozy „Łabędzie gniazdo”. Książka, nosząca datę 1963, ukazała się jakiś czas potem z numeracją stron zaczynającą się od str. 15. Wydrukowano ją pierwotnie ze wstępem Jana Józefa Lipskiego. Zatrzymana czekała na decyzję, potem wrywano 14 stron i oprawiano ją na nowo. Jesienią 1968 — jest to wiadomość już spoza PSB — córka, Krystiana Robb-Narbutt, wówczas studentka ASP, została aresztowana nie bez związku z pojawiającymi się ulotkami przeciw wkroczeniu do Czechosłowacji.

Odnajdując w słowniku osoby, które spotykałem na Nowym Świecie, chciałbym oczywiście móc korzystać ze słownika mówiącego o ludziach żyjących. Dostępne dziś *Kto jest kim w Polsce 1984*, informator biograficzny wydawnictwa Interpress, zawodzi wszelkie oczekiwania. Z całej „Solidarności” jest tylko pan przewodniczący. Są księża kardynałowie, nie ma księży biskupów, opata z Tyńca. Jest ksiądz Tischner, nie ma ojca Salija. Jest b. działacz polityczny Gierek E., nie ma b. działacza państwowego Jagielskiego M., choć jeszcze w sejmie zdążył głosować za zdelegalizowaniem „Solidarności”. Przepadł gdzieś Frelek Ryszard, sekretarz Kliszki, korespondent w Tokio, docent w marcu, kierownik wydziału KC, członek delegacji w ONZ, członek sekretariatu KC, scenarzysta filmowy i telewizyjny, wykorzystujący — jak twierdził dwutygodnik *Nowe Książki* po

ukazaniu się jego powieści — doświadczenia narracyjne Grahama Greena i Liona Feuchtwangera, Franza Kafki i Alberto Moravii, André Malraux i André Maurois, Borysa Pilniaka i Michela Butora. W ogóle marcowi docenci gdzieś się pozasztywali, jak pp. Iskra i Kąkol, albo fałszują życiorysy jak Kuczyński Janusz Lucjan, „pracownik naukowo-dydaktyczny UW 1957-, prof. 1975”. No tak, ale docentem pan profesor został mianowany w marcu 1968, na długo przed habilitacją. Zawieruszył się też powieściopisarz Bronisławski Jerzy w randze pułkownika.

Są generałowie Jaruzelski i Kiszczak, nie ma generałów Późgi, Płatka, Grubby. Nie ma kapitana Czechowicza, ale i tak robi się nieprzyjemnie na wiadomość, że w Krakowie mieszka profesor ekonomii politycznej, „specjalista od modelowania przyszłego rozwoju społeczno-ekonomicznego świata”. Profesorowie są zresztą stosunkowo licznie reprezentowani. Są rektorzy Samsonowicz i Szaniawski, a z przeciwnej strony stołu profesorowie tego samego Uniwersytetu, Baka, Kozakiewicz i Reykowski.

Informator zawiera dane metrykalne, spis zajmowanych posad, posiadane odznaczenia, przynależność do partii i stowarzyszeń, adres i telefon oraz hobby. Okazuje się, że byliśmy i jesteśmy w rękach miłośników działki, hodowców róż, zbieraczy grzybów (admiral z WRON-y). Generał Dębicki Mieczysław, historyk, który rozwiązał Związek Literatów Polskich, też zresztą — okazuje się — piszący, autor prac *23 lata na straży granic PRL — W Służbie Ojczyzny* 1968, *Technika i dyscyplina a skuteczność ochrony granic — Żołnierz Wolności* nr 150/1971, *Życie w stanie wojennym — Trybuna Ludu* nr 299/1981 — ma hobby: pracę w ogródku działkowym. Podobnie Dobraczyński Jan, generał. Tyle, że generał Dębicki lubi pracować w ogródku, a generał Dobraczyński w ogrodzie. Generał Dobraczyński lubi też podróżowanie, a generał Dębicki, który podróżować mógłby tylko na rozkaz zwierzchności — majsterkowanie.

Po przewertowaniu tak postnej całości zdałem sobie sprawę, że jest to pierwszy ogólny słownik biografii Polaków, w którym zabrakło Radziwiłłów. A przecież istnieją nie tylko w spisie warszawskich telefonów. Bo też *Kto jest kim* bardzo źle informuje o współczesnych elitach, za to całkiem dobrze o wyobraźni społecznej oficjalnych instytucji. W PRL wprowadzono dla arystokracji *numerus clausus*, dopuszczając tylko z niechęcią ks. Adama Jerzego Czartoryskiego w historii, Aleksandra Małachowskiego w telewizji i ks. Karola Radziwiłła „Panie kochanku” w wątpliwej legendzie. PSB omawia biografie co najmniej dwustu Radziwiłłów i ich żon, a wspomina co najmniej drugie tyle członków rodzin. Ale nie opowiem tu historii książąt. Ilekroć obcuje dłużej z biografią zbiorową, jaką jest Polski Słownik Biograficzny, mam poczucie, jakbym się znalazł w ogromnym gęstym lesie.

Zatrzymując się przed jakimś drzewem przeżywam obecność lasu, gdzie każde drzewo przypomina wszystkie inne drzewa, gdzie jedno drzewo przypomina niektóre inne drzewa, gdzie żadne drzewo nie jest podobne do jakiegokolwiek innego drzewa. Żywoty Radziwiłłów wyróżniają się wśród polskich biografii, ale coraz częściej przypominają wiele innych. Konstanty Mikołaj Radziwiłł z Sichowa, ur. 1902, porucznik AK, w okresie Powstania Warszawskiego walczył z Niemcami jako d-ca kompanii w rejonie Legionowo - Jabłonna - Nieporęt. 19-go sierpnia wpadł w ręce niemieckie. Rozpoznany i torturowany, nie udzielił nieprzyjacielowi wiadomości. Zamordowany. Konstanty Radziwiłł z Towian, ur. 1873. W roku 1940 odmówił przyjęcia sowieckiego paszportu ze zlituanizowanym nazwiskiem. Wywieziony do Kazachstanu, był zatrudniony jako strażnik w ogrodzie zoologicznym w Taszkencie. Zmarł w roku 1944 albo w 1945, w Taszkencie lub na Syberii.

PSB jako przedmiot materialny znacznych rozmiarów jest także obfitym źródłem szczegółów z dziejów cywilizacji materialnej w Polsce. Niezmieniona pozostaje szata typograficzna; słownik jest od początku drukowany w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zdumiewa już różnorodność używanych gatunków papieru. Skaczące, a czasem spadające wysokości nakładu — dzieła mającego w założeniu stanowić całość. Oczywiście ceny. Wreszcie zaznaczany zawsze czas między oddaniem zeszytu do składania a ukończeniem druku.

Zeszyt 105 oddano do składania 28. I. 1980, druk ukończono w lipcu 1980.

Zeszyt 119 oddano do składania 19. XI. 1984, druk ukończono w grudniu 1985.

Andrzej DOBOSZ

Dwie monografie Ukrainy

Dwie monografie dwóch profesorów. Pierwszy uniwersytetu York w Toronto, drugi uniwersytetu Michigan w Ann Arbor w USA. Obaj są Ukraińcami związanymi z ośrodkami ukraińskimi w krajach zamieszkania i pracy. Chronologia publikacji wymagałaby omówienia wpieryw pracy prof. Szporluka, zajmiemy się jednak najpierw dziełem prof. Subtelnego¹, gdyż jest niejako repre-

1. Orest Subtelny, *Ukraine. A History*, University of Toronto Press, Toronto-Buffalo-London 1988, str. 666.

zentatywne. Niewątpliwie w założeniu jego praca jest przeznaczona dla anglojęzycznych czytelników nie-Ukraińców, ale wolno zaryzykować twierdzenie, że stanowić będzie doskonały podręcznik dla studentów ukraińskiego pochodzenia na wyższych uczelniach w Kanadzie i USA.

Prof. Subtelny niejako usprawiedliwia podjęcie zadania przedstawienia dziejów narodu ukraińskiego tym, że to naród, który istnieje praktycznie mimo braku państwowości, gdyż w granicach własnego, niezależnego państwa Ukraińcy żyli bardzo krótko. Mimo jednak tych niepomyślnych warunków naród ukraiński nie tylko przeżył, ale rozwinął się. Ten swoisty historyczny fenomen pragnie zaprezentować Orest Subtelny w dziele „Ukraina”.

Praca podzielona jest na 5 części, z tym że wprowadzenie, obejmujące 10 stron, poświęcone jest pradziejom. „Ruś Kijowska” — część pierwsza — zawiera m.in. rozdział „Galicja-Wołyń” — bardzo istotny i ważny w dalszych wywodach autora. Część druga, „Okres polsko-litewski”, jest bardzo zwięzła, podczas gdy wiele miejsca zajmuje część trzecia, „Era kozacka”. Bardziej szczegółowe są jednak dwie ostatnie części: „Ukraina pod władzą imperiów” i „Ukraina XX wieku”.

Praca Subtelnego — jak wspomnieliśmy — ma charakter podręcznikowy w tym sensie, iż usiłuje możliwie obiektywnie prezentować przebieg dziejów narodu ukraińskiego. Ostrożnie tylko i w nielicznych sprawach formułuje własny osąd i pogląd.

I tak np. bardzo wysokie miejsce w dziejach Ukrainy wyznacza Galicji i Wołyniowi, ale bynajmniej nie w XIX i XX wieku, ale już w zaraniu. „Przez 100 lat po upadku Kijowa Galicja i Wołyń były ukraińską bazą polityczną. Te dwa księstwa wchłonęły wiele z kijowskiego dziedzictwa, udaremniając jednocześnie wchłonięcie przez Polskę ziem zachodniej Ukrainy. W ten sposób zachowały dla Ukraińców albo Rusinów — jak ich wówczas nazywano — poczucie kulturalnej i politycznej odmienności w przełomowym, krytycznym okresie ich dziejów. Ta właśnie odmiennosc miała w trudnych czasach, jakie miały nastąpić, odegrać wręcz ogromną rolę w przeżyciu jako oddzielna narodowa jednostka” (str. 74). Galicja więc, jak to wynika z dalszych wywodów Subtelnego, była Piemontem dla ukraińskiego ruchu narodowego we wszystkich jego formach: politycznej, kulturalnej i społeczno-gospodarczej. Ale Galicja stała się również — jego zdaniem — nie tylko kością niezgody z Polakami, lecz spowodowała konflikty, które trwały około 600 lat i przeniknęły wszystkie aspekty życia na Ukrainie.

Prof. Subtelny w toku swoich wywodów na temat stosunków polsko-ukraińskich na konferencji w Toronto w 1988 roku zauważył, iż ostre konflikty, walki w okresie niepodległości Polski na obszarze Galicji wschodniej (Małopolski) były nieuniknione, gdyż dwa narody nie mogły żyć na jednym obszarze. Dlatego też gdyby Ukraińcy rządili na tym obszarze, nie zachowywaliby się w stosunku do Polaków lepiej aniżeli Polacy wobec nich. Rola Galicji (oczywiście wschodniej) w ujęciu Subtelnego była kluczo-

wa, brzemenna w skutki w dziejach polsko-ukraińskich: ... „zdobycie ziem i ludności ukraińskiej stanowi zwrotny punkt w historii obu narodów. Dla Polaków oznaczało to przesunięcie się na wschód w miejsce dotychczasowego na zachód. Ta zmiana orientacji pociągnęła za sobą daleko idące następstwa polityczne, kulturalne i socjalno-ekonomiczne”.

Już więc Kazimierz Wielki rzucił — jak z takiego sformułowania wynika — zarzewie konfliktów, gdyż obejmując w posiadanie ziemie ruskie stał się nie tylko cudzoziemskim władcą. „Dla Ukraińców zmiany były znacznie głębsze aniżeli zmiana władców rodzimych na cudzoziemców. Doprowadziły one bowiem do podporządkowania Ukraińców innemu narodowi, o odmiennej religii i kulturze. Mimo pewnych dodatkowych elementów tej symbiozy zrodziła ona gorzkie konflikty religijne, społeczne, etniczne”.

W epoce imperialnej Ukraińcy w Galicji wschodniej znajdowali się pod dominacją polityczną i gospodarczą Polaków. Polacy byli faktycznymi rządcami tego kraju i mieli wielkie wpływy w Wiedniu. Hamowali, ograniczali proukraińskie posunięcia rządu austriackiego. Ludność ukraińska w przytłaczającej większości była wiejska, a własność ziemską znajdowała się w rękach polskich.

Subtelny notuje skrętnie konflikty na różnych odcinkach, zaostrenie się wzajemnych stosunków, umacnianie się ruchu narodowego. Wymienia jedynie dwie osoby, które dążyły do porozumienia i współpracy: po stronie ukraińskiej Iwan Franko, wybitny pisarz i działacz, a po polskiej Ignacy Daszyński, któremu mylnie przypisał imię Feliks, należące do innego „wybitnego” Polaka — Dzierżyńskiego.

Wojna polsko-ukraińska (1918-1919) na terenie Galicji wschodniej — wskazuje Subtelny — i przegrana ukraińska niejako siłą faktu musiały pogłębić wrogość po obu stronach, a ostateczna przegrana na arenie międzynarodowej — tj. przyznanie Galicji wschodniej Polsce — wprowadziły permanentny stan zapalny. Strona ukraińska reagowała na polską politykę licznymi zamachami terrorystycznymi na działaczy i polityków, w tym także ukraińskich, wypowiedających zgodę na rzeczywistość.

Prof. Subtelny jest zdania, że wielka przegrana Ukraińców w zmaganiach o niepodległość, i to w okresie, kiedy uzyskiwały ją znacznie mniejsze narody, jak estoński, litewski czy czeski, była wynikiem słabej świadomości narodowej, szczególnie wśród wieśniaków, którzy stanowili przytłaczającą większość przy minimalnej ilości inteligencji i ludności miejskiej. Szczególnie jaskrawo ujawniło się to na obszarach, które znajdowały się pod panowaniem rosyjskim. Ponadto — podkreśla Subtelny — nieliczna jeszcze warstwa inteligencji była politycznie zróżnicowana. I tak niektórzy, jak najbardziej narodowo nastawieni, uważali że w ramach federacji rosyjskiej można zrealizować program niepodległościowy. Były i inne odchylenia.

Trudno nie stwierdzić po bardzo uważnym studiowaniu wy-

wodów prof. Subtelnego, iż Ukraińcy mieli i mają inny stosunek do Rosjan aniżeli do Polaków i Polski. Podobne stanowisko zajmuje zresztą wielu historyków i polityków ukraińskich. Prof. Subtelny uważa, iż prawosławie jest niejako naturalnym wyznaniem Ukraińców, stąd np. przymusowe nawracanie unitów przez Rosjan nazywa powrotem do prawosławia. Oczywiście carat tępił i prześladował Ukraińców, ale antypolska polityka pośrednio polepszała sytuację Ukraińców. Szczególnie wyraźnie uwidoczniło się to po powstaniu 1831 roku. Przykładowo wymienia likwidację przez generalnego gubernatora, gen. Bibikowa Liceum Krzemienieckiego i ustanowienie w jego miejsce uniwersytetu im. Włodzimierza w Kijowie, który stał się czołową placówką ukraińskiego ruchu narodowego.

Bardzo dyskretnie omawia Subtelny okres ostatniej wojny światowej, dwukrotną okupację Małopolski wschodniej przez ZSSR i Niemcy oraz okupację niemiecką sowieckiej Ukrainy. Bardzo ogłędnie i niezbyt wiele uwagi poświęca współpracy ukraińskiej z niemieckim okupantem w Małopolsce wschodniej. Zaznacza jednak, iż Niemcy długo wahali się przed wyrażeniem zgody na sformowanie dywizji SS-Galizien „Hałyczyna”. Wskazuje, że w łonie obozu nacjonalistycznego powstały różnice właśnie w odniesieniu do Niemiec: Bandera był przeciwny współpracy, podczas gdy Melnyk podtrzymywał ją w dalszym ciągu.

Przedstawiając sytuację na omawianym terenie w latach okupacji niemieckiej, a w szczególności w ostatnich latach, nie omija krwawych wydarzeń. Píše, że bratobójcze walki pochłonęły wiele ofiar po obu stronach. Podkreśla rolę UPA w walkach zarówno przeciw Niemcom jak i komunistom sowieckim. Reasumując dzieje walk o niepodległość, niespełnione nadzieje i oczekiwania. Subtelny jest zdania, że nie jest to pełna przegrana. Z klęski tej bowiem wyrosła i wzmocniła się świadomość narodowa, pojęcie wartości i znaczenia własnego państwa. Chłopi poczuli się świadomymi Ukraińcami.

Prof. Subtelny uważa, iż mimo odmiennej polityki obozów ukraińskich wobec Niemców i Sowietów, i to na tym samym obszarze i w tym samym okresie, mimo istnienia oddziałów partyzanckich, regularnej formacji wojskowej SS-Galizien, oddziałów pomocniczych, policyjnych itp., Ukraina znalazła się w obozie zwycięzców. Uważa, iż widomym i znaczącym dowodem jest jej miejsce w ONZ, co przecież oznacza, że Ukraina posiada państwowość. Wywodzi, że zdobycie przez Związek Sowiecki zachodniej Ukrainy oznacza, iż po raz pierwszy w dziejach wszystkie ziemie ukraińskie i jej ludność znalazły się w wyniku wojny w granicach ZSSR, ściślej w Ukraińskiej Sowieckiej Republice Socjalistycznej. Nadzieje na przyszłość były duże. Przegląd okresu powojennego rejestruje wzloty i upadki, straty i zyski polityczne, gospodarcze i kulturalne, zachowując dystans i powściągliwość w ocenie.

Dzieje diaspory ukraińskiej omawia od początku imigracji do USA do chwili obecnej. Podobnie przedstawia stan i sytuację

w innych krajach, organizacje i ich nastawienie do Ukrainy sowieckiej, niepodległości itp.

Osobny rozdział poświęca Ukraińcom w Polsce. Píše o rozproszeniu ich z powodu przesiedleń. Ocenia ilość Ukraińców na 200-250 tysięcy, około 50% jest obrządku greckokatolickiego. Szkolnictwo ukraińskie jest bardzo ograniczone. Istnieje jedno liceum w Legnicy i seminarium nauczycielskie w Bartoszycach. Są jednak studia ukrainoznawcze na wyższych uczelniach. Jako najliczniejsze skupisko wymienia województwo olsztyńskie, gdzie mieszka 60 tysięcy Ukraińców.

Żywotność narodu bez własnego, suwerennego państwa dokumentują osiągnięcia kulturalne, gospodarcze, społeczne. W każdym okresie dziejów zaznaczali odrębność narodu wybitni pisarze, naukowcy, przywódcy religijni i polityczni. Ukraińcy i ich potomkowie, którzy znaleźli się i osiedlili w innych krajach, dawali również świadectwo żywotności narodu.

„Ukraina” prof. Subtelnego wzbogaca obszerną literaturę historyczną w języku angielskim, będąc zarazem — jak dotychczas — najbardziej szczegółową pracą kanadyjskiego historyka. W przygotowaniu są prace dwóch innych profesorów.

„Krótka historia Ukrainy” Romana Szporluka² siłą faktu nie tylko ogranicza się do najistotniejszych spraw, ale i te omawia w telegraficznym skrócie. Zaletą tej małej pracy jest precyzja. Tekst jest informacyjny, a oceny, z wyjątkiem dwu czy trzech, mieszczą się w informacjach.

Szporluk inaczej ocenia wynik walk o niepodległość w latach 1917-1921 aniżeli Subtelny, wskazując przede wszystkim na różnice między przywódcami, polityką, zasobami, nastawieniem Ukraińców zachodnich (to jest Galicji) i wschodnich (to jest Rosji). Wywodzi, iż sytuacja polityczna była wysoce niekorzystna, bo Ukraina znajdowała się między dwoma silnymi wrogami, Rosją i Polską, a opcja na rzecz jednego z nich była niemożliwa. Dalej:

„Społeczeństwo ukraińskie nie było też zintegrowane terytorialnie. Zachód i Wschód przez długie lata rozwijały się w odmiennych warunkach: nie tylko wojna na dwa fronty udaremniła im połączenie swoich zasobów. Istniały też głębokie psychologiczne różnice, było przeciwstawne podejście do polityki, różnie oceniali problemy i sposoby ich załatwiania. Przecież nawet po okupacji Galicji przez Polaków, kiedy dwie armie dwóch rządów znalazły się na tym samym skrawku Ukrainy, okrażeni przez wrogie siły zachowali swoje oddzielne organizacje” (str. 70).

Relacjonując sytuację w Polsce utrzymuje, że była gorsza aniżeli za czasów austriackich. Organizacja nacjonalistyczna wzrosła i umocniła się m.in. dlatego, że akcje pokojowe, nadzieja na kompromis nie dały wyników. OUN liczyło w swej walce na Niemcy, które były jednocześnie wrogiem Polski i bolszewizmu

2. Roman Szporluk, *Ukraine. A Brief History*, Ukrainian Festival Committee, Detroit 1979, str. XI, 143.

i „miały być naturalnym sojusznikiem wszystkich Ukraińców” (str. 89). Zawiedli się.

Przedstawiając stan po wojnie w imperium sowieckim, uwytkła walkę o zachowanie i rozwój kultury narodowej, wszystkich jej przejawów, walkę o wolność i niepodległość, wymienia nazwiska czołowych dysydentów.

Obie prace zawierają mapy oraz liczne ilustracje.

Benedykt HEYDENKORN

Nadane nowości wydawnicze

- TURLEJSKA (Maria, ps. Łukasz SOCHA). *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sądownie 1944-1954*. Str. 449 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £ 9, \$ US 20).
- WŁODARCZYK (Wojciech). *Socrealizm. Sztuka polska w latach 1950-1954*. Str. 136 i 14. (Wyd. Libella w serii „Historia i teraźniejszość”, Paryż 1989).
- MACKIEWICZ (Józef). *Sprawa Miasojedowa*. Str. 663 i 1 nlb. Wyd. III. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).
- MACKIEWICZ (Józef). *Karierowicz*. Str. 250 i 6 nlb. Wyd. II. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).
- MACKIEWICZ (Józef). *Droga donikąd*. Str. 384. Wyd. V. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).
- ŻURAKOWSKI (Stanisław, opr.). *Listy z Koziełska burmistrza miasta Ostroga*. Str. 79 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego, Londyn 1989).
- Nagroda literacka im. Rudolfa Weygnera*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *The Grand Failure. The Birth and Death of Communism in the Twentieth Century*. Str. 278 i 2 nlb. (Wyd. Charles Scribner's Sons, Macmillan Publishing Co., New York 1989).
- ZUZOWSKI (Robert). *The State, the Church and the Intelligentsia in Poland's Politics*. (Nadbitka z *Australian Outlook*, sierpień 1988, str. 106-113).
- ZUZOWSKI (Robert). *KOR After KOR. The Intelligentsia and Dissent in Poland: 1981-1987*. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXXIII, nr 2, str. 167-189).
- THOMPSON (Ewa). *Upupianie, Walter Benjamin and Polish Studies in Postwar America*. (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXXIII, nr 4, str. 419-429).
- MIŁOSZ (Czesław). *Terre inépuisable*. Z polskiego przełożyli Krzysztof Jeżewski i François Xavier Jaujard. Str. 165 i 11 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1988, cena F. 150).
- KANFER (Irène). *A travers (poèmes 1944/1987)*. Str. 59 i 5 nlb. (Wyd. Editions Saint-Germain-des-Près, Paryż 1988, cena F. 60).
- BRANDYS (Kazimierz). *Rondo. Z polskiego przełożył Jean-Yves Erhel*. Str. 342 i 7 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1989, cena F. 160).
- MAREK (Edmond). *A l'aube d'une insurrection. La Pologne pendant la Grande Guerre (1914-1918)*. Str. 54. (Wyd. Club Culturel Polonia-Nord, Lille 1989).
- ZAHORSKI (Witold Jacek). *Les socialistes français et la Pologne après la 2^e Guerre mondiale*. Str. 48. (Praca uniwersytecka, maszynopis).
- Jahrbuch der Ukrainekunde 1988*. Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der ukrainischen Wissenschaften, Monachium 1989).

Polemiki

Czy warto grać z szulerem?

Nie zamierzam spierać się z p. Romualdem Szeremietiewem, kto lepszy — Dzierżyński, Marchlewski czy Jaruzelski (*Kultura*, marzec 1989). Jedni i drudzy reprezentują system, który Rosja usiłowała narzucić nam siłą bez powodzenia w 1920 i z powodzeniem w 1945 roku. P. Szeremietiew popełnia natomiast historyczną nieścisłość, pisząc, że Piłsudskiemu nie przychodziło do głowy, by rozmawiać z towarzyszami Dzierżyńskim i Marchlewskim. W dniu 2 listopada 1919 roku Piłsudski wysłał kpt. Ignacego Boernerę na rozmowy z Marchlewskim, oficjalnym przedstawicielem bolszewików [poprzednie rozmowy z bolszewikami z ramienia Piłsudskiego prowadził Aleksander Więckowski (Jędrzejewicz, „Kronika życia Józefa Piłsudskiego”, tom I, str. 462)]. Rozmowy toczyły się w Mikasiewiczach na Polesiu i dotyczyły warunków rozejmu. Piłsudski jako wybitny strateg znał niewątpliwie powiedzenie Clausewitza, że wojna i dialog z wrogiem są alternatywnymi formami walki.

Z szulerami grał nie tylko Piłsudski. Grał z nimi na przykład Prymas Wyszyński, zawierając z rządem PRL dwukrotnie rozejm: w roku 1950 i 1956. Był wytrawnym politykiem i jak wynika z jego „Zapisków więziennych” nie ludzi się, że przeciwnik go oszukuje i umowy nie dotrzyma. W pierwszym wypadku chciał zyskać na czasie, w drugim wywalczył koncesje, z których Gomułka i jego następcy nie mogli się całkowicie wycofać, bo nie pozwolili im na to układ sił. Jakoś nikt dotychczas nie skrytykował robotników Trójmieścia i Szczecina, że w 1980 roku zasiedli z szulerami do stołu i podpisali pakt, który pozwolił na utworzenie Solidarności. Prawda, szulerzy oszukiwali później jak mogli. W ogólnym bilansie powstanie Solidarności było jednak olbrzymim skokiem naprzód na drodze do pełnej demokracji i niepodległości. Cofnięcie wskazówek zegara okazało się po 1981 roku niemożliwe.

Rozmowy z szulerami przy okrągłym stole mogą się skończyć

przegraną albo wygraną zależnie od układu sił, umiejętności negocjatorów i nastrojów społeczeństwa. Zależnie od wyników można przedstawicieli opozycji krytykować albo chwalić. Trudnie zrozumieć potępianie samych rozmów z wrogiem jako aktu kolaboracji czy kapitulantstwa.

P. Szeremietiew streszcza wnioszek z moich wywodów w jednym zdaniu: „nie strzelać do czerwonego”. Powołuje się na to, że w rozmowie z nim mówiłem co innego. Zgadzałem się z nim, że „w sprzyjających okolicznościach można będzie odebrać władzę komunistom”. Nie tylko można, ale trzeba. Gdyby Szeremietiew uważnie przeczytał moje artykuły, nie znalazłby sprzeczności.

Byłem zawsze zdania, że krwią nie należy lekkomyślnie szafować, ale oszczędzanie życia ludzkiego nie może stać się fetyszem. Gdyby pierwsi chrześcijanie uznali, że życie ludzkie jest najwyższą wartością — nie byłoby chrześcijaństwa. W moim artykule pisałem: „bez faktów dokonanych siłą polskiego oręża nie byłoby Polski”. Pan Szeremietiew widocznie nie przeczytał tego zdania. Nie przeczytał również, że „być może odzyskanie suwerenności państwowej będzie wymagało użycia siły, a nawet krwawych strat. Naród, który utraciłby zdolność i chęć do czynu zbrojnego oraz gotowość do ponoszenia ofiar nie mógłby się 'wybić na niepodległość'”.

Na czym więc polegają różnice poglądów, skoro p. Szeremietiew zapewnia, że jego stronnictwo nie jest „grupą szaleńców ogarniętych manią samobójczą” i nie zamierza pchać do wybuchu w warunkach, w których z góry skazany jest na klęskę? Obaj stoimy na stanowisku, że niepodległość jest celem ostatecznym, od którego nie wolno odstępować. Nie wiemy, kiedy wyłonią się warunki, które stworzą szansę odcięcia powiny wiążącej państwo polskie z Rosją. Możliwe, że ten dzień jest bardzo bliski, ale może być także daleki. Usiłowałem tłumaczyć, że dążenia do niepodległości nie pozostają w sprzeczności z walką o cele częściowe „tu i teraz”, które pozwalają zbliżać się do mety etapami. Na dziś można i trzeba używać nacisku i traktować dialog z wrogiem jako tymczasową alternatywę użycia siły. P. Szeremietiew natomiast uważa, że z czerwonymi się nie rozmawia i koniec. Postawa taka, moim zdaniem, prowadzi do werbalizmu, powtarzania w kółko niepodległościowych haseł.

W polemice ze mną p. Szeremietiew wysuwa jednak myśl niezwykle słuszną. Wytyka brak jakiegokolwiek programu kierowanego do wojska i MO. Niestety, nie tylko brak jakiejś „Akcji N”, czyli walki psychologicznej o rozbicie przeciwnika i przeciągnięcie jego żołnierzy na naszą stronę. Dzieje się odwrotnie. Korespondent *Washington Post* przeprowadził niedawno rozmowy z młodymi radykałami, którzy szykują się do rozprawy z „czerwonymi”. Wszyscy zapowiadają wieszanie „czerwonych” na latarniach. Tego typu haśła są wodą na młyn dla rządzących. Nie darmo przed ogłoszeniem stanu wojennego propagandyści Jaruzelskiego demonstrowali zomowcom, milicjantom i aktywistom

partyjnym sceny z filmu rewolucji na Węgrzech w 1956 roku, kiedy to tłum linczował ich odpowiedników. Artykuł w jednym z pism polonijnych, niszczący b. ambasadora R. Spasowskiego po wybraniu przez niego wolności w 1981 roku, został powielony w biuletynie specjalnym i rozesłany do wszystkich urzędników służby dyplomatycznej PRL. O ile mi wiadomo, od tego czasu ani jeden z dyplomatów reżymu nie przeszedł na tę stronę.

Jak słusznie powiedział jeden z milicjantów w wywiadzie udzielonym niedawno prasie niezależnej, w milicji i UB są zarówno Piotrowscy, jak i Hodyszowie. Pierwszych czekać musi kara, drugim trzeba szeroko otworzyć bramy. To samo odnosi się do partii i do wojska. Legalna Solidarność nie uczyniła niczego, by pogłębić pęknięcia, które rysowały się w 1980-1981 roku w łonie partii i w korpusie oficerskim. Z pewnością wielu tam było Kuklińskich. Podtrzymuję to, co napisałem w „Drogach do Niepodległości”. Nadzieje na to, że żołnierz polski nie będzie strzelał do ludności mogą okazać się złudne dziś, gdy wojsko wciąż ujęte jest w karby żelaznej dyscypliny, ale sprawdzą się jutro, gdy pod wpływem wydarzeń ulegnie ona rozluźnieniu. Nie byłoby bezkrwawego rozbicia Niemców w listopadzie 1918 roku, gdyby Piłsudski nie obiecał Niemieckim Radom Żołnierskim, że pozwoli im spokojnie opuścić kraj, jeśli oddadzą broń. Nad tym, by w dniu 'V' milicja i wojsko obróciły broń we właściwym kierunku, trzeba pracować już dziś.

I jeszcze druga myśl. Młodzież akademicka i inteligencja twórcza przegrały w 1968, bo robotnicy zachowali się biernie. Robotnicy byli za to osamotnieni w 1970 roku. Historyczną zasługą KOR-u było montowanie sojuszu robotników, inteligencji i studentów, który okazał się żywy w 1980 roku. Ze środowiska, które p. Szeremietiew określa jako „lewicę”, wyszły obecnie inicjatywy montowania sojuszy i współdziałania poprzez granice. Powstała Solidarność polsko-czechosłowacka i polsko-węgierska. Prowadzone są zabiegi nawiązania podobnych kontaktów i wspólnego frontu z Litwinami, Ukraincami i Białorusinami (niezależne pismo *Nowa Koalicja*). Może się okazać, że te poczynania, robione bez hałasu, większe będą miały znaczenie w walce o niepodległość, aniżeli niepodległościowa retoryka na własny użytek.

Jan NOWAK

Waszyngton, 23 marca 1989

KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-2-89

P. Krystyna Krauze przeprowadziła rozmowę z kardynałem Františkem Tomaskiem, arcybiskupem Pragi i Prymasem, dla *Biuletynu Informacyjnego*, pisma Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Na pytanie, jak układają się stosunki Kościoła czeskiego z polskim, Prymas odpowiedział: „Są skromne. Jesteśmy sąsiadami i trochę się dziwię, że kontaktów jest tak mało. Zyczyłbym sobie, żeby było inaczej, ale jednocześnie jestem bardzo wdzięczny za to, co Polacy dla nas robią. Szczególnie za to, że w Polsce drukuje się czeskie książki religijne. Jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni”.

12-4-89

Po siedmiu latach działalności *Tygodnik Mazowski* zawiesił swoje wydawnictwo na numerze 290. Zespół redakcyjny przeszedł do powstałej ostatnio w Warszawie *Gazety wyborczej*, a następnie będzie pracował w pierwszym dzienniku opozycyjnym, jeśli zacznie on ukazywać się po wyborach. W *Tygodniku Mazowsze* pracowali:

Tomasz Burski, ps. Tomasz Chudy, redaktor IKS — „Informatora Kulturalnego 'Solidarności'” (1980-1981), redaktor „Wzwanania” (1982-1987), w redakcji *TM* od 1985;

Zofia Bydlińska-Czernuszczyk, od 1977 współpracownik „Nowej”, w 1981 pracownik regionu Mazowsze NSZZ „S”, współzałożyciel *TM*;

Barbara Dąbrowska (ps.), współzałożyciel *TM*;

Wojciech Kamiński, ps. alex, absolwent filozofii UW, pracownik redakcji *Muratora*, redaktor *AS-a* (Agencja Prasowa „S”) i *NTO* (1980-1981), w redakcji *TM* od 1984;

Anna Kruczkowska-Bikont, ps. Anna Mól, psycholog, pracownik naukowy UW, współpracownik „Nowej” (1978-1980), współzałożyciel *TM*;

Krzysztof Leski, ps. K. Pajka, programista, historyk, redaktor *AS-a*, współpracownik *TM* od 1982, w redakcji od 1983;

Helena Łucywo, ps. Paweł Hofer, anglistka, współpracownik *KOR*, redaktor *Robotnika* (1977-1980), w 1981 redaktor naczelny *AS-a*, współzałożyciel *TM*;

m.z.w. (ps.), współpracownik *TM* od 1982, w redakcji od 1983;

Piotr Pacewicz, ps. FF — Feliks Felicki, psycholog społeczny, współpracownik *TM* od 1982, w redakcji od 1984;

Joanna Szczęsna, ps. Jan Klincz, polonistka, współpracownik *KOR-u*, redaktor *Biuletynu Informacyjnego* (1976-1980), w 1981 roku redaktor *AS-a*, współzałożyciel *TM*;

Marta Woydt, ps. jag. — Jagna Jagman, ekonomistka, pracownik „S” regionu Mazowsze, współpracownik *TM* od 1982, w redakcji od 1984;

Ludwika Wujec, ps. Michał Kos, nauczyciel fizyki, współpracownik *KOR-u*, redaktor *Robotnika* (1977-1980), pracownik *Niezależności*, potem *AS-a*, współpracownik *TM* od 1982, w redakcji od 1984.

Członkami redakcji w różnych jej okresach poza tym byli: Piotr Bikont, Agata Niewiarowska, Małgorzata Pawlicka, Brygida Pytkowska, Elżbieta Regulska, Gwido Zlatkes, a od strajków sierpniowych 1988 członkowie NZS Olga Iwaniak, Joanna Kluzik i Wojciech Świdnicki.

Wszyscy twórcy i pracownicy naszej poligrafii, kolportażu oraz zespół składający *TM* na komputerach postanowili pozostać anonimowi.

13-4-89

Andrzej Wajda otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. ■ Jury nagrody im. b. Brata Alberta Chmielowskiego, patrona Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, przyznało nagrodę za 1988 r. Otrzymał ją Marek Wojtyła, którego dojrzała refleksja poetycka podejmując dramatyczne pytania naszych czasów, oraz pośmiertnie Mirosław Tarasewicz „za poetyckie i osobiste przyjęcie wyzwania lat 1980-1981”.

17-4-89

W piwnicy Wandy Warskiej i Andrzeja Kurylewicza w Warszawie odbyło się drugie spotkanie Klubu im. ambasadora Kajetana Morawskiego na temat „Kajetan Morawski i jego epoka”. Spotkanie prowadzili Stefan Bratkowski, Andrzej Chojnowski i Tomasz Żubiński. Klub im. Kajetana Morawskiego działa pod hasłem „Więcej Francji w Polsce”. ■ Oficyna *Przedświt* wydała książkę (w roku 1988) Henryka Siewierskiego *Spotkania narodów*, jest to przedruk z wydawnictwa Biblioteki „Kultury” z roku 1984.

24-4-89

W dwudziestą rocznicę śmierci Kazimierza Wierzyńskiego otwarta została w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie stała wystawa (gabinet pisarza).

26-4-89

Sąd Najwyższy PRL wydał wyrok uniewinniający Adama Doboszyńskiego od wszystkich zarzucanych mu w 1949 roku przestępstw. Adam Doboszyński został skazany na karę śmierci, którą wykonano w tymże 1949 roku. Był oskarżony o prowadzenie działalności agenturalnej na rzecz Niemiec i to jeszcze od czasów przed drugą wojną światową. Po wojnie także miał być rzekomo współpracownikiem wywiadu amerykańskiego.

27-4-89

Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat Leopold Buczkowski, wybitny pisarz, autor szeregu książek: „Wertepy”, „Czarny potok”, „Dorycki krużganek” i in.

28-4-89

Przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Jerzy Urban, został ministrem, członkiem Rady Ministrów, odpowiedzialnym za politykę informacyjną rządu. W Sejmie za powołaniem Urbana na stanowisko ministra głosowało 153 posłów, przeciw — 97, a wstrzymało się od głosowania 44. ■ Na wniosek Rady Pracowniczej oraz dyrekcji Gdańskiej Stoczni Remontowej nadano jej imię Józefa Piłsudskiego.

30-4-89

Z braku czytelników został zamknięty tygodnik *Rzeczywistość*, ukazujący się w Warszawie. Było to pismo skrajnej konserwy PZPR, reprezentującej nurt neostalinowski.

2-5-89

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Edward Ochab, b. pierwszy sekretarz PZPR w okresie siedmiu miesięcy 1956 roku, b. przewodniczący Rady Państwa od 1964 do 1968 roku. Ustąpił z tego stanowiska na znak protestu przeciwko ówczesnej kampanii antysemitkiej, która zmusiła około 20 tysięcy Polaków żydowskiego pochodzenia do opuszczenia Polski.

10-5-89

Nagrody literackie czasopisma *Polska* za 1988 rok zostały przyznane Henry Rollet z Francji, dyplomacie, prawnikowi i historykowi, za „Pologne au XX^e siècle”, wydaną przez Ed. Pedone, oraz Karłowi Dedeciusowi z Niemiec Zachodnich.

15-5-89

Jeden z najlepszych teatrów alternatywnych w Polsce, „Prowizorium” wystąpił w klubie studenckim „Stodoła” w Warszawie ze spektaklem pt. „Wspomnienia z domu umarłych” według książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Inny świat”. Spektakl ten doczekał się oficjalnej premiery w grudniu 1988 roku, a poprzednio przez pięć lat był wystawiany na pokazach zamkniętych.

16-5-89

Jury Nagród Dziennikarzy Niezależnych pod przewodnictwem Wandy Falkowskiej przyznało nagrody za ostatnie dwa lata: nagrodę im. Bolesława Prusa (prawdziwą) — Ewa Milewicz, redaktor *Solidarności*, pisma pierwszego wielkiego strajku, „dziennikarz na każdą pogodę”, za wytrwałość i odwagę; Roma Przybyłowska-Bratkowska za *Dzwonek Niedzielny*, za jego przetrwanie i charakter; Maciej Łopiński za świetne dziennikarstwo i za służbę dla rozwoju dziennikarstwa innych. Nagrodę dla zespołów redakcyjnych im. *Po Prostu* — *Tygodnik Mazowsze* po raz drugi — z podziękowaniem za 290 numerów, za siedem lat i za wszystko: Sekeja Polska Radia Wolna Europa — która w ciągu ostatnich lat stała się polskim radiem Nr 1; *Serwis Informacyjny „Solidarności”* — czyli SIS — za sportowe ducha w walce z czasem i przeszkodami, za refleks, szybkość i rzetelność. W grupie gazet zakładowych: *Rozwaga i Solidarność*, pismo Stoczni Gdańskiej, najstarsze zakładowe pismo w Polsce, zawsze zdolne do przekształcenia się w dziennik strajkowy o dwóch wydaniach dziennie; *Solidarność Podziemna*, pismo Przedsiębiorstwa Budownictwa Kolejowego i Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych, które ma w stopce 9 miast, a pociągami dociera do wszystkich kolejarzy w Polsce; w grupie pism periodycznych: *Promieniści*, pismo studentów i młodej inteligencji Krakowa, za normalny warsztat dziennikarski w warunkach nienormalnych; *Szkola*, najstarsze uczniowskie pismo podziemne w Polsce, wydawane we Wrocławiu przez Międzyszkolny Komitet Uczniowski i przez trzecie już pokolenie licealistów — za pomysłowość, staranność i urodę gazety. W grupie miesięczników i kwartalników: *Obóz*, kwartalnik poświęcony naszym sąsiadom — za wytrwałe uświadamianie nam, że Polska nie leży na bezludnej wyspie; *Miesięcznik Małopolski*, pismo społeczno-kulturalne, za ambicje intelektualne, za esesystykę, za regularną prezentację stanu kultury polskiej i jej związku z kulturą europejską; *Bez Debitu*, kwartalnik nieregularny, Białystok — za stworzenie nowego ośrodka myśli niezależnej. Nagrodę im. Stanisława Konarskiego otrzymują: Małgorzata Szejnert za książkę „Sława i infamia”, wydaną w serii reportażów „Okno”; Kazimiera Kijowska za „Rozmowy niekontrolowane...”, wreszcie po latach opublikowane w Kraju, oraz Dariusz Fikus za książkę pt. „Pseudonim Łupasza” wydaną przez wyd. „Most”. Nagrodę im. Jerzego Zielenieckiego dla młodych dziennikarzy — Piotr Grochmalski, Poznań, oraz Piotr Niemczyk, Warszawa. Nagroda im. Eugeniusza Lokajskiego dla fotoreporterów, przyznana po raz drugi, przypada za ich świadectwo wobec czasu, w którym żyjemy, Niezależnej Agencji Fotograficznej „Dementi” z Wrocławia oraz Stanisławowi Markowskiemu z Krakowa. Nagrodę im. Antoniego Słonimskiego za felieton otrzymał Witold Charłamp czyli Tomasz Jastrun.

ZACHÓD — EMIGRACJA**12-4-89**

Zmarł w Los Angeles, CA (USA) w wieku 83 lat Wincenty Niziuk — „Marek”, *attaché* konsularny R.P. w Paryżu do chwili cofnięcia uznania Rządowi R.P. przez rząd francuski w lipcu 1945 roku. Wincenty Niziuk brał czynny udział w ruchu oporu we Francji i był dowódcą Quartier de la Sub-Région Sud-Est, Résistance Polonaise — POWN MONIKA od listopada 1941 roku. Był więziony przez Gestapo. Od 1956 roku mieszkał w Stanach Zjednoczonych i był długoletnim pracownikiem Bank of America w Los Angeles.

19-4-89

Michał Heller otrzymał srebrny medal Centre National de la Recherche Scientifique (francuska Akademia Nauk). P. Hellerowi — Adamowi Kruczkowi, dobrze znanemu czytelnikom *Kultury* — składamy gratulacje.

23-4-89

Zmarł w Waszyngtonie w wieku 88 lat Stefan Korboński, prawnik, polityk i pisarz polityczny. W czasie okupacji hitlerowskiej był szefem kierownictwa walki cywilnej i członkiem Rady Jedności Narodowej. Na emigracji był przewodniczącym Organizacji Narodów Ujarmionych. Autor szeregu książek, m.in. w „Bibliotece Kultury” ukazały się jego wspomnienia „W imieniu Rzeczypospolitej” (1954 r.), „W imieniu Kremla” (1956 r.) oraz „Polskie Państwo Podziemne” (1975 r.).

26-4-89

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt ks. Adama Bonieckiego, redaktora polskiego wydania *Osservatore Romano*, na temat jego książki pt. „Notes rzymski”, w której omawia pierwsze lata pontyfikatu Jana Pawła II widziane z Rzymu i z podróży papieskich.

30-4-89

Ks. kardynał Glemp powołał do życia „Fundację im. ks. Józefa kardynała Glempla, Prymasa Polski” z siedzibą w Londynie. Prymas Glemp mianował zarządcą tej fundacji z dyrektorem ks. dr. Władysławem Wyszowadzkim na czele. Fundacja jest praktycznie osobistym funduszem dyspozycyjnym Prymasa.

1-5-89

W Fuldze (RFN) odbyło się sympozjum teologiczno-pastoralne dla duszpasterzy Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech Zachodnich. Wzięli w nim udział proboszczowie i wikarzy polskich parafii oraz delegaci poszczególnych Misji Katolickich. Przyjęto „statut rad duszpasterskich Misji”, który będzie podstawą działalności tworzących się przy polskich parafiach Rad Duszpasterskich. ■ Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie przyznało nagrodę im. Aleksandra Lenkiewiczza Januszowi Zawodnemu za książkę o Katyniu pt. „Death in the Forest” z okazji piątego wydania angielskiego. Została ona przełożona na siedem języków.

4-5-89

Wacław Milewski, od wielu lat kierownik Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, przeszedł na emeryturę. Nowym kierownikiem Archiwum został mgr Andrzej Suchcitz.

7-5-89

W Londynie odbyło się walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Przyjęto uchwałę: członkiem Związku może także zostać nie Polak, posiadający dorobek pisarski w języku polskim, podzielaający stanowisko ideowe członków Związku. Liczba członków Związku nie Polaków nie może przekroczyć 10 % wszystkich członków Związku. Prezesem Związku został wybrany po raz 14-ty dr Józef Garliński.

11-5-89

W Melbourne odbyło się sympozjum na temat „Polacy i Żydzi, przeszłość, teraźniejszość, przyszłość”, zorganizowane przez Wydział Studiów Żydowskich Uniwersytetu Melbourne. Głównym mówcą był profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, Israel Gutman. Ze strony polskiej udział wzięli prof. Andrzej Ehrenkreutz, założyciel Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich, oraz Adam Warzel, rzecznik prasowy Biura Informacyjnego NSZZ „Solidarność” w Australii.

13-5-89

Doroczna nagroda *Wiadomości* londyńskich została przyznana Janinie Kosiakowskiej za książkę „Łódź bukowa”, wydaną przez Polską Fundację Kulturalną. Nagrodę w wysokości £ 500,00 ufundował Feliks Laski. Nagrodę specjalną w wysokości £ 300,00, ufundowaną przez Jana Badeniego, otrzymała Grażyna Lipińska za książkę „Jeśli zapomnę o nich...”, wydaną przez Editions „Spotkania”.

14-5-89

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. Józef Tischner wygłosił szereg konferencji na temat „Myślenie polityczne a etyka. Refleksje na tle nowej sytuacji w Polsce”.

16-5-89

W Instytucie Katolickim w Paryżu odbył się odczyt ks. Józefa Tischnera, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, pt. „Solidarność — drame polonais”.

18-5-89

W Tilbury's Art Gallery w Saint-Truiden w Belgii odbył się wernisaz obrazów Jana Lebensteina. Wystawa będzie otwarta do 20 czerwca br.

19-5-89

W Lozannie (Szwajcaria) odbył się w Galerii Plexus (Rue du Bourg, Chexbres) wernisaz obrazów Józefa Czapskiego. Wystawa będzie otwarta do 18 czerwca br. ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poświęcony prof. Edwardowi Lipińskiemu, zorganizowany przez Académie des Sciences Morales et Politiques, Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie i Wspólnotę Polsko-Francuską. Przemawiali pp. Henri Guitton, członek Instytutu, Edward Szczepanik z Londynu, Mirosław Chojcecki z Paryża oraz Henryk Wroński, kierownik studiów w CNRS w Paryżu.

20-5-89

W Księgarni Libella w Paryżu Zbigniew Herbert podpisywał swoją książkę „Barbarzyńca w ogrodzie”, wydaną przez wyd. Kontakt. ■ W A. R. Galerie Art Contemporain odbył się wernisaz malarstwa Teresy Tyszkiewicz. Wystawa będzie otwarta do 20 czerwca br.

KRONIKA AUSTRIACKA

2 maja 1989 Węgrzy rozpoczęli likwidację zasieków na granicy z Austrią. Telewizja austriacka pokazała węgierskich żołnierzy rolujących ogrodzenia z drutu kolczastego w pobliżu przejść granicznych. Do końca przyszłego roku mają zostać zlikwidowane wszystkie tzw. „przeszkody techniczne” wzdłuż austriacko-węgierskiej granicy. ■ 28 kwietnia odbyło się w Wiedniu z inicjatywy Frakcji Chrześcijańskiej Austriackiej Centrali Związków Zawodowych (ÖGB) pierwsze spotkanie związkowców Wschodu i Zachodu, w którym oprócz gospodarzy uczestniczyli przedstawiciele demokratycznych i opozycyjnych ruchów związkowych z Polski (Tadeusz Mazowiecki), Węgier (Pál Forgács w imieniu Związku Zawodowego Węgierskich Pracowników Naukowych), Czechosłowacji i Jugosławii, a także dwaj przedstawiciele Światowego Związku Pracowników z Brukseli. ■ Wprowadzony w maju tryb przyspieszonego postępowania azylowego w stosunku do Polaków, Węgrów i — od sierpnia — Jugosłowian zaowocował od lata spadkiem liczby ubiegających się o azyl. Spośród zakończonych w ubiegłym roku 6.718 spraw azylowych tylko 28 % zostało załatwionych pozytywnie, w tym jeśli idzie o Polaków tylko 7 %, a Węgrów — zaledwie 3 %. W bieżącym roku liczby te będą zapewne jeszcze niższe. ■ Austriackie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych rozpoczęło zwalnianie spod swej opieki ludzi, którzy nie uzyskali azyłu. Jeśli chcą oni pozostać w Austrii, muszą swój pobyt finansować z własnej kieszeni — nie mając przy tym prawa do pracy. Spośród 15.000 ludzi znajdujących się w obozach i pensjonatach 6.000 ma w tym roku stracić bezpłatne locum i utrzymanie. ■ Ciężkie czasy nastają dla tych, którzy usiłują nielegalnie pracować w Austrii, tudzież dla ich dotychczasowych pracodawców. W miejscowości Neunkirchen oskarżono 30 właścicieli firm o zatrudnianie „na czarno” uchodźców. Grożą im kary od 5.000 do 120.000 szylingów za osobę (odpowiednio od 400 do 9.000 dolarów USA). ■ Przystąpienie do Rady Europy otrzymała po raz pierwszy w historii Federacja Lech Wałęsa i mająca siedzibę w Wiedniu Międzynarodowa Federacja Helsińska (IHF). ■ 11 lutego zmarł w Gmund (Górna Austria) najwybitniejszy, ale zarazem i najbardziej kontrowersyjny austriacki pisarz i dramaturg, Thomas Bernhard (ur. 10 lutego 1931 roku). W swym testamencie zakazał publikacji, wystawiania i prezentowania wszystkich swych objętych prawami autorskimi dzieł na terytorium państwa austriackiego przez czas obowiązywania tychże praw. Zaledwie przed kilkoma miesiącami Austria wstrząsnęła burzliwa dyskusja wokół ostatniej sztuki Bernharda *Heldenplatz* („Plac bohaterów”), nawiązującej do wydarzeń sprzed 50-ciu lat (*Anschluss*) i wciąż żywego w tym kraju antysemityzmu. Bernhard odniósł wówczas olbrzymi sukces podczas prapremiery tej sztuki w wiedeńskim *Burgtheater*. ■ 28 lutego zmarł w 86 roku życia austriacki laureat nagrody Nobla, Konrad Lorenz, przyrodnik, „papież ekologii”. ■ Na III Festiwalu Filmów Górskich w Grazu (3-5. 11. 1988) Wanda Rutkiewicz i Krzysztof Lang zdobyli Złotą Kamrę, główną nagrodę w kategorii filmów dokumentalnych za film „K-2 — Requiem”, nakręcony pamiętaniu lata 1986 roku, kiedy na stokach drugiego szczytu Ziemi zginęło 13 alpinistów, a wśród nich Dobrosława Miodowicz, Tadeusz Piotrowski i Wojciech Wróż. Na festiwalu prezentowane były jeszcze dwa inne filmy polskie zrealizowane przez tę samą parę polskich autorów oraz film Ryszarda Werekiego „Jeden dzień spokoju”. Festiwal w Grazu jest jedyną tego rodzaju imprezą na niemieckim obszarze językowym. ■ Jacek Bocheński i Andrzej Braun uczestniczyli w zorganizowanej przez austriacki PEN-Club regionalnej konferencji „Wolne słowo między ideologią a komercjalizacją”. Był to pierwszy zagraniczny kontakt polskiego PEN-Clubu od chwili podjęcia przezeń działalności

we wrześniu ubiegłego roku. Natomiast na okres od 8 do 10 czerwca zapowiedziana jest oficjalna wizyta polskiego PEN-Clubu w Austrii z udziałem jego przewodniczącego, Juliusza Zuławskiego, i obu wiceprzewodniczących, Artura Międzyrzeckiego i Eгона Naganowskiego. ■ 3 maja Księgarnia Polska w Wiedniu przy Burggasse 22 obchodziła swoje piąte urodziny. Księgarnię prowadzi od samego początku pani Zofia Reinbacher-Milewicz. ■ 10 marca w Wiedniu Witold Lutosławski dyrygował orkiestrą austriackiego radia wykonującą jego dzieła, zaś 1 kwietnia w *Konzerthausie* swój koncert na skrzypce i orkiestrę oraz Passacaglia zaprezentował Krzysztof Penderecki wspólnie z Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach. ■ Rosną obroty handlowe Austrii z RWPG. Eksport do tego obszaru wzrósł w ciągu 1988 roku o 13,3 % i wyniósł 25 miliardów szylingów, co stanowi 9,1 % wszystkich wywozów z Austrii. W przypadku Polski wzrost ten osiągnął nawet 24,7 %; łączna wartość eksportu — 3,6 miliarda szylingów — stawia Austrię na trzecim miejscu wśród dostawców PRL. Znacznie słabiej, bo zaledwie o 2,7 %, wzrósł austriacki import z RWPG. W roku ubiegłym dostawy te wynosiły 6,4 % całkowitego importu Austrii. ■ Austria jest zaniepokojona zapowiedzią ministra Wilczka, iż Polska zamierza zrezygnować z eksportu węgla. Obecnie Austria znajduje się na piątym miejscu na liście odbiorców polskiego węgla, importując 2 miliony ton z 32 mln wysyłanych poza granice PRL. ■ Wobec zapowiedzi uprzywilejowania polskiego rynku mięsnego Austria liczy na możliwość eksportu swych produktów do Polski. Donosi o tym wiedeński dziennik *Die Presse* pod tytułem „Kraakowska do Krakowa”. ■ Wiedeński dziennik *Der Standard* począwszy od końca stycznia br. obszernie informuje o odkryciu i działalności polskiej siatki szpiegowskiej w Austrii. Od marca '88 roku toczy się śledztwo w sprawie 30 (według innych źródeł 36) osób podejrzanych o współpracę z polską SB. ■ Podobnie jak Berlin Zachodni, również Wiedeń zalany jest polskimi handlarzami, którzy na *Mexicoplatz* oraz na *Naschmarkt* usiłują sprzedawać wszelkiego rodzaju towary — głównie żywność. Policja austriacka jest bezradna, gdyż posługujący się *walkie-talkie* specjaliści od ulicznego handlu są w stanie uprzedzić akcje zakrojone na większą skalę.

Wiedeń, 2 maja 1989

(amp)

Listy do Redakcji

Thornhill, 19 kwietnia 1989.

Szanowna Redakcjo,

W marcowym numerze *Kultury* Czesław Miłosz wypomina, i słusznie, K. Brandysowi „stalinowskie egzorcyzmy” itp. niegodziwe czyny (popelnione w tych strasznych latach...).

W imię zaś czego Miłosz, z kolei, znęca się nad dobrą sławą Leona Schillera, i czyni to teraz — to już dokładnie nie wiadomo. Nazywanie Schillera „komunistycznym dogmatykiem” i zarzucanie mu nadgorliwości partyjnej jest co najmniej nieporozumieniem, bez żadnego, ale to żadnego pokrycia w faktach. To właśnie Leon Schiller, już na samym początku okresu powojennego, popadł (czy podpadł) w niełaski partyjnych dogmatyków i spychany był coraz bardziej na dalszy plan, co z pewnością było jedną z przyczyn jego przedwczesnej śmierci.

W roku 1946, mając nominację na Kierownika Artystycznego Państwowego Teatru Polskiego, w zasadniczych sprawach podlegał dyrektorowi administracyjnemu; jak wyglądała ta „nadgorliwa współpraca”, to można winnie jak na dłoni, studiując dokumenty tego okresu. W każdym razie Schiller z rzeczywistymi dogmatykami wspólnego języka nie miał, i z nadrzędny partyjnym dyrektorem zamiast rozmawiać — pisywał listy...

Nadchodzą czasy, że i o tych mało znanych perypetiach ludzi nieugiętych i nieskazitelnych dowiemy się z pewniejszych nieco źródeł, niż zwykle anegdoty...

Z poważaniem

Józef KURDYBELSKI

London, 27 kwietnia 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym wyrazić swój sprzeciw wobec polityki utrzymywania języka polskiego jako języka „liturgicznego” białoruskich i ukraińskich katolików. (Paweł Lida: „Zagrozenie Kościoła katolickiego na Białorusi i Litwie”, *Kultura* nr 4/1989, a także Józef Mirski: „Problemy językowe w Kościele rzymskokatolickim na Białorusi i Ukrainie”, *Zeszyty Historyczne* nr 79, 1987). Jest to polityka niestychanie krótkowzroczna i niesprawiedliwa. Nie-sprawiedliwe nade wszystko jest oskarżanie ks. W. Czerniawskiego i niezliczonych jeszcze księży na sowieckiej Białorusi, odprawiających mszę i głoszących kazania w języku białoruskim, o świadome czy nieświadome działanie na rzecz oficjalnej rusyfikacji. Jest wprost przeciwnie. Ks. Czerniawski, niezależnie od tego, że jest gorliwym duszpasterzem, jest jednym z przedstawicieli nowej białoruskiej inteligencji walczącej o ratowanie kultury białoruskiej od ostatecznej zagłady, w tym przede wszystkim prawa języka białoruskiego do istnienia. Waleczą oni przeciw rusyfikacji, jak o tym świadczy radykalny program komisji językowej białoruskiego oddziału Sowietkiej Fundacji Kulturalnej w Mińsku, który idzie tak daleko, że dotychczas nie został w Związku Sowietkim ogłoszony, natomiast został wydany w języku białoruskim i angielskim przez katolicki ośrodek białoruski w Londynie, ten sam ośrodek, którego gościem w zeszłym roku był ks. Czerniawski. Ale język

białoruski poniósł również dotkliwie straty na skutek wiekowej dominacji kultury polskiej na tych ziemiach (nie zawsze tak było: w XVI wieku, który i dla Białorusi był złotym wiekiem, język białoruski był językiem urzędowym Wielkiego Xięstwa Litewskiego). Zatem obroną przeciw rusyfikacji nie może być język polski, uparcie forsowany przez katolickie władze kościelne na całym obszarze etnicznie białoruskim. Cóż bardziej naturalnego niż chcieć się modlić we własnym języku, tym którym się mówi w domu? A tym językiem nie jest ani rosyjski, ani też polski.

W tej sytuacji zarzut pod adresem ks. Czerniawskiego, że jego działalność jest na rękę władzom sowieckim, ma swój dokładny odpowiednik w zarzutach patriotycznej inteligencji białoruskiej pod adresem polskich władz kościelnych. Tak została przez nią odczuta niedawna wizyta Ks. Prymasa Glempa na Białorusi, w przyjaznej asyście prawosławnego metropolity Filareta, którą znaczący nabożeństwa odprawiane wyłącznie w języku polskim. Jeśli ten zarzut jest bezpodstawny, to tym bardziej bezpodstawny jest zarzut pod adresem księży odprawiających nabożeństwa w języku białoruskim. Ale nie należy chyba stwarzać nawet pozorów, jakoby zarzut Sokrata Janowicza — „sprzymierzyliście się, aby nas zniszczyć” — mógł być słuszny. Tego wymaga dobrze zrozumiana polska racja stanu. Naszymi bezpośrednimi sąsiadami na wschodzie nie są Rosjanie, lecz Białorusini, Ukraińcy i Litwini. Tego wymaga również autorytet kultury polskiej na tych ziemiach. Ostatecznie — by sparafrazować słowa Litwina Antanasa Terleckasa w tymże numerze *Kultury* (str. 75) — „przy studiowaniu historii Białorusi nigdy nie obejdziemy się bez języka polskiego”.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Antoni POSPIESZAŁSKI

OŚWIADCZENIE ANNY KOWAL

Dnia 4 maja 1989 roku na konferencji prasowej Lech Wałęsa potępił organizatorów niezależnych manifestacji, stwierdzając m.in.: „Mamy filmy, mamy zdjęcia i jeśli nawet ukryliby się, znajdziemy ich i naród ich powiesi”. Podkreślił również kilkakrotnie, iż nie należy organizować manifestacji niezależnych, jeżeli istnieje możliwość uzgodnienia ich z komunistami.

Jako jedni ze współorganizatorów niezależnych obchodów rocznic 1-go i 3-go maja wyrażamy nasze oburzenie i ubolewanie z powodu tych całkowicie nieodpowiedzialnych wystąpień L. Wałęsy.

Pomimo bardzo krytycznego stosunku do linii politycznej prezentowanej przez grupę L. Wałęsy, trudno jest nam zrozumieć, skąd tyle niechęci a nawet nienawiści wzbudza w L. Wałęsie sama idea niezależnej manifestacji. Prawo do nieskrępowanego manifestowania swych przekonań jest prawem człowieka i nikt nie jest władnym go ograniczać. Społeczeństwo nie ma też żadnego obowiązku pytać w tym względzie kogokolwiek o zgodę.

Wypowiedzi L. Wałęsy budzą naszą głęboką odrazę i są całkowicie nie na miejscu, zwłaszcza w kontekście wyjątkowo brutalnych pobic manifestantów przez ZOMO (jedna osoba straciła wzrok).

Wytwarzają też wrażenie poparcia udzielonego działaniom policji przez władze nowej Solidarności.

Gdańsk, 7 maja 1989

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

Oddział Trójmiasto

SPROSTOWANIE

Okropność. Mój biedny gnomie, nie tylko zostałeś zamordowany przez NKWD, jeszcze imię Twoje znieważyla drukarnia, opuszczając jedną linijkę mego maszynopisu w moim esejie o Józefie Mackiewiczzu pt. „Koniec Wielkiego Xięstwa” Napisałem:

„Z innych członków Klubu nasz senior Gasiulis został rozstrzelany przez władze sowieckie za zrywanie plakatów; Bujnicki zastrzelony za współpracę z tymiż władzami”.

A wydrukowano:

„Z innych członków Klubu nasz senior Gasiulis został rozstrzelany za współpracę z tymiż władzami”.

I pomyśleć, ile faktów w kronikach historycznych mógł przeinaczyć podobny błąd w druku.

Czesław MIŁOŻ

A P E L

Poszukuję korespondencji wojennej ofiar Katynia (Kozielecka, Ostaszkowa, Starobielska), dokumentów, fotografii, a także wspomnień przechowanych w tradycji rodzinnej, wspomnień z tych obozów — w celu opracowania dokumentu literackiego.

Wiadomości proszę kierować:

JACEK TRZNADEL
Ul. WILCZA 5, m. 16
00-538 WARSZAWA

Tel.: 28.60.87.

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

E. M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — Krs 100,00	F. 95,00
Sumę zebraną podczas Akademii 3-go Maja, zorganizowanej przez Radę Uchodźstwa Polskiego, przekazaną na rzecz opozycji w Polsce prezes RUP, dr Z. Stankiewicz — Krs 450,00	F. 427,50

Kaz. i Maria Rasiej, Bogota, NJ (USA):	
— na Fundusz Kultury po raz 14-ty	F. 300,00
— na NSZZ „Solidarność”	F. 200,00

Kazimierz A. Rożankowski, Ocean Grove, NJ (USA):	
— na Fundusz Kultury, po raz 12-ty — \$ 50,00	F. 330,00
— na Fundusz Pomocy rodzinom więźniów politycznych \$ 53,00	F. 350,00

Marek Szuman, Woodhaven, NY (USA) — nadesłał \$ 100,00 w imieniu następujących osób:	
— A. A., New York, NY (USA) — na rzecz NSZZ „Solidarność” — \$ 20,00	F. 132,00
— B. B., New York, NY (USA) — na opozycję polityczną — \$ 40,00	F. 264,00
— Małgorzata i Paweł Nassalscy, New York — na „Solidarność Walcząca” — \$ 40,00	F. 264,00



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1989.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9732.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wjellingenaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krauski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowic »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (089) 611 36 57. Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 ..	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przystroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniółomy”; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych” ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkim.

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 450 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY ÓSMY

zawiera opracowania: J. Jastrzębowski: *Rozmowa o braciach*; K. Podgórski: *Drang nach Szczecin*; J. Nowak: *O proces Bolesława Bieruta i współników*; K. Bieniecki: *Wildhorn*; J. Korczak: *Konspiracja poznańska*; M. Heller: *Kim był Stalin?*; A. L. Miasnikow: *Agonia Stalina*; P. Lida: *Parafie rzymskokatolickie na Białorusi i Ukrainie w 1988 roku — Obsada personalna*; J. K. Zawodny: *Wywiady z oficerami kontrtorpedowców polskiej Marynarki Wojennej w drugiej wojnie światowej oraz bogate działy: RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 80,00.